

Nancy Thayer

Pięknie napisana historia o miłości, przyjaźni i wybaczeniu.

Świetna lektura na plażę.

Kristin Hannah

Powrót do domu



Nancy Thayer
Powrót do domu

Przełożył Janusz Ochab

*Dla moich ukochanych
Charlesa Waltera
Joshuy Thayera
Davida Raymonda
Gillumama Sama Wilde'a Forbesa
oraz
Elliasa Samuela Steepa Forbesa*

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Johnowi Westowi, świetnemu cukiernikowi ze Sweet Inspirations i pięknej Cheryl Fudge z Cheryl Fudge Designs. Ukłony dla uroczej Viktorii Krivonosovej. Bardzo się cieszę, że jesteś na Nantucket. Serdecznie dziękuję również tobie, Joshuo Thayerze za szybkie i precyzyjne informacje w kwestiach biznesowych. Podziękowania dla Libby McGuire za jej przenikliwość i dla fantastycznego Dana Mallory'ego. Ogromne wyrazy wdzięczności dla mojej błyskotliwej agentki i przyjaciółki Meg Ruley.

I prawdziwie boskie uwielbienie dla mojej redaktorki, Lindy Marrow, za jej geniusz, inspirację i redakcję.

Pewnego ranka, gdy miałem sześć lat, tata powiedział do mnie: „Synu, dziś Charles Lindbergh spróbuje przelecieć samotnie nad Atlantykiem. Żyjmy nadzieją, że mu się uda”. Potem tata wyszedł do pracy. Chciałem zrobić to, o czym mówił, ale nie wiedziałem jak. Więc przez cały dzień powtarzałem w myślach: „Żyję nadzieją, że mu się uda. Żyję nadzieją, że mu się uda. Żyję nadzieją, że mu się uda”.

AMBASADOR STANÓW ZJEDNOCZONYCH
WILLIAM BUTTS MACOMBER
podczas spotkania w Nantucket Atheneum, 1990

PROLOG

1987

Clare i Lexi odkryły plażę, gdy miały dziesięć lat. Był to niewielki podkowiasty skrawek piasku położony w pobliżu leśnej drogi, przy ujściu strumyka do zatoki. Od strony lądu plażę skrywała gęsta zasłona nadmorskich traw, pałek wodnych i krzewów dzikiej róży, przez którą mogły się przedostać jedynie osoby młode wyjątkowo, zwinne i drobnej budowy, lecz by tego dokonać, i one musiały czołgać się, udając indiańskich zwiadowców z plemienia Wampanoag.

Wzdłuż plaży przechadzały się kraby, złoty piasek był upstrzony owalnymi skorupkami

mały i spiralnymi muszlami ślimaków morskich zwanych na wyspie księżycowymi muszlami. Każdą pasiastą lub cętkową — ną muszlę zwieńczył spiczasty koniuszek, który upodabniał ją do kobiecej piersi. Mewy krążyły nisko nad ziemią, od czasu do czasu w lśniącej wodzie brodziły eleganckie białe czaple. W oddali, za wrzynającym się w morze miejskim moło, przepływały wielkie promy, łodzie i żagłówki, jednak żadna nie zbliżała się do brzegu. Woda była tutaj zbyt płytka.

Nigdy nie widziały na plaży innych osób — żadnych śladów na piasku czy porzuconych papierków.

W gorące dni wypływały daleko w chłodne, przejrzyste morze, szukając syren. Czasami same udawały syreny; ich długie włosy unosiły się wokół twarzy niczym wodorosty, a skóra przybierała niesamowity zielony odcień.

Zbierały muszle na biżuterię, wycinały tajemne wzory w kawałkach drewna wyrzuconych na brzeg, wysyłały wiadomości w butelkach, ukrywały skarby w lesie wokół moczarów.

Uwielbiały swój magiczny zakątek, własny świat fantazji. Dla nich nie było to jedynie miejsce na mapie, to był inny rodzaj rzeczywistości i wyraz więzi silniejszej, niż da się opisać słowami. Nie mówiły o tym miejscu nikomu, żadnym dziewczynom ani bratu Lexi, Adamowi, ani rodzicom.

Były na plaży niemal codziennie; gdy przyjeżdżały do lasu na rowerach, chowały je między drzewami. Nosily kostiumy kąpielowe, klapki i T—shirty, opalały się na brąz — z wyjątkiem nosów, które pokrywały się ognistą czerwienią. Podczas roku szkolnego spotykały się na Księżycowej Plaży późnymi popołudniami lub w weekendy, by opowiadać sobie o ważnych rzeczach; były najlepszymi przyjaciółkami, i to już od piątego roku życia.

W czasie deszczu i najgorszych zimowych miesięcy musiały bawić się w domu, choć nie sprawiało to im tyle radości, ile zabawy na dworze — za bardzo przypominało realny świat. Gdy Lexi przychodziła do przyjaciółki, Clare, decydowała, co będą robić. Zwykle były to zabawy w dom, organizowane w jej sypialni, która zamieniała się w całkiem spore mieszkanie.

Zajmowały je wraz z tuzinem dzieci odgrywanych przez pluszowe zwierzęta i lalki Clare. Gdy dziewczynki podrosły, Clare przez cały weekend eksperymentowała w kuchni, przygotowując jedzenie na następny tydzień dla swojej prawdziwej rodziny — jej odczytanych, uzdolnionych artystycznie rodziców i siebie samej. W deszczowe dni uwielbiała przesiadywać w przytulnej kuchni, wypełnionej zapachem cynamonu i masła. Gdy myła naczynia, przyjemność sprawiał jej nawet widok pokrywających się parą okien.

Lexi nużyło siedzenie w domu. Ona chciała wyjść na zewnątrz. Ona chciała podróżować do dalekich krain, pragnęła przygód, więc kiedy Clare przychodziła do niej, zamieniały oparcia sof w wielbłądy i słonie, same zaś przebierały się za tancerki brzucha lub Cyganki.

Szanowały swoją odmienność, a nawet nieco zazdrościły sobie nawzajem. Lexi chciała, by jej matka była taka jak mama Clare, która spędzała większość czasu w swojej pracowni na tyłach podwórza i zapominała zrobić zakupy lub posprzątać, ale czasami siadywała z dziewczynkami, przeglądała z nimi książki o sztuce i omawiała szczegółowo dzieła Moneta, Sargenta lub Childe'a Hassama. Od czasu do czasu Ellen Hart zabierała dziewczynki na wykłady o artystach pochodzących z Nantucket, takich jak Anne Ramsdell Congdon, Maginel Wright Barney czy Frank Swift Chase, a w Lexi wzbierało wówczas pragnienie odmiany. Z zalem myślała wtedy o swojej rodzinie, o wiecznie zmęczonych rodzicach, którzy po powrocie ze sklepu nigdzie już nie wychodzili, lecz kompletnie wyczerpani padali na sofy i oglądali bezmyślnie telewizję.

Clare z kolei zazdrościła Lexi jej nieco większej i znacznie dostępniejszej rodziny. Lexi

miała starszego brata, Adama, który wypełniał dom hałasem i ruchem, trzaskiem zamykanych w pośpiechu drzwi, odgłosami piłki uderzającej o podłogę i gromkim chrapliwym śmiechem. Czasami w zimowe sobotnie wieczory cała czwórka Laneyów gromadziła się przy kuchennym stole, by grać w monopol, scrabble albo clue. Jeśli Clare" była wówczas u przyjaciółki, chętnie przyłączała się do zabawy, uwielbiała bowiem rodzinne przepychanki i dobrodusze żarciki. Clare często piekła ciastka, herbatniki, a nawet ciasto z owocami specjalnie na te sobotnie wieczory u Laneyów.

Trzynaste lato ich życia wydawało się odmienne od dotychczasowych.

Dziewczynki odczuwały dziwny niepokój, irytacja i napięcie przypominały ciszę przed burzą. Obie zaczęły miesiączkować, Lexi wystrzeliła w górę, miała prawie sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, obie też zostały obdarzone wątpliwym błogosławieństwem kobiecych piersi. Oczywiście próbowały ukryć, odsunąć od siebie oznaki dojrzewania. Nadały sobie czule, żartobliwe przezwiska — niższa, ciemnooka Clare była „Łanią”, a wysoka, szczupła Lexi „Bocianem”. Nosiły luźne ubrania, by ukrywać zmiany zachodzące w ich ciałach, wkrótce jednak zrozumiały, że są bezradne, jakaś siła, zawładnęła nimi i dryfuje na fali niczym kawałki drewna.

Clare zakochała się w starszym bracie Lexi, Adamie. Był wysokim barczystym piętnastolatkiem o jasnych, wypłowiałych od słońca włosach i niebieskozielonych oczach — takich samych jak oczy Lexi. Mówił głębokim, niskim głosem, a jego swobodny śmiech przyprawiał Clare o dreszcze.

Lexi z kolei zadurzyła się w najlepszym przyjacielu Adama, Trisie, przystojnym, postawnym chłopaku obdarzonym płomienście rudymi włosami i głębokim dudniącym głosem.

Czasami Adam przychodził do domu Trisa albo grał w piłkę lub baseball z kolegami. Czasami Tris wpadał do Adama. Wtedy dziewczynki wychodziły z pokoju Lexi, skradały się po domu i szpiegowwały chłopców; zerkwały na nich zza drzwi, chowały się za meblami i szczypały nawzajem po rękach tak mocno, że na ich skórze zostawały potem wyraźne ślady.

Pewnego sobotniego popołudnia Adam, Tris i jeszcze trzech chłopcy siedzieli przy kuchennym stole i grali w pokera. Clare i Lexi udawały, że oglądają telewizję w salonie, wychodziły jednak do kuchni tak często, jak tylko pozwalało im na to poczucie przyzwoitości, a to po chipsy, a to po colę, potem znów po jabłka. Gdy gra dobiegła końca, chłopcy wstali od stołu i wyszli z kuchni, śmiejąc się donośnie. Lexi i Clare natychmiast wypadły z pokoju, po czym wybiegły na zewnątrz, wskoczyły na rowery i pojechały na Księżycową Plażę.

Ukryły rowery w krzakach i przedarły się przez gąszcz krzewów dzikiej róży, błotni leśnej i wysokich, ostrych jak brzytwa traw. Ziemia pod ich stopami mlaskała i chlupotała cicho. Małe gałązki dzikich śliw drapały ich po rękach, parły jednak naprzód, dopóki nie stanęły na ukrytej plaży. Przed nimi rozciągały się błękitne wody zatoki, za nimi wyrastała półkolistą ścianą roślinności, która oddzielała je od realnego świata.

Opadły na kolana i wyjęły skradzione skarby.

Na papierowej serwetce leżały resztki kanapki, kawałek chleba, na którym pozostał ślad zębów Trisa.

Clare miała jabłko nadgryzione przez Adama.

— Tutaj były jego usta — wyszeptala Lexi. Przyłożyła chleb do warg i zamknęła oczy, myśląc o oddechu Trisa.

Clare przesunęła palcami po wilgotnym miąższu jabłka i pomyślała o prostych białych zębach Adama.

Lexi zachichotała, by rozładować trochę nazbyt podniosłą atmosferę.

— Niezłe z nas wariatki, co?

Lecz Clare była nadal poważna. Po drugiej stronie zatoki, przy miejskim moło, wypiarze malowali dna swoich łódek turkusową lub szkarłatną farbą. Blask słońca iskrzył na falach niczym fajerwerki, w powietrzu unosił się zapach soli i wiosny. Wszędzie dokoła, na gałęziach krzewów i drzew zieleniły się pąki — otwierały się niczym małe dłonie odsłaniające jakieś sekrety. Clare czuła, że i w niej coś się otwiera, coś budzi się do życia.

— Lexi, zawrzyjmy umowę. Obiecujemy sobie, że nie przyprawimy tutaj żadnych facetów oprócz tych, za których będziemy chciały wyjść.

— Mówisz o małżeństwie!? Daj spokój, to będzie za milion lat.

— Wiem, ale mimo wszystko... — Clare rozłożyła ręce, obejmując tym gestem plażę, wodę i tę chwilę, tak brzemioną i tak osobistą. — To nasze miejsce, Lexi. A świat się zmienia. My się zmieniamy, nie czujesz tego?

Lexi skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

Clare przesunęła czubkiem palca po powierzchni jabłka.

— Teraz tylko się bawimy. Wiesz o tym, prawda? Ale któregoś dnia to wszystko będzie prawdziwe. A ja nie chcę... no wiesz... zepsuć tego miejsca.

Lexi poprawiła się na piasku.

— Wiem, o czym myślisz. I masz rację.

— To nasza plaża — powiedziała z naciskiem Clare. — Nie przyprawimy tu byle faceta...

— No tak, bo takie laski jak my będą zmieniać chłopaków jak rękawiczki! — drażniła się z nią Lexi.

Clare wciąż jednak zachowywała powagę.

— Przysięgam, że nie przyprawię tutaj żadnego mężczyzny oprócz tego, za którego będę chciała wyjść.

Lexi uspokoiła się nieco.

— Ja też przysięgam.

Zanurzyły ręce w wodach Zatoki Nantucket, a potem z powagą uściśniły sobie wilgotne dłonie.

Lexi znów zachichotała.

— Clare, powiedziałaś: żadnego mężczyzny.

Spojrzały na siebie, zdumione, wystraszone i podekscytowane.

CZEŚĆ PIERWSZA

JEDEN

1994

Dzień dobry pani Laney, gdzie jest Lexi?

Clare weszła do sklepu Laneyów z pasmanterią i odzieżą, wnosząc ze sobą podmuch rześkiego październikowego powietrza. Jej kręcone ciemne włosy oplatała opaska w szkocką kratę, oczy lśniły jasno, rozpalone niedawnym meczem. W drugiej klasie szkoły średniej Clare

oddawała się całym sercem grom zespołowym.

Myrna Laney wybijała właśnie transakcję na kasie.

— Wygraliśmy?

Clare podniosła dłoń zaciśniętą w pięść.

— Wielorybnicy cztery, Wareham wielkie tłuste zero!

— Brawo, dziewczyny! — Pani Moody, która kierowała miejscowym chórem, podniosła wzrok znad karty kredytowej. — Został wam tylko jeszcze jeden mecz przed turniejem, zgadza się?

— Tak. — Tym razem Clare zacisnęła mocno kciuki.

Myrna włożyła zakupy Patricii Moody to torby.

— Lexi sprząta właśnie przymierzalnie — zwróciła się do Clare. — Śmiało, możesz do niej iść.

Na drugim końcu sklepu znajdowały się cztery przymierzalnie. Lexi zbierała porzucone ubrania i zakładała je z powrotem na wieszaki.

— Cześć, Laniu — przywitała się z uśmiechem. Twarz — Clare mówiła wszystko: — Widzę, że wygraliście.

— Zwycięstwo jest słodkie! — Odańczyła krótki taniec radości, po czym podniosła z podłogi sweter i powiesiła na wieszaku. — Naprawdę mogłabyś spróbować pograć w hokeja na trawie.

— Jasne, bo jestem prawdziwą sportsmenką.

— Myślę, że mogłabyś być, gdybyś tylko spróbowała.

Chuda Lexi obdarzyła ją ciężkim spojrzeniem.

— No dobrze, mogłabyś być lepsza, niż ci się wydaje — poprawiła się Clare.

— Nieważne. — Lexi machnęła ręką. — Muszę tu pracować po szkole i w soboty, nie mam nawet czasu na oglądanie meczów. Rodzice dają mi wolne tylko na mecze futbolowe.

— Wiem. — Clare przesunęła dłonią po wełnianych spodniach i rozprostowała zagięcia. — To nie fair.

— Daj spokój, nie ma problemu. Wiesz dobrze, że straszna ze mnie łamaga i że nie przepadam za sportem. Poza tym zbieram pieniądze na wycieczkę klasową do Nowego Jorku.

— Do Nowego Jorku? Myślałam, że na wiosnę jedziesz z klasą francuską do Paryża.

Lexi oparła się o ścianę.

— Nie mówiłam ci? Już nieaktualne. Nie uda mi się zebrać tyle kasy.

— Szkoła chyba się do tego dokłada. Po co myślimy samochody i organizowałyśmy loterie?

— Rodzice dostali list ze szkoły. Musimy dopłacić jeszcze tysiąc dolarów. Nie damy rady tyle zebrać.

— Cholera... — Clare przygryzła wargę, zastanawiając się nad czymś.

— Okej, skoro ty nie jedziesz, ja też nie.

— Masz okazję pojechać do Paryża i nie skorzystasz z niej? Chyba zwariowałaś...

— Nie będę miała z tego żadnej przyjemności, jeśli ciebie tam nie będzie — odparła

Clare. Niosąc przed sobą naręcz ubrań, wróciła z Lexi do głównej części sklepu. — Poza tym mam gdzieś Paryż. Bardziej zależy mi, żebyś w listopadzie przyszła nam pokibicować na turnieju drugiej ligi.

— Jeśli Wielorybnicy wygrają w przyszłym tygodniu.

— Wygramy. Więc musisz przyjść na ten turniej, jasne? — Pociągnęła Lexi za rękaw,

udając natrętne małe dziecko. — Proszę, bardzo proszę...

— Idź dręczyć moją mamę. — Lexi roześmiała się. — To ona układa mi plan zajęć. Dzwonek nad drzwiami zabrzączał delikatnie, gdy pani Moody wyszła ze sklepu.

Ponieważ zostały tylko we trójkę, Clare podeszła do mamy Lexi.

— Pani Laney, czy Lexi mogłaby mieć wolne w sobotę za dwa tygodnie, żeby przyjść na nasz turniej?

— Puszczam ją już w czwartek po południu, żeby mogła pojechać z tobą na Cape Cod, kiedy będą ci poprawiać aparat korekcyjny — przypomniała jej Myrna.

— A jeśli będziemy grać z Vineyard? — Martha Vineyard, „druga wyspa”, była największym rywalem Nantucket we wszystkich dyscyplinach sportu.

— Zgoda. — Myrna poddała się. — Jeśli będziecie grać z Vineyard.

— Super! — Clare pochyliła się nad ladą i uściskała matkę Lexi. — Pani jest najlepsza.

— Wieczorem robimy chili con carne — powiedziała jej Myrna. — Doszliśmy z Fredem do wniosku, że już najwyższy czas, żebyście nauczyły się grać w brydża.

— Jest nas za mało do gier planszowych, bo Adama nigdy nie ma w sobotę wieczorem. Zrobił się strasznie ważny, odkąd zaczął ostatnią klasę — zawołała Lexi z drugiego końca sklepu.

— Bardzo chętnie nauczyłabym się grać w brydża. — Clare uśmiechnęła się. — I uwielbiam pani chili. Przyniosę deser.

— Coś z czekoladą? — zaciekawiała się Lexi.

— Co tylko zechcesz. Ciasto... a może pieguski...

Clare pomachała im na pożegnanie i wyszła prosto w słoneczny jesienny dzień.

DWA

1996

Clare przesunęła językiem po gładkiej powierzchni zębów. Stała w kolejce do wejścia na pokład szybkiego promu Hy—Line. Chodziła do ostatniej klasy szkoły średniej i wreszcie pozbyła się ohydneho aparatu! Czowała się wzruszona, uradowana i nieco roztrzęsiona. I dziwnie samotna.

Kiedy dwa lata temu zakładała aparat, ortodonta miał jeszcze swój gabinet na Nantucket, potem jednak przeniósł się na półwysep, musiała więc opuszczać wyspę, gdy wybierała się do niego z wizytą. Niekiedy było to nawet przyjemne. Czasami jeździła z nią Lexi i po wizycie wybierały się na zakupy do Cape Cod Mail. Jednak w tę październikową sobotę Lexi musiała pomagać rodzicom w sklepie.

Clare rozejrzała się po kajucie. W ciągu dnia wzmógł się wiatr i morze było wzburzone, więc nie chciała zajmować miejsca na górnym pokładzie.

Jej ulubione siedzenie na samym przedzie było już zajęte. Położyła plecak na małym okrągłym stoliku i opadła ciężko na krzesło. Zaczynało padać, na iluminatorach promu pojawiły się długie, rozwleczone krople. Kolejka pasażerów wchodzących na pokład przyspieszyła, gdy deszcz przybrał na sile.

Na samym końcu kolejki dreptała maleńka staruszka. Poruszała się w dziwnie, ruchy miała nieskoordynowane, po każdym kroku do przodu wykonywała dwa kroki do tyłu. Stara pani Gili, jedna z bardziej ekscentrycznych postaci na wyspie. Zbikowana, podejrzliwa pustelnica od

urodzenia mieszkała sama w upiornym, rozsypującym się domu, którego nigdy nie opuszczała na dłużej. Clare pamiętała, jak w siódmej klasie wraz z grupą znajomych z chóru kościelnego chodzili po wyspie i śpiewali kolędy.

Gdy dotarli do domu pani Gili, stara wariatka, zamiast poczęstować ich ciastkami lub czekoladą, zapaliła światło na ganku i wrzeszczała, żeby natychmiast się wynosili, bo wezwie policję. Spotykając ją czasem w mieście, Clare właściwie szczerze współczuła kobiecie, którą starość przygina do ziemi i zamienia dłonie w szpony. Dzieciaki z podstawówki układały o niej piosenki — była wyspiarską wiedźmą. Na pomarszczonej twarzy pani Gili pojawiły się nawet delikatne wąsiki i zaczątki brody. Robiła się też coraz bardziej złośliwa. Gdy ktoś uklonił się jej na ulicy, odpowiadała wściekłym warknięciem.

Mimo wszystko Clare zastanawiała się, czy nie powinna wstać i pomóc jej wejść na trap. Podniosła się z krzesła. Wtedy zobaczyła, jak Jesse Gray mówi coś do marynarza przy schodkach i wybiega w deszcz.

Jesse Gray, no, no. Najprzystojniejszy, najfajniejszy i najbardziej seksowny chłopak w najstarszej klasie. Spał już z połową dziewczyn ze średniej szkoły i z wieloma starszymi kobietami. Był po prostu fantastyczny.

Clare niemal mdlała za każdym razem, gdy witał się z nią na korytarzu.

Teraz obejmował właśnie ramieniem starą panią Gili i pomagał jej wejść na trap. Deszcz pokrył ciemnymi plamami jego dżinsy i przykleił koszulkę drużyny Red Sox do piersi. Szczęściara ze starej pani Gili!

Gdy dotarli do kajuty, pani Gili odsunęła się gwałtownie od Jessego.

— Ręce przy sobie, młody człowieku! Nie potrzebuję twojej pomocy!

Kilkanaście głów odwróciło się w ich stronę. Od razu było widać, kto mieszka na wyspie, a kto nie. Ttiryści wydawali się zdezorientowani, ale wyspiarze tylko przewracali oczami. Niektórzy pokazywali Jesse'owi podniesione kciuki.

Pani Gili podreptała do ławki i kłapnęła na nią ciężko. Natychmiast zaczęła grzebać w ogromnej plastikowej torbie, którą wszędzie ze sobą nosiła.

Jesse upewnił się, że nic jej nie będzie, po czym rozejrzał się po kajucie.

Zatrzymał spojrzenie na Clare.

Uśmiechnął się.

Odpowiedziała uśmiechem.

— Cześć, Clare. — Jesse podszedł do niej wolnym krokiem. — Co słychać?

Przystanął i usiadł na krześle naprzeciwko.

O mój Boże, o mój Boże, zachłysnęła się w myślach Clare. Znał jej imię! Czowała się tak przytłoczona jego obecnością, że miała ochotę piszczeć.

Jesse Gray przyszedł z nią porozmawiać!

Weź się w garść, dziewczyno, przykazała sobie surowo.

— Byłam właśnie zdjąć aparat.

— Pokaż. — Jesse pochylił się do niej.

Uśmiechnęła się nerwowo.

— Fantastycznie. Masz piękny uśmiech.

— Dzięki. — Serce biło jej trzy razy szybciej niż normalnie. — Po co byłeś na Cape?

— Musiałem zawieźć mojego pikapa do serwisu dżipa na przegląd.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Pikap Jesse'a, chevrolet z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku był sławny w mieście.

— Pewnie sporo cię kosztuje utrzymanie takiego staruszka.

— Nie masz nawet pojęcia. Poświęcam mu prawie każdą wolną chwilę.

Po szkole i w weekendy musiałem pracować w warsztacie Dona Allena.

Moje życie towarzyskie leży w gruzach.

— Słyszałam co innego — odparła Clare kokieteryjnie, zadziwiając samą siebie. Dopiero teraz zauważyła, że mimowolnie wyprostowała się na krześle i złożyła ręce za plecami, wypinając piersi do przodu. Zaczerwieniła się, szybko zmieniła pozycję i sięgnęła do plecaka po butelkę z wodą, choć wcale nie chciało jej się pić.

— Nie wierz we wszystko, co ci mówią — przestrzegł Jesse. Krople deszczu spływały mu z włosów na twarz i pierś.

Clare wyjęła z plecaka bluzę sportową.

— Jesteś przemoczony. Włóż to.

— Dzięki, mamusiu. — Jesse uśmiechnął się szelmowsko.

Potem podniósł ręce i zdjął mokrą koszulkę, odsłaniając muskularną pierś, porośniętą delikatnymi blond włosami. Wsunął przez głowę bluzę.

Jesse był szczupły i niewiele wyższy od Clare, lecz bluza mocno go opinała.

Zauważył, że Clare mu się przypatruje.

— No i co myślisz?

Przełknęła z trudem.

— O czym?

Podniósł ręce i obrócił się lekko w miejscu, niczym model.

— Ostatni krzyk mody?

— Raczej wołanie o pomoc.

Parsknęli śmiechem.

— Napijesz się czekolady? — spytał.

Skinęła głową.

— Jasne.

Kiedy poszedł do barku, prom wypłynął na otwarte wody cieśniny. Jesse zamierzał spędzić z nią całą podróż! Clare — znów upomniała siebie w myślach — nie zachowuj się jak idiotka.

Wrócił z gorącą czekoladą w papierowych kubkach. Gdy zdjęli pokrywki, wypłynęły smugi pary.

— Pisziesz coś do szkolnego magazynu literackiego? — spytał.

— Nie. Nie mam zdolności literackich, chociaż mój tata uczy angielskiego.

— Jesteś uzdolniona artystycznie?

Wiedział, czym zajmuje się jej rodzina. Zwracał więc na Clare uwagę.

Pokręciła głową.

— Nie umiem rysować ani malować. — Pochyliła się do przodu. — Ale wiesz co? Umieję gotować. Uwielbiam gotować.

— Będiesz mi kiedyś musiała pokazać.

Coś w jego wzroku, w ciepłym spojrzeniu oczu które skupiało się tylko na niej, sprawiło, że powiedziała:

— Jasne. Bardzo chętnie.

I nawet się nie bała, gdy wypowiedziała te słowa. Była gotowa.

W sobotę po spotkaniu z Jessem na promie zaprosiła go do swojego domu na kolację i

wspólne oglądanie telewizji. Powiedziała o tym rodzicom, którzy wyrazili zgodę w typowy dla siebie, oględny sposób. Nie informowała o niczym Lexi, bo nawet sama nie wiedziała, czy to randka. Tak czy inaczej, było to ekscytujące i przerażające i należało tylko do niej.

Prawdopodobnie i tak nic się nie wydarzy. Pewnie jutro powie o wszystkim Lexi i obie będą się śmiać z jej głupoty.

Mimo to, gdy przyszło do wyboru ubrania, zachowywała się jak wariatka. Przymierzyła ładny sweterek, po czym odrzuciła go na bok — za elegancki. Zdecydowała się na czerwoną koszulkę z długimi rękawami, która podkreślała jej ciemne włosy i oczy.

Przygotowała potrawkę dzień wcześniej, by smaki przemieszały się przez noc. Później gratulowała sobie tej przezorności, bo gdy zobaczyła Jessego, straciła na moment dech w piersiach. W dzinsach i białej, eleganckiej koszuli wyglądał naprawdę męsko. Była kompletnie oszołomiona.

— Cześć, Jesse, wejdz, kolacja gotowa, pomyślałam, że zjemy w salonie, chcesz pooglądać MTV? — Wiedziała, że papla jak nakręcona, ale nie mogła się powstrzymać.

— Jasne. — Wszedł do jej domu, spokojny i wyluzowany.

Gdy przeszli do kuchni, nałożyła potrawkę i wręczyła mu talerz.

— Nie zrobiłam sałatki, faceci zwykle nienawidzą sałatek, poza tym w potrawce jest sporo warzyw...

— Boże, czy naprawdę musiała się zachowywać jak sześćdziesięcioletnia dietetyczka? Miała ochotę zatkać sobie usta ręką.

— Pachnie fantastycznie. — Palce Jessego dotknęły na moment jej dłoni, gdy brał talerz. O mało nie zemdląca.

— Coś do picia? — spytała piskliwym głosem.

— Chętnie. Mleko albo wodę.

Zaprowadziła go do pokoju i nagle poczuła się zakłopotana, że są tam zupełnie sami.

— Mój tata wyjechał na konferencję — wyjaśniła. Wcześniej przygotowała już rozkładane tacki do jedzenia przy telewizji, na które wyłożyła teraz drżącymi dłońmi sztuczce i przyprawy. — A mama jest w swojej sypialni. Zawsze kładzie się wcześniej do łóżka...

— A niech to, do łóżka. — Bierze ze sobą kubek herbaty rumiankowej i książkę. Od malowania bolą ją plecy.

— Moi rodzice też wyjechali z wyspy. — Jesse usiadł na sofie i przysunął sobie tacę.

Sofa! — pomyślała Clare, czerwieniąc się. Dlaczego postawiła tacki obok siebie?

Dlaczego od razu nie napisała sobie na czole: Mam nadzieję, że dotkniemy się udami! Usiadła, odsuwając się od niego najdalej, jak to było możliwe.

— Przepyszne, Clare — powiedział Jesse.

— Dzięki.

Zobaczyła, jak oblizuje wargi i na moment straciła dech w piersiach.

— Lubię ten kawałek. — Wskazał głową na telewizor.

— Ja też. — Musiała jeść, nie mogła tak siedzieć i gapić się na niego.

Jakoś udało im się przebrnąć przez posiłek. Gdy skończyli jeść, odłożyli tacki na bok. Jesse pomógł jej zanieść naczynia do kuchni.

— Może lody? — Wcześniej zastanawiała się, czy nie upiec ciasta, ale doszła do wniosku, że to byłoby ob— ciachowe.

— Jasne.

Gdy przemieszczała się po kuchni, każdy jej ruch był na tyle znaczący, na ile zbliżał ją do Jessego. Jakoś udało jej się donieść i wręczyć mu pucharek z lodami, po czym oboje przeszli z

powrotem do salonu, gdzie w przytłumionym blasku lamp migotał kolorowy ekran telewizora.
Usiadła na sofie. Jesse usiadł obok niej, ale bliżej niż poprzednim razem.

Zjadł deser i odstawił pucharek na tacę. Odwrócił się, by spojrzeć prosto na nią.

— Chciałbyś pooglądać coś innego? — spytała nerwowo.

— Raczej nie. A ty?

Pokręciła głową. Siedział zbyt blisko. To wszystko było przytłaczające, miała ochotę się rozpłakać.

— Hej. — Jesse uśmiechnął się. — Nie miej takiej poważnej miny. Pokaż mi swój boski uśmiech.

Clare zamrugła i rozciągnęła usta w niepewnym uśmiechu.

Jesse delikatnie przesunął czubkami palców po jej zębach.

— Bardzo ładnie. — Musnął palcami jej usta. — Tu też bardzo ładnie.

Pochylił się i pocałował ją.

Bała się, że zrobi coś niewłaściwego. Nie umiała się całować. Wiedziała, że Jesse jest doświadczony, a nie chciała wyjść w jego oczach na naiwną, żalostną niezdarę.

Pocałunek był jednak zdumiewająco naturalny, ciepły i przyjemny. Odsunęła się nieco do tyłu i spojrzała w niebieskie oczy Jessego.

— Jesse. Nie chcę być dla ciebie tylko kolejną... dziewczyną.

Uśmiechnął się jak anioł.

— Wiem o tym, Clare. Jesteś wyjątkowa. Zaufaj mi.

Zaufała mu.

W poniedziałek w porze lunchu Clare weszła tanecznym krokiem do szkolnego bufetu. Nie była wcale głodna. Szczęście wypełniało ją do tego stopnia, że nie miała już ochoty na cokolwiek innego. Dofrunęła do stołu, przy którym zwykle siadała z Lexi i grupką innych dziewczyn, które nie były co prawda cheerleader—kami, ale poza tym nic im nie brakowało.

Uśmiechnęła się, gdy wyobraziła sobie, jak wspomni od niechcienia, że chodzi z Jessem Grayem.

Ktoś pochwycił ją mocno za łokieć. Clare obróciła się w miejscu.

— Cześć, Lexi.

Lexi wyglądała, jakby miała eksplodować.

— Spotykasz się z Jessem Grayem?

Clare skrzywiła się lekko.

— Lex, to było tylko jedno spotkanie. Nie wiedziałam, że on traktuje to poważnie.

— Poważnie? — powtórzyła Lexi, zszokowana. — Nie mogę uwierzyć, że mi o tym nie powiedziałas.

— Lex. — Ujęła przyjaciółkę pod ramię i poprowadziła ją w stronę kolejki do bufetu. — Uspokój się. Patrz na nas. Posłuchaj, zadzwonię do ciebie, opowiem ci o wszystkim.

Lexi skinęła głową.

— Przyjdź do mnie po szkole.

Clare znów się skrzywiła.

— Hm... po szkole robię coś z Jessem.

Dwa dni później spotkały się na Księżycowej Plaży. Było to jedno z tych złotych jesiennych popołudni, gdy Nantucket wyglądało jak raj — jakby lato miało tu trwać wiecznie, wraz z bogactwem złotych plaż, ciepłego dotyku powietrza na skórze i słonecznych iskier na błękitnej wodzie.

Lex była poruszona.

— Clare, czyś ty zwariowała? — Chodziła wte i we— wte po plaży.

Sama nie wiedziała, dlaczego jest taka zdenerwowana, taka wystraszona.

— Lexi, nie znasz go — broniła się Clare. Nie spodziewała się po niej takiej reakcji. — Jesse jest naprawdę miły.

— Jesse Gray jest naprawdę seksowny, to miałaś na myśli. — Choć dzień był wyjątkowo ciepły, Jesse otuliła się mocniej swetrem. — Clare, Jesse to łajdak, dobrze o tym wiesz.

— Nie mów tak. Daj spokój, to dla mnie ważne. Naprawdę lubię Jessego.

— I właśnie to jest straszne, Clare. Ty go lubisz, ale on chce się tylko dobrać do twoich majtek.

— Skąd możesz to wiedzieć? — Clare ujęła się pod boki w wyzywającej pozie. — A gdyby nawet, to co? już czas, żebym straciła dziewictwo.

— Ale nie chcesz chyba być tylko kolejnym nazwiskiem na jego liście — Lexi nie dawała za wygraną.

Clare uśmiechnęła się promiennie.

— Spójrz na to z mojego punktu widzenia. Może chcę, żeby on był moim pierwszym kochankiem.

— Kochankiem. — Lexi parsknęła. — Clare, on cię skrzywdzi!

— Nawet jeśli, to i tak będzie warto.

Lexi otworzyła usta ze zdumienia.

— Ja ciebie chyba w ogóle nie znam.

— Daj spokój, Lex!

Przyjaciółka była naprawdę dotknięta.

— Obiecuj mi jedno — zaczęła z powagą. — Obiecuj, że nie przyprowadzisz go na Księżycową Plażę.

— Och, Lexi... — Jakże ona jest dziecinna, pomyślała. Clare czuła się mądrzejsza i bardziej doświadczona.

Lexi przygryzła w zamyśleniu paznokieć.

— Może przyprowadzisz go kiedyś. Gdy będziesz już wiedzieć, że za niego wyjdiesz.

Clare prychnęła.

— A kogo obchodzi stara głupia Księżycowa Plaża! — Zamilkła, zszokowana, widząc ból w jej oczach. — Och, Lexi, przepraszam. Nie chciałam... Posłuchaj, obiecuję, że nie przyprowadzę go na Księżycową Plażę.

Dla Clare w ostatniej klasie szkoły średniej wszystko kręciło się tylko wokół Jessego. Chodziła na zajęcia, odrabiała zadania, zdawała na studia i została przyjęta, ale to wszystko nie miało znaczenia. Liczył się tylko Jesse.

Pracował po szkole i w weekendy, więc mieli bardzo mało czasu dla siebie, lecz te rzadkie chwile były naprawdę słodkie.

Nie chodziło tylko o seks. Chodziło o coś więcej. O ciepło, bezpieczeństwo, dom. Zdarzało się, że Clare stała pochylona nad zlewem i płukała naczynia, a on mówił coś do niej. Pochylała głowę, by usłyszeć go przez szum wody, a on podchodził do niej i obejmował ją w pasie. Opierała się wtedy o niego, wtulała głowę w jego ramię, on zaś opierał brodę o jej czoło. Stali tak w milczeniu i sycili się szczęściem.

Nie było między nimi niepewności, niezręczności, nieszczerých gier.

Wszystko wydawało się czyste, uczciwe, nieskalane. Po trzech tygodniach Jesse powiedział Clare, że ją kocha. Odparła, że ona także kocha jego. Na Gwiazdkę dał jej naszyjnik z

diaamentowym sercem. Rozmawiali o przyszłości. Clare szła na Uniwersytet Massachusetts, ale nie wiedziała jeszcze, w czym chce się specjalizować. Jesse przyznał z uroczym zakłopotaniem, że chciałby założyć zespół. Zamierzał przez kilka lat koncentrować się na doskonaleniu śpiewu i gry na gitarze, może nawet nagrać jakąś płytę. Kiedy o tym mówił, Clare zachęcała go do działania, lecz w rzeczywistości drętwiała z przerażenia. Słyszała, że muzycy prowadzą bardzo rozrywkowe życie, po każdym występie sypiają z innymi kobietami. Przyszłość wydawała się skomplikowana i niepewna, pełna niebezpieczeństw i zmian. Była tak zaabsorbowana Jessem, że nie zauważyła nawet, jak rzadko widuje się z Lexi. Poza tym teraz to się stało trudniejsze. Lepiej, gdyby Lexi się w kims zakochała, lecz ona wciąż była sama. Clare próbowała być dla niej miła, lecz jej życie, serce i dusza należały teraz do Jessego.

TRZY

1997

Podróż z Nantucket do Amherst, na Uniwersytet Massachusetts, trwała około pięciu godzin, zależnie od pogody. Przy silnym wietrze nie kursowały promy ani samoloty, a jeśli szalała gwałtowna śnieżycy, nie dało się nawet jechać samochodem. Być może dlatego Clare czuła się przerażona każdego dnia pierwszego roku nauki w college'u. Lubiła swoje zajęcia, uwielbiała spotykać się z innymi dziewczynami w akademiku i czuła się tylko odrobinę onieśmielona życiem i nauką w kampusie, który liczył więcej mieszkańców niż Nantucket. Jakoś radziła sobie z tym wszystkim. Obecność Lexi w tym samym kampusie również dodawała jej otuchy: czuła się dzięki temu tak, jakby zawsze miała pod ręką koło ratunkowe.

Odległość dzieląca Amherst od Nantucket niepokoiła ją ze względu na Jessego. Bo widywała go bardzo rzadko. W niektóre weekendy ona jeździła do niego, a w niektóre on jeździł do niej... jednak przez większość weekendów i przez cały tydzień ona była tutaj, a on na wyspie, beztroski, seksowny i wolny.

Lecz pomimo tej odległości jesienią dotarły do Clare pierwsze plotki.

Jessego widziano w Muse w piątkowy wieczór, gdy flirtował z Eleanor Hoston. Jesse tańczył w Chicken Box z Sandy Jones, która wisiała mu na szyi.

Jesse był w Fast Forward, pił kawę i flirtował z Alice Coffin. Ale to tylko plotki. Gdy Clare przyjechała do domu na Boże Narodzenie, Jesse wyznał jej, że spał kilka razy z Donną Tyler. To był już fakt, a nie pogłoska, a Clare spędziła całe święta w otchłani przygnębienia. Pokłóciła się z Jessem, Lexi ją pocieszała, potem znów się pogodzili, lecz gdy wracała na studia, wiedziała w głębi serca, że Jesse znów okaże się słabeuszem.

W pewnym sensie Clare zbliżyła się w tym czasie do Lexi bardziej niż za dziecinnych lat. Kiedy płakała, gdy nienawidziła samej siebie, czuła się brzydka i bezwartościowa, Lexi starała się wyciągnąć ją z dołka. Siedziała z nią godzinami, do późnej nocy, zapewniała, że Clare jest tą samą, cudowną i fascynującą osobą, którą zawsze była, że niewierność Jessego wynika po prostu z jego natury, a nie ma nic wspólnego z tym, jak Clare wygląda, jak się zachowuje i co myśli. Zachęcała przyjaciółkę, by spotykała się z innymi chłopcami, nawet jeśli nie wydawali jej się atrakcyjni.

— To część twojej studenckiej edukacji — droczyła się z nią. Lexi chodziła z piłkarzem z reprezentacji uczelni i czuła się doskonale.

Clare zazdrościła jej emocjonalnej wolności. Lexi lubiła swoje zajęcia, odkrywała w sobie

zamiłowanie do sztuki, podczas gdy wyniki Clare cierpiały na jej sercowych rozterkach i obsesji na punkcie Jessego. Wydawało się, że Lexi nurkuje w pozawyspiarskim życiu jak foka, podczas gdy Clare brodzi jedynie w płytkiej wodzie, i choć kuszą ją fale, boi się opuścić bezpieczną plażę. Znała takich, którzy wyjechali z Nantucket, a potem wracali ze spuszczoneymi głowami, bo nie potrafili poradzić sobie w realnym świecie. Nie chciała się do nich upodobnić. Wiedziała, że chce przez całe życie mieszkać właśnie na Nantucket, z wyboru, nie z konieczności.

Odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie nadeszło lato. Zatrudniła się w sklepie ze słodyczami i pracowała tam, gdy tylko mogła, lecz większość dni i całe noce poświęcała Jesse'owi. Szczerze żałował swoich grzeszków i przysięgał, że już nigdy jej nie zdradzi, a tego lata, gdy byli ze sobą każdej nocy, Clare powoli zaczęła mu ufać. Rozmawiali o wspólnej przyszłości, zgadzali się, że muszą zaoszczędzić sporo pieniędzy, nim zaczną snuć poważne plany. Jesse chciał zbudować dom, a Clare uznała, że to wspomniały pomysł.

Jednak ziemia na wyspie była droga. Clare powiedziała Jesse'owi, że odłoży wszystkie zarobione latem pieniądze na specjalne konto w banku, przeznaczone na ich dom. Rodzice opłacali jej chesne i inne wydatki, lecz aby zarobić na nowe ubrania, bilety do kina i kawę przyjęła jeszcze podczas roku akademickiego pracę na część etatu na uniwersytecie.

Początkowo było to naprawdę cudowne lato. Mieszkała w domu, a ponieważ rodzice jak zwykle byli pochłonięci sobą, prawie nie zauważali, że Clare spędza większość nocy poza domem. Dni były gorące, wilgotne, pełne światła, a ona uwielbiała nosić lekkie sukienki, które wkładała do pracy.

Uwielbiała dotyk słońca na skórze i bryzę we włosach. Nocami zwykle chodziła z Jessem na zabawy odbywające się na plażach, których nie odkryli jeszcze turyści. Pili piwo albo wino, dzielili się plotkami z minionego dnia, spacerowali wzdłuż brzegu, trzymając się za ręce, a czasami, w najgorętsze noce, pływali w ubraniach i wychodzili z wody oklejeni przemoczoną tkaniną.

— Mam gęsią skórę — mówiła Clare, a on obejmował ją, tulił do siebie i ogrzewał, a potem śmiał się, gdy wyczuwała przez materiał jego erekcję.

Lexi nigdy nie bywała na tych zabawach, bo pracowała w eleganckiej restauracji. W pewnym sensie Clare była z tego zadowolona. Pomimo dobroci przyjaciółki i wsparcia, którego udzielała jej na pierwszym roku studiów, czuła się nieswojo, gdy spotykali się wszyscy troje. Lexi trzymała się z dala od Jessego, jakby ten był nosicielem jakiejś groźnej zakaźnej choroby, zaś Jesse, który zawsze obściskował się ze swoimi przyjaciółmi i przyjaciółkami, w towarzystwie Lexi stawał się dziwnie niezdamny. Witał ją co najwyżej skinieniem głowy. Prawdę mówiąc, Clare cieszyła się w duchu, że rzadko widuje przyjaciółkę.

CZTERY

Lexi zawsze lubiła lato, szczególnie początek, gdy niebo było pełne światła, a ona mogła się cieszyć perspektywą wielu ciepłych, słonecznych dni.

Po pierwszym roku studiów czuła, że życie stoi przed nią otworem. Zdała wszystkie egzaminy celująco i znalazła swoje powołanie: pragnęła specjalizować się w sztuce. Malarstwo, rzeźba, grafika, fotografia, projektowanie — chciała studiować wszystko. Na razie jednak miała dopiero dziewiętnaście lat i całe wakacje przed sobą — chciała się bawić. Zamierzała pracować w sklepie rodziców, a w wolnych chwilach chodzić na plażę i tańczyć co noc.

Jednak już na początku czerwca uświadomiła sobie z przerażeniem, że ich rodzinny biznes podupada, przegrywa z eleganckimi butikami, które zawładnęły miasteczkiem. Mijały dni, do sklepu zaglądała garstka klientów, a ci zwykle kupowali tylko parę skarpetek albo słomiany kapelusz. Adam był w Bostonie, studiował weterynarię na Uniwersytecie Tufts, co pochłaniało wszystkie jego pieniądze i sporą część oszczędności rodziców. Pewnej nocy Lexi podsłuchiwała rozmowę rodziców — zastanawiali się, jak zdołają spłacić kredyt i jednocześnie pomóc Adamowi.

Następnego dnia, gdy pracowała w sklepie, odkurzała półki i układała towary, których i tak nikt nie oglądał, przyjrzała się ukradkiem rodzicom.

Wyglądali na zmęczonych, a Fred się garbił — choć prostował ramiona, gdy tylko do sklepu wchodził klient. Myrna zaczynała siwieć.

Tej samej nocy Lexi otworzyła drzwi swojego pokoju i wytężyła słuch.

— Będziemy musieli zamknąć sklep pod koniec lata — oświadczył ojciec ponurym tonem.

Myrna zaczęła płakać.

— Ten interes zakładał jeszcze twój dziadek.

Głos ojca był pełen tłumionych emocji i żalu, gdy odpowiedział:

—Więc powiedz mi, Myrno, co innego możemy zrobić? I tak musimy już jakoś powiedzieć Adamowi, że sam będzie musiał opłacać studia.

Mama westchnęła ciężko.

— Przynajmniej kiedy skończy weterynarię, będzie mógł zarobić na swoje utrzymanie. Nie wyobrażam sobie, z czego będzie żyć Lexi po tych swoich studiach.

Być może w tej właśnie chwili Lexi dorosła. Z pewnością wtedy zrozumiała, że jest odpowiedzialna za swoje życie. Rodzice robili wszystko, co w ich mocy. Lecz co ona mogła zrobić? Była przerażona. Chciała porozmawiać o tym z Clare, ale ta całymi dniami uganiała się za Jessem — ledwie znajdowała czas, żeby porozmawiać z nią przez telefon. Poza tym Lexi nie była pewna, czy powinna rozmawiać o rodzinnych finansach nawet z Clare.

Na wyspie pieniądze były tematem tak samo popularnym jak pogoda. Milionerzy, którzy mieszkali tu w swoich pałacach tylko przez miesiąc w roku, wywindowali ceny nieruchomości do poziomu niedostępnego dla przeciętnej rodziny. Miejskowe gazety co tydzień pisały o rosnącej wartości ziemi i domów. Clare nie musiała się tym martwić. Jej ojciec uczył w średniej szkole, a matka była artystką, nie musieli borykać się z problemami finansowymi, bo ojciec odziedziczył dom po swojej matce. Nie musieli spłacać kredytu. To dawało im wolność, o której większość ludzi mogła tylko pomarzyć.

A gdyby nawet porozmawiała z Clare, cóż ta mogłaby jej zaoferować?

Współczucie, jasne, lecz wielu mieszkańców wyspy wiedziało o trudnej sytuacji Laneyów, a ich współczucie bliskie było litości, której Lexi nie potrafiłaby znieść.

Doszła do wniosku, że może im pomóc tylko w jeden sposób.

Pewnego wieczoru, gdy jedli kolację, oświadczyła swobodnym tonem:

— Chyba nie wrócę na studia w tym roku.

— Och, kochanie! — Matka pochyliła się do niej nad kuchennym stołem. — Powinnaś normalnie studiować.

Jednak wyraz ulgi, który pojawił się na twarzy Freda, był dla Lexi potwierdzeniem, że obrała słuszny kierunek.

— To przecież nic strasznego. Zawsze mogę wrócić. Mnóstwo znajomych robi sobie roczną przerwę. Zostanę tu i zbieram trochę pieniędzy.

— Nie uzbierasz zbyt wiele, jeśli będziesz pracować w sklepie — odparł ojciec ponurym tonem.

\— Nie ma problemu, tato. — W tym momencie chciała jedynie, by na jego twarz wrócił uśmiech. — Będę pracować jako kelnerka. W ten sposób mogę naprawdę sporo zarobić.

— Cóż... — Po chwili Fred skinął głową. — To dobry pomysł, Lexi.

— Bardzo dobry pomysł — przytaknęła matka.

Lexi była dumna z siebie i bardzo smutna. Czowała się tak, jakby jej przyszłość unosiła się nad jej głową niczym kolorowy balon, przywiązany do ziemi i czekający tylko, by zabrać ją ze sobą w przestworza... a ona właśnie przecięła tę linę i mogła jedynie patrzeć, jak jej nadzieje odpływają w dal i znikają jej z oczu.

Później, tego samego wieczoru, zamknęła drzwi swojej sypialni i zadzwoniła do Clare.

Ale nie było jej w domu.

Była z Jessem.

Nie potępiła przyjaciółki za to, że zadurzyła się w Jessem. Urzekły Clare jego blond włosy, niebieskie oczy i ujmujący uśmiech, on po prostu miał w sobie coś, co sprawiało, że nie można mu się było oprzeć. Mimo to, gdy zaczęli chodzić ze sobą w ostatniej klasie szkoły średniej, Lexi była przekonana, że to nie potrwa długo. On nigdy nie umawiał się z jedną dziewczyną dłużej niż przez kilka tygodni. Słuchała więc spokojnie, gdy Clare wygłaszała peany na cześć Jessego i wyznała jej, że kochali się ze sobą — powiedziała „kochali się”, a nie „uprawiali seks” — i że jest w nim zakochana do szaleństwa. Uważała, że Clare się łudzi i że przeżyje ogromne rozczarowanie, gdy Jesse rzuci ją dla innej. Wspierała ją jednak i obiecała sobie, że będzie przy niej, gdy ten związek się rozpadnie.

Lecz nic takiego się nie stało. Mijały kolejne tygodnie, a Jesse wciąż był z Clare, przestał nawet sypiać z innymi dziewczynami. Stali się prawdziwą parą, najstojniejszą w szkole. Lexi poczuła się odstawiona na boczny tor. Clare nie miała już dla niej czasu: zawsze była z Jessem. Przestała się Lexi zwierzać; nie chciała zdradzać tajemnic swojego chłopaka, choć powiedziała, że marzy o karierze piosenkarza folkowego. O tym, że kompletuje zespół folkowy, wiedzieli już jednak niemal wszyscy na wyspie. Lexi czuła się odrzucona przez Clare, nawet zdradzona, czuła się gorsza, i czy właściwie nie była gorsza? Uwielbiany Jesse wybrał z tłumu właśnie Clare.

Nikt nie wybrał Lexi. Och, miała chłopaków, wielu chciało się dobrać do jej majtek, ale żaden jej nie kochał.

Gdy Clare i Lexi studiowały na uniwersytecie, Jesse pracował na wyspie jako cieśla. Clare miała dla niej więcej czasu, ich przyjaźń znów ożyła.

Wtedy stało się coś, czego Lexi się obawiała i na co jednocześnie liczyła.

Clare dowiedziała się, że Jesse ją zdradza. Przyszła do Lexi ze swoim żalem i złością, a ona poczuła i żal, i ulgę. Powiedziała jej to, co naprawdę myślała: że Jesse nie był dla niej odpowiednim facetem, że nie był dla niej dość dobry, że znajdzie prawdziwą miłość w ramionach kogoś innego.

Potem wrócili razem do domu. Jesse pstryknął tylko palcami, a Clare natychmiast do niego popędziła, jakby ją zahipnotyzował. Znalazła pracę w sklepie ze słodyczami i spędzała wolny czas niemal wyłącznie w towarzystwie Jessego.

Lexi postanowiła, że tego lata sama się o siebie zatroszczy. W minionym roku poczuła się na tyle pewna siebie, że przeżyła swój pierwszy romans z przystojnym futbolistą z uniwersyteckiej reprezentacji, i to ona z nim zerwała. Była więc doświadczona, mniej zależna od Clare. Poza tym miała na wyspie innych przyjaciół. Przestała dzwonić do Clare i zaczęła częściej bywać w ich towarzystwie. Gdy nie pracowała i miała jeszcze dość sił na zabawę, spotykała się z nimi na plaży lub w barze.

Zrezygnowała też z pracy w sklepie rodziców. W ciągu dnia sprzątała domy, a wieczorami pracowała jako kelnerka w wytwornej francuskiej restauracji, La Maison. Przestała kupować kolorowe czasopisma i drogi lakier do paznokci, a stan jej konta zaczął wreszcie powoli rosnać. Starła się patrzeć w przyszłość z optymizmem.

Jednak dzięki nowej pracy przekonała się dobitnie, jak ogromny dystans dzieli jej życie od życia naprawdę bogatych ludzi — to przepaść nie do przebycia.

Domy, w których sprzątała, były olśniewające, pełne obrazów i rzeźb, wystrój zapierał dech w piersiach. Każdy pokój sam w sobie był dziełem sztuki, kolory ścian, podłóg i mebli idealnie ze sobą współgrały, a wyspiarski krajobraz obramowany przez okna wyglądał tu jak kolejne dzieło sztuki, które można mieć za pieniądze. Nawet lubiła sprzątać w tych domach — były tak cudownie urządzone, że czuła się w nich jak w domku dla lalek.

Myślała, że praca we francuskiej restauracji również będzie jej sprawiać przyjemność, ale inni pracownicy i szef kuchni tworzyli zamknięty krąg, rozmawiali ze sobą po francusku i traktowali Lexi z góry. Z kolei klienci pochodzili chyba z innej galaktyki. Były starsze pary, kobiety o ufryzowanych włosach, ubrane w stylu królowej Elżbiety, lecz nie brakowało również ludzi w wieku dwudziestu lub trzydziestu lat, ale właśnie te kobiety, a właściwie ich kosztowne ubrania i swobodna elegancja zapierały Lexi dech w piersiach. Zazdrościła im ich wyglądu, ich śmiechu — zazdrościła im ich zapachu. Przede wszystkim jednak zazdrościła życiowych doświadczeń.

Gdy spełniała każdą ich zachciankę — podawała menu, nalewała wino lub wodę, ustawiała przed nimi talerze, ścierała okruszki — słyszała ich rozmowy o podróżach do Paryża albo o otwarciu wystawy impresjonistów w Metropolitan Museum of Art, albo o ich ostatnim wypadzie do Toskanii.

Nie zawsze brylowały w towarzystwie głupkowate lalunie, choć Lexi wołałaby, żeby tak właśnie było. Niektóre damy obsługiwane przez nią w La Maison były archeologami, prawniczkami lub historykami sztuki. Historyk sztuki! Wydawało jej się, że to najwspanialsza rzecz, o jakiej słyszała.

Mężczyźni towarzyszący niezwykłym kobietom także byli przystojni, a przynajmniej niektórzy, wszyscy natomiast wydawali się przyzwyczajeni do rozkazywania. Lexi wiedziała, jak patrzeć na nią, czuła ich spojrzenia przesuwające się po jej długich nogach i zgrabnej sylwetce. Czasami któryś puszczał do niej oko albo uśmiechał się, budząc w niej chwilową nadzieję.

Potem jednak zawsze wracali spojrzeniem do swoich towarzyszek, a Lexi wiedziała — na tej wyspie takie historie zdarzały się często — że w najlepszym wypadku będzie to dla nich letni romans, w najgorszym — przygoda na jedną noc.

Pogodziła się ze swoją sytuacją. Przynajmniej dostawała duże napiwki.

Lecz każdego wieczoru, gdy skończyła już usługiwać bogatym, dobrze wykształconym ludziom, wracała do coraz biedniejszego, zaniedbanego domu i słuchała, jak rodzice przeglądają w kuchni księgi rachunkowe, próbując jakoś zaradzić bankructwu sklepu, który utrzymywał ich przez całe życie.

Nie chciała upodobnić się do niektórych spośród swoich szkolnych przyjaciółek; rozgoryczone, zgorzkniałe dziewczyny wymyślały paskudne przezwiska dla kobiet, u których sprzątały, którym usługiwały podczas przyjęć bądź bawiły im dzieci. Raz czy dwa udało jej się odciągnąć Clare od Jessego i wtedy od razu czuła się lepiej. Clare nie była zgorzkniała.

Rozkochana w Jessem, nie chciała żadnego innego życia prócz swojego.

Lecz Clare zdawała się kochać wyspę mocniej niż Lexi albo przynajmniej kochała ją w inny sposób; to wydawało się Lexi coraz bardziej oczywiste. Clare zamierzała mieszkać po studiach na Nantucket, podczas gdy Lexi marzyła o podróżach, chciała zobaczyć Luwr i

Koloseum, chciała chodzić do filharmonii i teatru. Pragnęła choć raz zobaczyć inne miejsca i trochę pożyć, nim osiadzie na wyspie i poświęci się usługiwaniu bogaczom.

Pewnego sobotniego wieczoru, na początku czerwca, gdy w restauracji było jeszcze sporo wolnych miejsc, Lexi odpoczywała na tyłach sali. Nagle na zaplecze wtargnęła Lauren, kierowniczką sali, czymś wzburzona. Natychmiast podeszli do niej kelnerzy oraz szef kuchni, a zarazem właściciel lokalu.

— Co się dzieje? — spytała Lexi Petera, który przynajmniej rozmawiał z nią czasem po angielsku.

— Chodzi o Eda Hardina — odparł. — Lauren nie chce dać mu stolika.

— Ed Hardin? — Lexi wysunęła głowę zza rogu i spojrzała na grupkę mężczyzn przy drzwiach. — No, no...

Tego lata społeczność Nantucket znienawidziła Eda Hardina. Był potentatem na rynku nieruchomości, człowiekiem przebiegłym, bezwzględny i potężny. Zimą kupił dziewicze, porośnięte gęstą zielenią tereny między moczarami i oceanem, po czym zabudował je olbrzymimi, drogimi rezydencjami, które przepłoszyły zwierzynę z całej okolicy i zdominowały krajobraz, zasłaniając widoki stałym mieszkańcom. Ta inwestycja nie przyniosła nic dobrego wyspie, ale znacznie wzbogaciła Eda Hardina.

— Możemy odmówić obsługi komu tylko chcemy! — syczała Lauren.

— Weź się w garść — warknął Phil, szef kuchni i właściciel. — Jeśli chcesz nawracać innych, idź do zakonu. Jesteśmy tu po to, żeby zarabiać pieniądze, a Ed Hardin ma ich więcej niż Midas, więc zamknij się, idź do niego i pięknie się uśmiechaj.

Lauren, rozwścieczona, potoczyła wzrokiem po swoich podwładnych.

— Lexi — powiedziała w końcu. — Zajmij się nim.

* * *

Ed Hardin był całkiem przystojny jak na faceta zbliżającego się do czterdziestki. Co prawda zdążył już niemal całkiem wyłysieć, ale miał czarne krzaczaste brwi, pod którymi kryły się ciemne, przesywające oczy. Obrzucił Lexi taksującym spojrzeniem, po czym uśmiechnął się do niej.

— Witam — powiedział.

Przez całe lato jadał w La Maison co najmniej raz w tygodniu, czasami w towarzystwie mężczyzn, a czasami pięknych młodych kobiet. Zawsze flirtował z Lexi, która uśmiechała się doń z wdzięcznością — zostawiał bajeczne napiwki. Przy każdej wizycie prosił o stolik, który obsługiwała Lexi, a kiedy nie było z nim żadnych kobiet, rozsiadał się wygodnie na krześle i prosił Lexi, by mówiła mu coś o sobie. Zignorowanie takiej prośby byłoby niegrzeczne, poza tym w głębi duszy cieszyła ją atencja tego bogatego i wpływowego człowieka. Wiedziała, że jest atrakcyjna, przekonała się, że długie nogi i szczupła sylwetka — w średniej szkole zyskała przezwisko „Bocian” — stały się teraz jej atutami. W pracy nosiła białą koszulę zapinaną na guziki i krótką czarną spódniczkę. Jej blond włosy były niemal białe od słońca. Wiązała je czarną wstążeczką w długi gruby kucyk.

Pewnego wieczoru Ed Hardin zapytał:

— Pracujesz tu co wieczór?

Super, pomyślała. Chce tu przychodzić tylko wtedy, gdy ja mogę go obsługiwać.

— Oprócz poniedziałków i czwartków.

— Świetnie. Pozwól, że w poniedziałek zabiorę cię gdzieś na kolację.

— Och... — Była zaskoczona, omal nie wypuściła z dłoni koszyka z chlebem.

Zakłopotana, wykrztusiła: — Och... ja... ja nie mogę. Przepraszam — po czym szybko wyszła z sali.

Tego wieczoru podczas rozmowy z rodzicami wspomniała mimochodem, że Edi Hardin zaprosił ją na kolację.

— Mam nadzieję, że odmówiłaś! — parsknął ojciec.

Mama poklepała ją czule po ręce.

— Lexi, on jest dla ciebie za stary. Ludzie jego pokroju chcieliby tylko wykorzystać taką małomiasteczkową dziewczynę jak ty.

Wiedziała, że matka miała jak najlepsze zamiary, lecz ta uwaga głęboko ją zraniła. Coś się w niej buntowało. Rodzice uważali ją za idiotkę? Czy myśleli, że jeśli jakiś bogacz zaprosi ją na kolację, to z wdzięczności spełni każdą jego zachciankę? Z drugiej jednak strony matka miała rację. Jej, Lexi, życie dzieliła od życia Eda Hardina przepaść.

Tydzień później Ed znów jadł kolację w La Maison. I znów ona była jego kelnerką. Gdy przyniosła skórzaną okładkę, w której ukryty był rachunek, położył na niej dłoń, tuż obok jej dłoni.

— Lexi, naprawdę bardzo chciałbym zaprosić cię na kolację. Powiedz tylko, kiedy możesz ze mną wyjść.

Cofnęła szybko rękę.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— W poniedziałek nie pracujesz? — Miał naprawdę miły uśmiech.

Stała się nagle obiektem zainteresowania kelnerów i klientów restauracji. Skapitulowała.

— Dobrze, w poniedziałek.

Wiedziała, że się czerwieni. Czuła się jak bohaterka eposu, która przyjmuje wyzwanie fascynującego wroga.

Zabrał ją do Chanticleer, najlepszej i najdroższej restauracji na wyspie.

Zamówił fantastyczne wino i przepyszne jedzenie. Był wyrafinowany, olśniewający, dowcipny i obyty w świecie. Wyglądało też, że naprawdę się nią interesuje. Gdy odkrył, że uwielbia sztukę, zaczął ciągnąć Lexi za język, wypytywał, jakiego malarza lubi najbardziej, jaki styl, jaki obraz kupiłaby, gdyby mogła wybierać bez ograniczeń. Spytał, czy była w Clark Museum w Williamstown. Spytał też, czy mógłby ją tam kiedyś zabrać.

Gdy odwiózł ją do domu, powiedział, że chciałby do niej wejść.

Uśmiechnęła się do siebie, zadowolona, że ma nad nim jakąś przewagę i odparła:

— Mieszkam z rodzicami.

Potem wymknęła się z samochodu, nim zdążył ją pocałować.

Przez pół nocy chodziła po pokoju, starając się zużytkować jakoś nadmiar energii produkowanej przez sprzeczne emocje. Ed Hardin nie pociągał jej fizycznie. Był od niej starszy o dwadzieścia lat, nieco niższy i korpulentny. Ale podobało jej się to, jak czuła się w jego obecności. Nie wyśmiewał jej opinii o sztuce, choć w gruncie rzeczy niewiele o tym wiedziała. Sprawiał, że sama wydawała się sobie interesująca i mądra.

Musiała koniecznie porozmawiać z Clare.

— Czyś ty zwariowała? — wrzasnęła Clare.

Było gorące lipcowe popołudnie. Siedziały w alejce za sklepem, w którym pracowała Clare. Lexi namówiła przyjaciółkę, by poświęciła jej przerwę na lunch i porozmawiała z nią chwilę.

—Clare, daj sobie wytłumaczyć. Ed traktuje mnie...

— Tu nie ma czego tłumaczyć! — Clare była tak wzburzona, że odłożyła kanapkę na bok,

wstała i zaczęła się nerwowo przechadzać. — Lexi, po pierwsze, Ed Hardin to okropny człowiek. Jak możesz w ogóle pozwolić, żeby nabierał cię na gadkę o sztuce — ten człowiek za jednym zamachem zniszczył kilka hektarów wyspy!

Lexi skinęła głową, pokonana tym argumentem.

—Wiem...

— A po drugie, choć właściwie od tego powinnam zacząć, bo cię kocham i nie chcę, żeby ktoś ciebie wykorzystał, a potem wyrzucił jak brudną chusteczkę, ten facet chce cię po prostu uwieść.

— Może nie — sprzeciwiła się nieśmiało Lexi.

— Naprawdę? Myślisz, że chodzi mu o twój intelekt? Że jesteś dla niego interesująca? Lexi, Ed Hardin to drapieżca! Dla niego jesteś tylko ładną i młodą gazelą w wielotysięcznym stadzie!

Lexi skrzyżowała ręce na piersiach i uniosła dumnie głowę.

— Nieprawda.

— Oszukujesz samą siebie. — Z oczu Clare pociekły nagle łzy. — Lexi, Lexi, daj spokój! Nie pakuj się w to.

— Spojrzała na przyjaciółkę jak na odrażającego gada.

— Kochanie, gdybyś związała się z tym facetem, to jakbyś przywiesiła sobie na plecach napis: „Jeśli masz pieniądze, możesz mnie przelecieć”.

— Clare, nie traktuj mnie tak!

— Nie traktuj tak siebie!

Lexi otworzyła już usta, by się odciąć — zamierzała powiedzieć, że Jesse powinien przywiesić sobie napis: „Jeśli jesteś kobietą, możesz mnie przelecieć!”. Chciała być tak samo wulgarna i krytyczna jak Clare, ale ugryzła się w język. Clare i Jessego łączyło coś zupełnie innego niż ją i Eda Hardina.

Ed zadzwonił, by ponownie się z nią umówić. Grzecznie odmówiła, twierdząc, że jest zajęta.

— W porządku, więc kiedy jesteś wolna?

Zawahała się na moment.

— Posłuchaj, ja nie mogę... nie jestem.

— To tylko kolacja, Lexi, I rozmowa. Lubię twoje towarzystwo.

Wydawał się łagodny i rozsądny. Nie miał w sobie nic z potwora. Nie był potworem.

— Cóż...

Podczas następnej randki, przy kolacji w Top— pers, Ed opowiedział jej o swoim życiu. Wychował się na przedmieściach Kansas City, miał szczęśliwe dzieciństwo i kochającą rodzinę, studiował na uniwersytecie Midwest, ożenił się młodo i miał troje dzieci, teraz już nastolatki. Był rozwiedziony.

Rzadko spotykał się z byłą żoną, ale pozostawali w przyjaznych stosunkach.

— Lubię to, co robię — powiedział jej. — Jestem z tego dumny.

— Jak możesz być z tego dumny? — oburzyła się. — Przecież ty... niszczysz ziemię. Jesteś jak plaga. Ludzie na wyspie nienawidzą ciebie.

Uśmiechnął się łagodnie, niedotknięty ani trochę jej słowami.

— Wszystko zależy od perspektywy, Lexi. Tworzę luksusowe rezydencje dla ludzi wykonujących trudne i odpowiedzialne zawody — jeden z moich domów kupił chirurg specjalizujący się w przeszczepach, a inny prawnik, który zajmuje się prawami obywatelskimi.

Potrzebują miejsca, gdzie mogliby uciec przed światem, zaczerpnąć oddechu, rozluźnić się i nabrać sił. Znajdą coś lepszego niż dom otoczony cudowną scenerią, morzem i zielenią? Tutaj mogą naładować baterie i wrócić do pracy pełni werwy.

Czarował słowami, oplatał ją nimi. Rozumiała już jego punkt widzenia.

— Na świecie jest sporo miejsc tak samo olśniewających jak wyspa Nantucket — kontynuował. — Działam na szeroką skalę: zbudowałem osiedla w okolicach Vail, Palm Springs i Miami. Ludzie wiedzą, że w moich domach będą się czuć naprawdę dobrze.

Skinęła głową, zastanawiając się nad jego słowami. Miał rację, na świecie nie brakowało miejsc tak samo pięknych jak Nantucket. Tyle że ona nie widziała żadnego. A bardzo by chciała.

— No i co o tym myślisz? — Clare pochyliła się do przodu, czekając niecierpliwie na werdykt Lexi. Okryła letnią sukienkę fartuchem poplamionym czekoladą.

Lexi siedziała przy stole w kuchni Clare.

— Pyszne. Ale może trochę...

— Za dużo cynamonu, tak?

Był gorący niedzielny poranek, zbliżał się koniec września. Z samego rana Clare zadzwoniła do Lexi i zaprosiła ją na śniadanie. Obie miały tego dnia wolne, a Jesse wybrał się w sobotę na męski wieczór przy piwie i nie zamierzał wstawać przed południem.

— Na pewno ma kaca — stwierdziła Clare, podczas rozmowy telefonicznej. — Poza tym nie widziałyśmy się całe wieki, chciałabym też, żebyś powiedziała mi, co myślisz o bułeczkach czekoladowych, które niedawno wymyśliłam.

Uradowana niespodziewaną propozycją natychmiast się zgodziła. Włożyła koszulkę i szorty, wskoczyła na rower i popędziła do przyjaciółki. Ojciec Clare wyjechał, by szukać materiałów do swojej książki, a mama była już w pracowni i malowała.

Lexi przechyliła lekko głowę, pozwalając, by smak ciasteczka rozplynał się jej w ustach.

— Tak, chyba troszeczkę za dużo cynamonu.

— Wiem, masz rację. — Clare chwyciła notes i zapisała jakieś uwagi.

Kiedy podniosła głowę, jej twarz promieniała radością. — Och, Lexi, nawet nie wiesz, ile przyjemności daje mi praca w tym sklepie! Szczególnie wymyślanie nowych przepisów. Zastanawiam się nawet, czy nie przenieść się na jakieś studia związane z żywieniem. — Zakręciła się po kuchni, wstawiła naczynia do zlewu i wycierała blaty.

Lexi uznała, że to dobry moment, by wyjawić Clare prawdę; obie były w dobrych nastrojach, a przez okno wpadały promienie słońca.

— Prawdę mówiąc, ja tam nie wrócę.

— Gdzie nie wrócisz? — Clare pochyliła się, by włożyć talerz do zmywarki. — Do La Maison?

— Na studia. Na uniwersytet.

Clare wyprostowała się i spojrzała ze zdumieniem na Lexi.

— Co ty opowiadasz!? Musisz wrócić. Chyba nie zamierzasz do końca życia sprzątać domów?

Lexi wzięła głęboki oddech.

— Moich rodziców na to nie stać.

— Och... — Clare opadła ciężko na krzesło. — Och... To okropne.

Lexi wdzięczna jej była za okazaną troskę, czuła jednak, jak budzi się w niej złość.

Wyprostowała się dumnie na krześle.

— Na miłość boską, przecież to nie tragedia. Spójrz tylko na Jessego.

On nie studiuje.

Clare parsknęła.

— Jesse na studiach? Nawet trudno to sobie wyobrazić. Niektórzy ludzie po prostu nie są do tego stworzeni, ale ty przecież uwielbiasz sztukę...

— Spojrzała na przyjaciółkę z czułością i współczuciem. — Co będziesz robić?

Przez chwilę Lexi bawiła się w milczeniu widelcem.

— Jeszcze nie wiem.

Clare spojrzała na nią spod przymrużonych powiek.

— Spotykasz się z Hardinem?

Lexi odwróciła wzrok.

— We wrześniu chce mnie zabrać do Williamstown. Do muzeum sztuki.

— Lexi, proszę. On myśli tylko o tym, jak się do ciebie dostać.

— I cóż z tego, przecież to nie koniec świata. Zresztą uważam, że nie masz racji. Myślę, że on mnie lubi.

— Dajże spokój, nie mów mi, że chodzi mu tylko o twój intelekt! W porównaniu z nim jesteś jeszcze dzieckiem!

— Ja tak nie uważam. Na pewno mu się podobam. Jestem wysoka, szczupła i młoda. Lubi się ze mną pokazywać. Ale to nie znaczy, że chce mnie tylko przelecieć — dodała szybko.

— Tak, bo to jeszcze jeden sposób, żeby utrzymać nosa wyspiarzom. Zupełnie jakby chciał powiedzieć, że może kupić i wykorzystać nie tylko naszą ziemię, ale też nasze kobiety.

— Clare, jesteś dla niego zbyt surowa.

— Jeśli chcesz wiedzieć dlaczego, to pojedź na Pelpis Road i przyjrzyj się jego osiedlu. A przecież nie będzie tutaj mieszkał i nie przekaże choćby części swoich miliardów miastu, nie, pojawia się tutaj jak... jak bombowiec, rozwała kawałek wyspy, a potem znika.

— Pozwala odpocząć w spokoju zestresowanym ludziom — broniła się słabo Lexi.

— Posłuchaj. Prześpij się z nim, dobrze? Idźcie do łóżka, niech cię wreszcie zaliczy, może potem da ci spokój!

Po Święcie Pracy*1 na wyspie zrobiło się nagle spokojniej. Większość turystów wróciła do domów, by przygotować dzieci do szkoły, a siebie do pracy. Lexi straciła pracę przy sprzątaniu domów, które zamknięto aż do następnego sezonu, okrojono jej również godziny w La Maison. Wiedziała, że musi znaleźć pracę na pełny etat, choć była to właśnie najgorsza pora na szukanie stałego zajęcia.

Być może dlatego, że miała sporo wolnego czasu i dlatego, że wielu przyjaciół, także Clare, wyjechało na studia, a być może i dlatego, że tak naprawdę sama tego chciała, przyjęła zaproszenie Eda i zgodziła się pojechać z nim do Williamstown, by obejrzeć obrazy impresjonistów w muzeum sztuki.

W napadzie szaleństwa Lexi wydała połowę swoich ciężko zarobionych pieniędzy na trzy sukienki i parę fantastycznych butów w jednym z najdroższych butików na wyspie. Teraz, gdy spacerowała u boku Eda przez chłodne ciche wnętrza muzeum, wyglądała naprawdę szykownie. Widziała to w pełnych podziwu spojrzeniach innych ludzi; czuła się niezwykle elegancka, wyjątkowa, wydawało jej się, że patrzą na nią nawet oczy ludzi z portretów.

Tego wieczoru Ed zabrał ją do restauracji, której skórzaną, tajemniczą wnętrze z ciemnymi meblami przypominało jakąś wielką, znaną na całym świecie bibliotekę. Jadłospis był jeszcze dłuższy niż w La Maison, lecz przy daniach nie podawano cen. W niskiej misie ustawionej pośrodku ich stołu 1 *W Stanach Zjednoczonych Święto Pracy obchodzone jest w pierwszy poniedziałek września.

pływały róże, w nastrojowym półmroku migotały świece umieszczone w srebrnych

stojakach i w naściennych kinkietach. Lexi zadrżała na myśl, że w tej chwili, w tym miejscu i w tej cudownej, czarnej sukience, którą włożyła na wieczór, też musiała wydawać się innym wykształcona i obyta jak wytworne klientki La Maison.

Ed przyglądał się jej z uznaniem.

— Zauważyłaś już pewnie, że jesteś obiektem podziwu.

Starła się zachować spokój. Była uradowana i wystraszona zarazem. Ed zarezerwował dla nich dwa pokoje — połączone drzwiami. Upiła łyk szampana zamówionego przez Eda i po raz kolejny przypomniała sobie w duchu, że przede wszystkim powinna zachować spokój. Chciała być kimś więcej niż w rzeczywistości była.

— To był cudowny dzień, Ed — powiedziała.

Czy on naprawdę się zaczerwienił? Wydawało się, że jej szczerość wprawiła go w zakłopotanie.

— To prawda. Który obraz podobał ci się najbardziej?

Roześmiała się.

— Nie byłabym w stanie wybrać jednego obrazu! — Potem, nieco już poważniej, dodała: — Ale najbardziej zainteresowały mnie obrazy Mary Cassatt. Czytałam trochę o niej i o Salonie paryskim z osiemdziesiątych lat dziewiętnastego wieku. Była jedną z niewielu kobiet, które wystawiały razem z malarzami uważanymi teraz za mistrzów, z Renoirem, Monetem, z Degasem. Biedny Degas! Wiesz, że nigdy się nie ożenił? Nienawidził określenia „impresjonizm” i uważał, że żaden malarz nie może mieć życia prywatnego. W późniejszym wieku stracił wzrok, był bardzo samotny... — Umilkła nagle, zawstydzona swoim entuzjazmem.

— Mów dalej — zachęcił Ed. — Proszę. To fascynujące. Nigdy nie zajmowałem się prywatnym życiem artystów.

— Cóż... — Pociągnęła kolejny łyk szampana. Dlaczego właściwie mówiła o tym wszystkim temu bogaczowi?

— Proszę, naprawdę. — Ed obdarzył ją czarującym uśmiechem. — Zawsze interesowały mnie życiorysy ludzi sukcesu.

Po kolacji przechadzali się po parku wokół hotelu. Powietrze było gorące i wilgotne, przesycone zapachem róż. Przez chwilę przyglądali się fontannie, wodzie spływającej po marmurze. Lexi pomyślała, że to dobra okazja, by Ed ją pocałował. By ujął za rękę...

Lecz on ujął ją tylko delikatnie pod ramię.

— Już późno — powiedział. — Jutro musimy wstać, żeby zdążyć na prom.

Szła w milczeniu u jego boku, gdy wrócili do hotelu i wjechali windą na swoje piętro. Zatrzymali się pod drzwiami jej pokoju, a Ed powiedział oficjalnym tonem:

— Dobranoc, Lexi. Dziękuję ci za cudowny wieczór.

— Och... — Czuła się zakłopotana, niepewna. — Myślałam...

Położył jej dłoń na ramieniu i uśmiechnął się łagodnie:

— Wszystko, co może się jeszcze wydarzyć tej nocy, zależy tylko i wyłącznie od ciebie.

Drzwi między naszymi pokojami pozostają zamknięte, ale możesz je otworzyć. To twój wybór.

— W porządku, rozumiem...

— Do zobaczenia rano.

Odszedł do swojego pokoju, odprowadzony spojrzeniem Lexi. Stwierdziła ze zdumieniem, że czuje się rozczarowana. Niemal porzucona.

Gdy weszła do swojego pokoju, stanęła przed wysokim naściennym lustrem. Przed wyjściem do restauracji ułożyła włosy w prosty, klasyczny kok. Nie robiła makijażu, musnęła tylko szminką usta, lecz szampan przyprawił ją o rumieńce. Była zgrabna, szczupła i tak, była

elegancka, atrakcyjna.

I czerwieniła się. Może po szampanie, może ze zdenerwowania, sama nie była tego pewna, ale wiedziała, że wciąż się czerwieni.

Dlaczego właściwie nie miałabym się z nim przespać? — pomyślała.

Prawdopodobnie i tak już nigdy go nie zobaczy.

A może zobaczy go następnego lata w La Maison, a on będzie wtedy kokietował i uwodził inną młodszą kelnerkę, ona pójdzie w zapomnienie, tak jak przewidziała Clare.

Lecz do następnego lata zostało jeszcze mnóstwo czasu. Aż do dziś czuła się okropnie samotna. Jej brat był na studiach w Bostonie, rodzice zajmowali się zwijaniem interesu, a większość przyjaciół wyjechała na uniwersytet. Była przecież młoda: dlaczego nie mogła sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa? Dlaczego miała odmawiać sobie seksu i namiętności w ramionach bogatego, fascynującego mężczyzny?

Raz jeszcze przejrzała się w lustrze. Powinna się przebrać w seksowną, skąpą koszulę nocną? Nie. Jeśli nie otworzy tych drzwi w tej chwili, zacznie się zastanawiać, podda się wątpliwościom, pozwoli, by ogarnął ją strach. Wyglądała najlepiej, jak mogła. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi sąsiedniego pokoju.

Ed stał przy łóżku. Zdejmował właśnie marynarkę. Jego biała koszula lśniła niczym śnieg.
— Witaj.

Lexi przekroczyła próg jego pokoju.

— Pomyślałam...

Nagle zaczęła drżeć. Uprawiała już seks z chłopcami — no właśnie, z chłopcami, z niedoświadczonymi, niezdarnymi chłopcami. Zacisnęła dłonie w pięści i wyprostowała się. Pomyślała, że musi zachować godność.

— Pomyślałam, że chciałabym pójść z tobą do łóżka.

— Naprawdę? — Twarz Eda złagodniała. — Miałem nadzieję, że się na to zdecydujesz. Podeszła do niego powoli. Czuła, jak jedwab sukni przesuwają się po jej udach.

— Chcesz... chciałbyś, żebym się rozebrała?

Przyciągnął ją do siebie i delikatnie uściskał.

— Lexi. — Pocałował ją i przesunął dłońmi po jej ramionach. — Tak, Lexi, chciałbym, żebyś się rozebrała. Ale najpierw chciałbym, żebyś usiadła. Proszę. — Wskazał gestem na krzesło.

Zaskoczona, spełniła jego prośbę. Usiadł obok niej i przyglądał jej się przez chwilę.

— Jesteś naprawdę piękna.

Była tak przejęta, że bała się otworzyć usta.

— Lexi — odezwał się Ed. — Co byś powiedziała, gdybym poprosił cię o rękę?

Wyjął z kieszeni czarne aksamitne pudełeczko, w którym krył się pierścień z wielkim diamentem.

Clare niemal trzęsła się ze złości. Był wczesny niedzielny poranek, na początku ciepłego i wilgotnego września.

— Nie mogę uwierzyć, że kazałaś mi przyjść na Księżycową Plażę, żeby powiedzieć mi coś takiego!

— Umówiliśmy się, że tu będziemy mówić sobie o ważnych rzeczach!

— broniła się Lexi.

Clare tupnęła nogą.

— Nigdy mi nie wybaczysz, że nie powiedziałam ci od razu o Jessem, prawda?

Lexi zrzuciła z nóg klapki i rysowała palcem jakieś wzory na piasku, zbierając myśli. Po chwili zastanowienia odparła:

— Clare, tu nie chodzi o ciebie i Jessego. Tu chodzi o ciebie i mnie. O naszą przyjaźń. Myślałam, że jest wyjątkowa.

— Bo jest. — Clare wyciągnęła do niej rękę. — Kocham cię, Lexi, wiesz o tym. Zawsze będziesz moją najlepszą przyjaciółką. I zawsze wiedziałyśmy, że kiedyś się zakochamy; to część dorastania.

— I właśnie dlatego poprosiłam cię, żebyś spotkała się tutaj ze mną.

Chciałam ci powiedzieć, że zamierzam wyjść za Eda Hardina.

— No nie, przecież ten człowiek jest okropny! Co się z tobą stało, że chcesz za niego wyjść? Wiesz, że nie możesz go pokochać. Wychodzisz za niego dla pieniędzy, więc właściwie niczym nie różnisz się od dziwki!

Lexi, dotknięta do żywego, odparowała:

— Wiesz coś o tym, prawda? Sypiasz z największą zdzirą w mieście.

Jesse ma rozum w rozporku. Na pewno utrzyma was oboje dzięki wspaniałemu zespołowi, którego jakoś ciągle nie może założyć!

— Nie rozmawiamy o Jessem — wycedziła Clare przez zaciśnięte zęby.

— Tylko o twoim małżeństwie z Edem Hardinem. To niemoralny, chciwy, skończony dupek!

— A ty jesteś tylko prowincjonalną gęsią, której ambicje nie sięgają wyżej niż tyłek Jessego Graya! — odcięła się Lexi.

Clare przygryzła policzek, by powstrzymać łzy. Wzięła głęboki oddech i uniosła dumnie głowę.

— Cóż, ogromnie się cieszę, że zaprosiłaś mnie do tego wyjątkowego miejsca, żeby odbyć ze mną miłą rozmowę — oświadczyła ironicznym tonem. Odwróciła się na pięcie, pokonała kilkoma krokami pustą plażę i zniknęła za ścianą zielonej roślinności.

Lexi stała przez chwilę nieruchomo, zeszywniała z bólu i przerażenia, po czym opadła na kolana i zapłakała gorzko. Jej rodzice mieli kłopoty finansowe, jej najlepsza przyjaciółka nienawidziła jej, była samotna — była zgubiona. Możesz tylko brać to, co daje ci życie, pomyślała. Clare chciała Jessego. Ed Hardin chciał jej. Zamierzała za niego wyjść.

CZĘŚĆ DRUGA

PIĘĆ

2006

Clare oparła się o drzwi łazienki i spojrzała na Jessego, który właśnie się golił.

— Naprawdę, Jesse, nie chcę tego robić.

— Daj spokój, kochanie. Powinnaś się tam pokazać, inaczej uznają to za brak szacunku. Jesse rozciągnął twarz w dziwnym grymasie, goląc delikatną skórę między nosem i ustami.

Dwa tygodnie wcześniej sztorm zatopił łódź rybacką Tony'ego Kostnera, a Clare

zastanawiała się teraz, czy musi iść na jego pogrzeb.

— Cóż, ja nigdy nie szanowałam Anthony'ego. Był pijakiem, arogantem i chamem.

Pochylił się nad umywalką i obmył twarz zimną wodą. Potem sięgnął po ręcznik i wytarł się.

— To nasz kolega ze szkoły, Clare. Poza tym, nie chodzi tylko o Tony'ego — dodał, marszcząc brwi. — Także o Georgeann.

To imię zawisło między nimi niczym gęsta mgła skrywająca niebezpieczne, niewidoczne bagno. Wystarczył jeden krok, by ugrzęźli w nim na dobre, by szamotali się w przerażeniu, próbując wypłynąć na powierzchnię, uwolnić się od koszmaru.

Jesse minął Clare bez słowa i wyszedł z łazienki. Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Miała wrażenie, że całe jej życie, każda decyzja, każdy czyn, były powiązane z miłością do Jessego i z jego romansami.

Przez ostatnie dwanaście lat opierała swoje życie na przeświadczeniu, że ona i Jesse są dla siebie stworzeni. Wydawało się, że ma rację — do czasu, aż przystojny, wyluzowany, słodki Jesse wyznawał jej po raz kolejny, że pozwolił sobie na szaleństwo, och, trudno to nawet nazwać przygodą, po prostu popełnił kolejny maleńki, zupełnie nieistotny błąd w ramionach innej kobiety, w jej łóżku. Biedny Jesse, naprawdę.

Clare zrywała z nim za każdym razem. Jednak wcześniej czy później, ta niepowstrzymana siła, która połączyła ich w średniej szkole, znów przyciągała ich do siebie.

Pod koniec zeszłego lata, gdy umierała uwielbiana przez Jessego mama Clare, Jesse oświadczył się Clare. Przysięgał, że już nigdy nie będzie spotykać się z innymi kobietami. Chciał się ożenić, mieć dzieci z Clare, gotów był się ustatkować. „Jasne, i tym razem mam ci uwierzyć, bo?” — odparowała Clare. „Nie, dzięki”. Wiedziała, że Jesse próbuje tylko uszczęśliwić jej matkę — to była jedna z jego uroczych cech: lubił okazywać ludziom serce.

Dwa miesiące później, w obecności ojca Clare, oświadczył się ponownie.

Tym razem oświadczyły zostały przyjęte.

Wierzyła, że od tej pory Jesse jej nie zdradził. Lecz widok jednej z jego byłych „przygód” zawsze ją bolał, a Georgeann Kostner to ostatni błąd Jessego.

Kostnerowie zatrudnili go, by wyremontował puste pomieszczenie nad garażem i zamienił je w mieszkanie do wynajęcia. Tony ciągle wypływał na połów. Georgeann przynosiła Jessemu gorącą kawę i zostawała na pogaduszki. Pewnego dnia poprosiła, by pomógł jej otworzyć zacięte okno w sypialni, a potem, jak to często bywało z Jessem, trafił do jej łóżka.

Po kilku tygodniach Clare dowiedziała się od przyjaciółki, która słyszała od innej przyjaciółki, że w porze lunchu auto Jessego stało przed domem Kostne— rów przez kilka ładnych godzin. Gdy Clare zapytała go o to wprost, przyznał się do wszystkiego i błagał o wybaczenie. Zarzekał się, że Georgeann wcale mu się tak bardzo nie podobała, że właściwie w ogóle go nie obchodziła, ale wciąż nie dawała mu spokoju, była strasznie napalona, a on uległ słabości.

Po historii z Georgeann Clare powiedziała Jessemu, że z nim zrywa, tym razem na zawsze. Spakowała jego rzeczy i wrzuciła do jego samochodu.

Zamówiła identyfikację przychodzących numerów i nie podnosiła telefonu, gdy do niej dzwonił. Nie otwierała mu drzwi.

Ona też miała romans, z najlepszym przyjacielem Jessego, przeraźliwie nieśmiałym Amosem. Gdy Jesse się o tym dowiedział, podbił mu oko. Clare miała ogromne poczucie winy, gdy się o tym dowiedziała. Wcześniej myślała, że odbierze to zupełnie inaczej, że będzie zadowolona, iż udało jej się obudzić zazdrość Jessego. Tymczasem było jej tylko ogromnie żal

zarówno Jessego, jak i Amosa.

Potem zachorowała mama, a Jesse przychodził ją odwiedzać. Clare i Jesse znów zbliżyli się do siebie, aż w końcu doszło do zaręczyn. Tym razem Clare była przekonana, że Jesse już nie będzie się łajdaczył. Wierzyła, że dotrzyma złożonych obietnic, ufała mu, gdy mówił, że ją kocha i że chce spędzić z nią resztę życia. Mimo to nie potrafiła znaleźć w swoim sercu ani umyślnie argumentów przemawiających za tym, że powinna iść na pogrzeb Tony'ego.

Przeszła za Jessem do sypialni i zamknęła drzwi, by jej ojciec nie słyszał kłótni.

— Wątpię, czy Georgeann chce, żebym tam przychodziła.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Oszalałaś? Myślisz, że rzuci się na mnie na pogrzebie własnego męża?

— Nie, nie to miałam na myśli. Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko. Poza tym powinna wiedzieć, że nie przepadałam za Tonym.

Jesse pochwycił białą koszulę, włożył ją i zapiął wszystkie guziki. Wyglądał w niej naprawdę fantastycznie.

— Będą tam też jego rodzice i brat z siostrą. Lubisz Renę.

— To prawda, lubię Renę. Ale nie byliśmy nigdy przyjaciółkami. Nawet nie zauważy, że mnie nie ma.

— Oczywiście, że zauważy. Daj spokój, Clare, nie chodzi tylko o Tony'ego, ale o całą wyspę. Straciliśmy jednego z naszych. Nieważne, czy go szanowaliśmy, czy nie, był jednym z nas. To tak jak... jak... jak z opieką nad Lillian O'Malley. Nie mówimy przecież: Och, ta głupia dziwka za dużo brała, popsuła sobie mózg i teraz nie może nawet przejść przez ulicę, bo zaraz się zgubi. Jeśli ktokolwiek widzi ją gdzieś w mieście, woła ją do samochodu i odwozi do domu. Poświęcamy jej czas, choć na tej wyspie czas to pieniądz. Tony zachowywał się w szkole jak ostatni dupek, to prawda, i właściwie wcale nie zmądrzał od tego czasu, ale był rybakiem, synem tej wyspy, a ty jesteś jej córką, więc po prostu nie wypada nie iść na ten pogrzeb.

Spojrzała na Jessego, który włożył właśnie spodnie od najlepszego i jedyne ciemnego garnituru, po czym zajął się wiązaniem krawata. Jego świeżo umyte włosy lśniły jak słońce. Wyglądał pięknie. I miał rację, gdy mówił o Tonym i wyspiarskiej społeczności. Między innymi właśnie dlatego kochała Jessego — bo był nieodłączną częścią tej wyspy, a wyspa i jej mieszkańcy byli częścią jego.

— Masz rację, Jesse. Powinam pójść. Pójdę. Daj mi chwilę, poszukam czarnej sukienki.

Niemal wszystkie miejsca w kościelnych ławach były już zajęte. Gdy Clare usiadła w ostatnim rzędzie, obok Jessego, poczuła nagle dojmujący smutek i uzmysłowiła sobie, dlaczego właściwie nie chciała brać udziału w tej uroczystości. Zbyt dobrze pamiętała jeszcze, jak siedziała w pierwszym rzędzie, obok swojego ojca, podczas uroczystości pogrzebowych matki.

Przez pierwsze dni po jej śmierci Clare czuła ulgę i zmęczenie, które pozwalały jej zapomnieć o rozpacz. Ellen Hart umierała krótko, lecz straszliwie cierpiała, a Clare była wdzięczna losowi, że uwolnił ją od bólu.

Ojciec, oszołomiony nagłą chorobą i śmiercią kobiety, którą kochał i uwielbiał, stał się apatyczny i zobojętniały. Clare musiała robić wszystko za niego, zajmować się przygotowaniami do pogrzebu, cierpliwie przyjmować wyrazy współczucia i pocieszenia od mieszkańców miasteczka.

Teraz mogła wreszcie pozwolić sobie na chwilę wytchnienia i refleksji.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Ciemność zasnuwała niebo jeszcze przed piątą, niskie temperatury i przenikliwy wiatr zniechęcały ludzi do wychodzenia na zewnątrz. Do sklepu Sweet Hart's zaglądało niewiele klientów, dopiero tuż przed świętami zrobił się nagle ruch, ludzie kupowali słodczyce na prezenty i świąteczny stół, lecz do tego czasu Clare

całymi godzinami przesiadywała w samotności. Zawsze mogła sobie znaleźć coś do zrobienia, lecz ostatnio opierała się tylko o ladę i wspominała.

Ellen Hart nie była idealną matką. Kochała męża i córkę, ale opieka nad dzieckiem i jego wychowanie sprawiały jej spore trudności. Gdy Clare skończyła dziewięć lat, Ellen miała już oddzielną pracownię i coraz częściej uciekała w sztukę. Choć wszyscy troje mieszkali razem, właściwie żyli trochę obok siebie. Clare nigdy nie mogła narzekać na brak jedzenia, ale rzadko się zdarzało, by zasiadała do stołu z obojgiem rodziców, a po jakimś czasie przejęła również większość obowiązków domowych. Mimo to nie żywiła urazy do matki. Nikt nie mógłby się gniewać na Ellen, kobietę o prawdziwie artystycznej duszy, piękną i przepełnioną jakimś bliżej nieokreślonym smutkiem. Trudno było się nie uśmiechnąć, widząc, jak rano pędzi do swojego biura, z rozwianymi ciemnymi włosami, ubrana w dżinsy, poplamiony farbą kitel i sypialniane kapcie. Gdy zajmowała się innymi ludźmi, była naprawdę czarująca. Jesse zwykle potrafił ściągnąć na siebie jej uwagę, sprawić, by rozpogodziła się i uśmiechnęła, jak większość kobiet w jego obecności. Gdy Ellen śmiała się radośnie, odchylając głowę do tyłu, po prostu urzekała swoim wdziękiem.

Podczas długich tygodni spokoju i wyciszenia, które nastąpiły po śmierci Ellen, Clare wracała myślami do wspomnień z dzieciństwa, gdy matka skupiała się bardziej na rodzinie niż sztuce. W deszczowe dni ubierała Clare w swoje romantyczne peniuary lub satynowy płaszcz kąpielowy, włączała muzykę do jakiegoś baletu i tańczyła z nią po całym domu. Deszcz odchodził wówczas w zapomnienie, ściany domu znikwały, Clare była królową elfów, a Ellen księżniczką, wirowały w tańcu pośród chmur.

Pewnej jesieni, gdy Clare miała siedem, może osiem lat, koleżanka z jej klasy urządzała przyjęcie z okazji Halloween. Clare chciała być syreną, a mama wyczarowała jej kostium z turkusowej satyny z ogonem, który ciągnął się za nią niczym lśniąca błękitna strzała. Niewielkie rozcięcie z boku kostiumu pozwalało Clare dreptać małymi kroczkami, tak jak robiłaby to prawdziwa syrena. W jej kręconych ciemnych włosach lśnił diadem zrobiony z opaski, do której Ellen przykleiła muszle i cekiny. Clare chętnie nosiłaby go codziennie, od rana do nocy.

W przeddzień przyjęcia zaprosiła do siebie Lexi. Była tak przejęta i zachwycona swoim bajecznym kostiumem, że postanowiła przymierzyć go jeszcze raz, w obecności najlepszej przyjaciółki. Lexi była oczarowana, chodziła powoli wokół Clare i dotykała delikatnie jej długiego ogona, po czym usiadła nagle na podłodze i rozplakała się. Jej rodzice byli zajęci pracą w sklepie, nie mieli czasu, by przygotować jej jakiś oryginalny strój, zamówili więc zwykły kostium księżniczki, który okazał się brzydki, za duży i dokładnie taki sam, jaki miała włożyć Spring Macmillan.

Mama Clare była w tym momencie w korytarzu i wszystko słyszała.

Weszła do pokoju i oświadczyła, że robi dla Lexi jej własny wyjątkowy strój syreny. Clare cieszyła się wraz z przyjaciółką, ale też nieco martwiła.

Nie chciała, by Lexi miała taki sam kostium jak ona. Nie czułaby się wówczas wyjątkowa.

Ellen przygotowała przebranie Lexi z jednoczęściowego kostiumu kąpielowego w kolorze szmaragdowym. Przystroiła go błękitnymi, zielonymi i białymi wstęgami, które zebrała na dole w ogon przypominający morską pianę. Posadziła dziewczynki przy kuchennym stole, dała im cienkie wstążki w różnych odcieniach zieleni oraz błękitu i kazała im przyklejać do nich maleńkie złote i srebrne muszle. Zadzwoiła do mamy Lexi i spytała ją, czy dziewczynka może u nich spędzić noc, a w sobotę, tuż przed przyjęciem, wplotła wstążeczki w długie, jasne włosy Lexi. Clare wiedziała, że nigdy nie zapomni tej cudownej chwili, gdy weszły z Lexi do pokoju,

dwie syreny, niezwykle, piękne istoty z innego świata. W głębi duszy cieszyła się, że to właśnie ona nosi lśniący, wyklejony muszlami diadem. Dzięki temu jej kostium był odrobinę lepszy.

Wierni podnieśli się z miejsc, by odśpiewać hymn. Gdy Clare wstawała wraz z innymi, zastanawiała się, czy Lexi w ogóle wie, że Ellen nie żyje.

Nie dostała od niej listu z kondolencjami, co wydawało się trochę dziwne.

Rodzice Lexi nie poinformowaliby jej o śmierci tak dobrze znanej jej osoby?

Być może nie napisała do niej, bo Clare nie odpowiedziała na żaden z jej wcześniejszych listów. Minęło już dziesięć lat, odkąd się pokłóciły i naubliżały sobie nawzajem. Przez kilka lat Lexi przysyłała Clare krótkie wiadomości. Clare nie odpisywała. Listy Lexi przypominały nieustającą litanię przechwałek. „Teraz jestem Paryżu, teraz jestem w Rzymie...” W ciągu tych dziesięciu lat Clare skończyła biznesowe studia licencjackie, przez dwa lata uczęszczała na studia gastronomiczne, każdego lata pracowała na kilka etatów, by odłożyć trochę pieniędzy, a potem otworzyła własny sklep, Sweet Hart's. Nie miała czasu na żale i wspomnienia, a jeśli już udało jej się wygospodarować kilka chwil, spędzała je z Jessem. Kochała go — i nienawidziła, gdy dowiadywała się, że sypiał z kimś innym. Teraz zgodziła się za niego wyjść. Zdołała jakoś wybaczyć mu wszystkie łajdactwa. Czy nie mogła wybaczyć Lexi kłótni, której zawiniła w takiej samej mierze jak ona?

Prawda była taka, że tęskniła za Lexi, choć być może dziewczyna, którą zachowała w pamięci, już nie istniała. Jej dawna przyjaciółka mieszkała w Nowym Jorku, z bogatym, ważnym mężczyzną. Brat Lexi, Adam, również opuścił wyspę, by prowadzić lecznicę weterynaryjną w okolicy Bostonu.

Ich rodzice byli już na emeryturze, więc Clare bardzo rzadko ich spotykała.

Powiodła spojrzeniem po kościelnych ławach, lecz nie dostrzegła Laneyów — choć mogła przecież nie rozpoznać ich od tyłu.

Gdyby przyszli i gdyby pojawili się na stypie, mogłaby ich spytać, jak radzi sobie Lexi. W ciągu minionych dziesięciu lat nigdy nie rozmawiała z nimi o Lexi. Być może przekazałaby córce wiadomość, że Clare o nią pytała. Może Lexi potraktowałaby to jako symboliczny gest, pierwszy krok do pojednania. Była zdumiona, jak bardzo spodobał jej się ten pomysł.

Lecz choć rozglądała się uważnie po całym kościele, nie widziała nigdzie Laneyów.

SZEŚĆ

2006

Lexi stała w klimatyzowanej garderobie w domu męża przy Park Avenue. Wciąż myślała o nim jako o domu Eda, a nie o swoim. Po części dlatego, że nigdy nie pozwolił jej zmienić wystroju żadnego z pokoi. Lubiał ciemne kolory i ciężkie masywne meble, które upodabniały każde pomieszczenie do sali sądowej. Ich wyrok w sprawie Lexi brzmiał jednoznacznie: Nie ma tu dla ciebie miejsca. Początkowo myślała, że z czasem poczuje się tutaj jak u siebie w domu. Próbowała tak się czuć. Lecz po dziesięciu latach wciąż była tu intruzem lub, w najlepszym wypadku, gościem w galerii życia jej męża.

Jedynie to, pozbawione okien pomieszczenie należało do niej. Jej garderoba, cicha i uporządkowana, była schronieniem. Otworzyła lśniące drzwi szafy z tego— kowego drzewa i przesunęła palcami po jedwabnych koszulkach, spódnicach i sukniach ułożonych według kolorów w lśniącą tęczę luksusu. Wystarczyło lekkie dotknięcie dłoni, by szuflady wysuwały się bezszelestnie, ukazując warstwy idealnie ułożonych swetrów, koszulek i bluzek. W innych

szufladach, na aksamitnych poduszkach leżała biżuteria — tylko ta, którą nie była dość cenna, by chować ją w sejfie.

Tyle piękna. Tyle doskonałości.

A wszystko zimne, nieme i nieruchome.

Osunęła się na podłogę, przyciągnęła kolana do piersi i schowała głowę w ramionach. Dziś zaczęła właśnie miesiączkować, może dlatego była w takim kiepskim nastroju. Ed nigdy nie pozwoliłby jej na wizyty u psychoterapeuty, więc ostatnio zaczęła kupować poradniki. Teraz sięgnęła do nich myślą. Jedno z ćwiczeń polegało na wyszukiwaniu dobrych stron swojego życia, wyliczaniu wszystkich jego dobrodziejstw. Mogła to zrobić, czemu nie?

Dobrze, przede wszystkim żyła w luksusie, to pewne. Musiała też przyznać, że podróżowała, ile tylko chciała. Wyjeżdżała z Edem do Toskanii, opalała się na jego prywatnych wyspach karaibskich, jeździła na nartach w Szwajcarii albo w Vail. Chodziła do opery w Londynie, Amsterdamie i Nowym Jorku, a po koncertach brała udział w przyjęciach dla dyrygentów i śpiewaków. Oglądała zapierające dech w piersiach widoki Paryża i Sankt Petersburga. Spędziła nawet kilka letnich tygodni na Vineyard, co wydawało jej się dość zabawne, bo mieszkańcy Nantucket traktowali tę wyspę jako rywa, jedynym modnym i pięknym miejscem, do którego nigdy nie jeździła, było Nantucket. Ponieważ ze względu na decyzję o małżeństwie z Edem weszła w konflikt z rodzicami, jej mąż nie chciał pokazywać się na wyspie, a Lexi nie nalegała. Nie chciała jechać tam z nim, bo wówczas nie byłaby sobą, tą Lexi, którą mieszkańcy Nantucket znali i kochali.

Kochali kiedyś.

Och, jak bardzo tęskniła za wyspą. Tęskniła za rodzicami, za plażami, za Clare.

Przestań, przykazała sobie surowo. Przestań myśleć o tym, czego nie masz. Skup się na tym, co masz.

Rozejrzała się po garderobie. Ubrania. Lubiła wybierać i nosić ubrania, które miała nosić, im droższe, tym lepsze, bo wszystko to świadczyło przecież także o jej mężu. Ed cenił jej szczupłe, zgrabne ciało, a ludzie zasypywali ich komplementami, gdy Lexi brała udział w jakimś balu dobroczynnym, ubrana w prostą suknię i drogą biżuterię. Wiedziała, że niektórzy wygłaszali te pochwały tylko po to, by podlizać się jej bogatemu mężowi, ale i tak to było przyjemne. Właściwie nigdy nie czuła się jak prawdziwa żona Eda, w najlepszym razie jak jego partnerka biznesowa. Gdy wybierali się na jakąś ważną kolację, Ed mówił jej wcześniej, z kim będą się spotykać, komu ma pochlebiać, a kogo ignorować. Dawniej lubił uprawiać z nią seks po każdym ważnym spotkaniu, co sprawiało, że czuła się na swój sposób użyteczna. Lecz po dziesięciu latach małżeństwa seks był już tylko rutyną, rzadką i zdawkową. Lexi obawiała się, że Ed się nią znudził.

Była nieszczęśliwa i okropnie samotna. Ed nieustannie podróżował, brakowało jej towarzystwa męża, ale jeszcze bardziej towarzystwa przyjaciółek. Kobiety, które poznawała, w większości żony kolegów Eda, zwykle były starsze od Lexi i patrzyły na nią z góry. Albo miały dzieci.

Dzieci. Och jak bardzo pragnęła mieć dziecko.

Przez kilka lat zażywała pigułki antykoncepcyjne. Ed nie lubił kondomów, a ona wiedziała, że jest zbyt niedoświadczona, by być dobrą matką.

Gdy wreszcie po czterech latach zrezygnowała z antykoncepcji, była pewna, że zajdzie w ciążę w ciągu kilku miesięcy. I zaszła. Dwa miesiące później poroniła.

Ed był dla niej miły, pocieszał ją przed wyjściem na kolejne spotkanie.

Nie chciał więcej dzieci — miał już troje. Dlatego Lexi nie powiedziała mu o kolejnych

dwóch poronieniach. Nie mogła mu powiedzieć, jak powoli, w rytm kolejnych radosnych uniesień i gorzkich rozczarowań zaczęła nienawidzić swoje ciało — nie za to, jak wyglądało, lecz za to, czemu nie mogło sprostać.

Wiedziała, że nie powinna dzielić się z nim tymi głębokimi, osobistymi przeżyciami. Wielokrotnie przekonała się, że Ed lubi, gdy zachowuje się jak kobieta idealna, co w jego mniemaniu wiązało się również z emocjonalnym dystansem. Dlatego też musiała radzić sobie sama ze swoją samotnością i rozpaczą. Próbowwała znaleźć przyjaciółki. Wydawała przyjęcia i działała w organizacjach dobroczynnych. Zapraszała inne kobiety na lunch.

Czasami w ramach rewanżu ona była zapraszana. Po jakimś czasie, dzięki tego rodzaju spotkaniom mogła się cieszyć przynajmniej iluzją przyjaźni.

Nigdy jednak nie czuła tak silnej więzi, jaka niegdyś łączyła ją z Clare, nie miała poczucia, że wróciła do domu, do swoich. Nigdy nie mogła rozmawiać z tymi ludźmi o tym, co naprawdę było dla niej ważne.

Skup się na pozytywach, przykazała sobie po raz kolejny.

No dobrze, miała jedną przyjaciółkę. Glorię. Dzięki niech będą niebiosom za Glorię. Dwa lata temu, znudzona samą sobą i zmęczona brakiem pewności siebie, wynikającym z tego, że miała mniejszą wiedzę niż większość znajomych Eda, Lexi powiedziała mężowi, że chciałaby wrócić na studia. „Nonsens” — odparł Ed. Po pierwsze, musiałaby wtedy przez dłuższy czas przebywać w jednym miejscu i nie mogłaby z nim podróżować, a po drugie, czułby się zażenowany, gdyby jego żona została studentką. Jego dzieci były już na studiach!

Ale zgodził się zatrudnić dla niej prywatną nauczycielkę.

I tak w jej życiu pojawiła się błyskotliwa, zabawna i serdeczna Gloria Ruben. Gloria. Była kobietą dojrzałą, starszą od Lexi o dziesięć lat i sporo od niej tęższą, pełną energii i matczynych uczuć. Prowadziła zajęcia z krytyki literackiej i teatralnej na City College of New York i dorabiała sobie prywatnymi lekcjami. Dwukrotnie się rozwodziła, miała dwoje nastoletnich dzieci oraz całe mnóstwo krewnych, znajomych, starych i nowych kochanków, którzy ciągle jej potrzebowali. Kiedy jednak poznały się lepiej, Gloria znajdowała wolną chwilę, by wybrać się z Lexi do teatru albo na koncert.

Gdy Lexi poroniła, Gloria rozpacziała wraz z nią, opiekowała się nią, przynosiła czekoladki i sterty nowych powieści. To właśnie Gloria namówiła Lexi, by poddała się dokładnym badaniom ginekologicznym, a gdy okazało się, że Lexi jest zdrowa i może mieć dzieci, świętowała razem z nią, pijąc francuskiego szampana.

Tak, dziś z pewnością przydałyby się jej ciepło i życzliwość Glorii. Kolejny bolesny skurcz i towarzyszące mu krwawienie znów przypomniało jej, że musi pożegnać się z nadzieją, którą pielęgnowała w sobie od dwóch miesięcy. Po południu miała pójść na uroczysty lunch wydawany przez jedną z organizacji charytatywnych, zadzwoniła jednak rano i poinformowała, że ogromnie żałuje, ale nie może uczestniczyć w tym spotkaniu.

Żałować. Cóż to za okropny i przydatny zarazem wyraz.

Z każdym dniem żałowała coraz bardziej, że opuściła wyspę w taki a nie inny sposób. Na swoją obronę miała jedynie to, że była wtedy jeszcze bardzo młoda. I pozwoliła się oczarować zupełnie nowej, bajecznej Lexi, której oświadczył się władca wszechświata. Tutaj, w bezpiecznym azylu, jakim była dla niej garderoba, mogła spokojnie wracać do wspomnień, nawet tych najgorszych, które nawet po dziesięciu latach napełniały ją wstydem. Jednym z nich było wspomnienie ostatniej, zażartej bitwy, stoczonej z rodzicami. Powiedziała im, że są ignorantami, miernotami o ograniczonym spojrzeniu na świat, które nie pozwala im nawet zrozumieć jej marzeń. Wrzeszczała na nich, wpadła w szał podsycany jej obawami. Lecz choć zarzuciła im tyle okropnych rzeczy, nie wypowiedziała tej najgorszej skargi, wiedziała bowiem, że sprawiłyby im

ogromny ból. Nie powiedziała im: „Nie robiłabym tego, gdybyście nie mieli kłopotów finansowych! Gdybyście mogli wysłać mnie na studia, gdybyście nie byli tacy przygnębieni i zatroskani, gdybyście nie mieli tylu problemów i gdybym ja nie była dla was problemem, nie wychodziłabym za tego człowieka”. To byłoby naprawdę okrutne, a Lexi cieszyła się ogromnie, że jednak zachowała te słowa dla siebie, choć nie wątpiła, że po jej wyjeździe rodzice czuli ulgę przemieszana z konsternacją i gniewem. Powiedziała też okropne rzeczy Clare, chociaż — Lexi nie mogła powstrzymać uśmiechu — ta wcale nie pozostała jej dłużna.

Obie te kłótnie poróżniły ją tak bardzo z rodziną i przyjaciółką, że opuszczała wyspę zupełnie sama. Wyszła z domu, trzasnąwszy drzwiami, zabierając ze sobą tylko jedną małą walizkę. Nikt nie odwiózł jej na lotnisko, nikt nie pomachał jej na pożegnanie ani nie życzył powodzenia. Była uradowana, że może zostawić ich za sobą. Przekonywała siebie, że tylko by ją ograniczali. Wybierała się do innego, bardziej ekscytującego świata. Pomyślała, że uciekła z wyspy niczym motyl, który uległ metamorfozie i wydobył się z kokonu.

Przez długi czas naprawdę cieszyła się swoim nowym życiem, a jeśli kiedykolwiek czuła się smutna i samotna lub tęskniła za domem, składała to na karb zmęczenia. Mogła poznać jeszcze tyle interesujących rzeczy, żyła w ciągłym biegu, bezustannie podróżowała, chodziła do opery, uśmiechała się do ważnych ludzi, którzy nie znali jej języka, czuła się tak, jakby czas niósł ją ze sobą w pięknym wciągającym tańcu, a ona uczyła się kroków. W tym pierwszym okresie nie tęskniła za rodzicami ani za Clare, bo w pewnym sensie zabrała ich ze sobą, wcisnęła do puderniczki, a za każdym razem, gdy ją otwierała, mogli ją podziwiać, mogli obserwować, jak świetnie się bawi.

Przez te pierwsze lata była zachwycona sama sobą, nowymi ubraniami, wizytami w egzotycznych miejscach. Z perspektywy czasu widziała, jak jej nieśmiałe próby nawiązania kontaktu z rodzicami i Clare były jedynie w jednej czwartej wyrazem szczerzej tęsknoty, a w trzech czwartych zwykłymi przechwałkami. Wysyłała rodzicom i Clare okolicznościowe pocztówki ze zdjęciami jej i Eda na wielbłądach lub lamach. Na Gwiazdkę przesyłała rodzicom drogie albumy o skarbach Luwru albo przyprawy z doliny Nilu. W odpowiedzi rodzice pisali do niej krótkie i oschłe wiadomości: „Cieszymy się, że jesteś szczęśliwa”. Nigdy nie dziękowali za prezenty. Na pierwsze święta Bożego Narodzenia spędzone poza domem wysłała Clare piękną jedwabną chustę z Bangkoku. Clare nawet nie odpisała. Lexi przestała więc wysyłać prezenty. Skoro oni mogli żyć bez niej, ona też mogła żyć bez nich.

Lecz blask jej nowego wspaniałego życia powoli zaczął przygasać. Stosunki łączące ją z mężem nigdy nie należały do gorących, lecz teraz stały się jeszcze chłodniejsze. Czasami miała wrażenie, że najwięcej uczucia okazuje jej wtedy, gdy zajmują miejsca w samolocie, w kabinie pierwszej klasy. Dopytywał się wówczas nieustannie, czy niczego jej nie brakuje, czy ma co czytać, czy dostała шамpana i koc. Rzadko bywali sami w mieszkaniu Eda, a jeśli już, to on zazwyczaj pracował albo spał. Nadal mu się podobała i pociągała go seksualnie, ale gdy po stosunku próbowała porozmawiać z nim choć przez chwilę, zbywał ją półsłówkami. Zdziwiła ją jego umiejętność całkowitego wyłączenia się i zasypiania w czasie, gdy ona próbowała na wszelkie sposoby ściągnąć na siebie jego uwagę. Zasmucało ją również, że Ed nie chciał mieć dzieci. Potem, gdy przestała zażywać pigułki, licząc, że zajdzie w ciążę, i poroniła, czuła się jeszcze bardziej samotna, bo nie mogła szukać u niego pocieszenia.

Nie miała się do kogo zwrócić o pomoc. Im gorzej wyglądała jej sytuacja, tym bardziej czuła się osaczona przez błąd popełniony w młodości — bo teraz rozumiała już, że małżeństwo z Edem to straszliwa pomyłka. Od lat nie wysyłała rodzicom choćby kartki pocztowej. Nawet najkrótsza wiadomość — „Świetnie się bawię!” — byłaby kłamstwem. Gdyby zaś wyznała im prawdę, czułaby się upokorzona.

Pewnego ranka, gdy leżała sama na ich ogromnym łóżku, zamknęła oczy i zaczęła marzyć nie o eleganckich ulicach Paryża lub egzotycznych krajobrazach Bali, lecz o swoim pokoju z dzieciństwa, o miękkiej poduszce w lawendowej poszewce, o swoich ukochanych pluszakach, o jabłoni kołyszącej się leniwie za oknem, o zapachu duszonego mięsa z jarzynami, o głośnym śmiechu brata. Przypominała sobie, jak wygłupiały się z Clare, ryczały ze śmiechu jak hieny, omal nie spadając z krzeseł. „Oj, dziewczyny, dziewczyny” — mówiła wówczas z uśmiechem mama Lexi.

Wciąż zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Clare, powstrzymywało ją jednak wspomnienie tamtej okropnej kłótni, gdy obie były dla siebie tak niemiłe, niczym rozłoszczone dzieci. I czy po latach, które spędziły z dala od siebie, udałoby im się odbudować przyjaźń?

Czy mogła skontaktować się z rodzicami i udawać, że jej małżeństwo jest szczęśliwe? Pomyślała, że Adam mógłby odegrać rolę mediatora. Nie było go na wyspie tamtego lata, nie brał udziału w okropnych kłótniach, nigdy też nie wyrażał swojej opinii w kwestii jej małżeństwa. Pewnego deszczowego, styczniowego dnia, gdy Ed znów wyjechał gdzieś w interesach, Lexi wpisała nazwisko i imię brata do wyszukiwarki internetowej.

Pracował w lecznicy weterynaryjnej w Bostonie. Wysłała krótką wiadomość w rodzaju „Cześć, co słychać?”. Odpowiedział i od tej pory korespondowali ze sobą mailowo. Lecz Adama pochłaniała praca, zwykle odpowiadał krótko na jej długie listy i z pewnością nie miałby ochoty podejmować się roli rozjemcy, który doprowadziłby do pojednania Lexi z rodzicami.

Była więc zdana sama na siebie. Nikt nie mógł wymazać błędów, które popełniła w życiu. Poradniki sugerowały podjęcie jakichś konkretnych pozytywnych działań. Pomyślała, że nie może zachowywać się jak obrażona czterolatka, która chowa się w swojej szafie i uważa nad sobą. Wyjdzie stąd, zrobi coś, zabawi się. Zadzwoni do Glorii.

Ed nie chciał, by Lexi utrzymywała bliższe stosunki z Glorią — mówił, że „nie powinna się spoufalać ze służbą”. Pokłóciła się z nim; rzadko sprzeciwiała się mężowi i była dumna, że tym razem jednak podjęła ryzyko i postawiła na swoim, a Gloria została jej przyjaciółką. Dziś bardzo potrzebowała towarzystwa przyjaciółki.

Gdy tylko podjęła tę decyzję, poczuła się lepiej. Był czwartek, więc Gloria nie miała zajęć na uczelni. Lexi pomyślała, że zabierze ją do tej nowej chińskiej restauracji przy East Street, a potem może wybiorą się do Metropolitan Museum of Art — wizyta w tym miejscu zawsze poprawiała jej humor. Otarłszy łzy, wyszła z garderoby. Przeszła przez niewielki pokój łączący garderobę z główną sypialnią i otworzyła drzwi.

I stanęła jak wryta.

Zobaczyła lśniąca skórę, gwałtowne ruchy. W łóżku leżeli mężczyzna i kobieta, nadzy, tak mocno spleceni ze sobą, jakby tworzyli jedno ciało.

Oparła się ręką o ścianę.

—Ed?

—Jezu Chryste!

Ed bezceremonialnie odepchnął na bok nagą kobietę i sięgnął po kołdrę, którą przykrył ich oboje. Potem usiadł prosto, czerwony z wściekłości.

—Co ty tu robisz? Miałaś być na lunchu?

—Tak... Odwołałam to. — Kręciło jej się w głowie. Nie mogła oderwać wzroku od łóżka.

—Posłuchaj. — Ed był wściekły. — Wyjdź stąd. Wyjdź, do cholery.

Daj nam się ubrać.

—Dobrze. Wyjdę. Ale najpierw... — Zrobiła krok do przodu. — Gloria?

To ty?

Kobieta wysunęła głowę spod kołdry.

— Przepraszam, Lexi...

Jej ciemne włosy były potargane, twarz czerwona ze wstydu.

Lexi stała przez chwilę w bezruchu. Czowała się dziwnie bezradna, jakby niesiona jakimś potężnym prądem, niczym muszla wyrwana z głębin i wyrzucona na powierzchnię, prosto w oślepiający blask słońca. Najbardziej zdumiewało ją, że nie płakała.

Wyszła z sypialni, zostawiając za sobą otwarte drzwi, przeszła korytarzem, a potem schodami na dół, do salonu. Czowała się tak, jakby ktoś wstrzyknął jej jakiś cudowny narkotyk, dzięki któremu widziała wszystko wyraźniej i myślała sprawniej. Rozejrzała się po pokoju, w którym dominowała ciemna czerwień i ozdobne złocenia. Pomyślała, że bardzo nie lubi tego mrocznego wnętrza.

Na schodach rozbrzmiały kroki, otworzyły się drzwi frontowe, ktoś wymienił kilka słów przytłumionym głosem, a potem zatrzasnął drzwi.

Znów odgłos kroków. Do salonu wszedł Ed, ubrany w jasne spodnie i koszulę w biało—różowe paski. Podwijając rękawy koszuli, zwrócił się do Lexi:

— Lexi, posłuchaj, nie chciałem, żebyś to zobaczyła. Myślałem, że nie ma ciebie w domu.

Patrzyła nań w milczeniu. Miał już prawie pięćdziesiąt lat i był całkiem łysy. Choć korzystał z pomocy osobistego trenera i spędzał długie godziny na siłowni, przytył. Ale to nie miało większego znaczenia. Nie miałyby najmniejszego znaczenia, gdyby go kochała. Nie kochała go, ale też nie czuła do niego nienawiści. Po prostu nagle uświadomiła sobie w pełni, jakim jest człowiekiem.

Wzięła głęboki oddech.

— Ed, chcę rozwodu.

— Nie bądź śmieszna. Gloria nic dla mnie nie znaczy.

— Znaczyła coś dla mnie.

— Och, doróżnij dziewczyno.

— Właśnie to zrobiłam. Dorosłam. A ty byłeś dla mnie bardzo dobry.

Ale teraz chcę rozwodu.

Podniósł rękę i pokręcił głową, jakby chciał ją uciszyć.

— Lexi, uspokój się.

— A nie wyglądam na spokojną? — Była spokojna i opanowana jak nigdy. — Zdradzałeś mnie przez cały ten czas, prawda?

— Nie histeryzuj. To nie ma żadnego znaczenia. Ty jesteś moją żoną.

Miał rację. Lexi wiedziała, że to naprawdę poważna decyzja. Zawahała się, rozważając jego potrzeby i swoje obowiązki. Wtedy zrobił coś, co uwolniło ją od wszelkich wątpliwości. Zerknął ukradkiem na zegarek.

— Ed — powiedziała stanowczym tonem. — Naprawdę chcę rozwodu.

CZEŚĆ TRZECIA

SIEDEM

2007

Gdy zadzwonił telefon, Clare zmywała właśnie po śniadaniu, spoglądając jednocześnie na podwórko, gdzie stały dwa karmniki napełnione ziarnami słonecznika i kukurydzy. Siedziała tam parka kardynałów, kolorowy samiec dziobał ziarno, a szara samica przysiadła na krawędzi daszka i trzymała straż. Był kwiecień, lśniący, srebrzysty miesiąc, który przeplatał wietrzne i deszczowe dni z okresami zaskakująco ciepłej i słonecznej pogody.

— Halo? — Przytrzymała słuchawkę ramieniem, dzięki czemu mogła szorować patelnię. Wiedziała, że choć jej ojciec często nie pamięta o tak przyziemnych sprawach jak jedzenie, zawsze uda jej się rozbudzić jego apetyt za pomocą kilku grubych plastrów bekonu, sterty smakowitych jaj i żutnego tostu posmarowanego grubo masłem.

W słuchawce rozległ się podekscytowany głos Penny.

— Sensacja, moja kochana! Wielka sensacja!

Clare uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— Co takiego? Czyżby mały geniusz zaczął chodzić?

— Przestań... — W tle było słycać głośne cmokanie, co znaczyło, że synek Penny właśnie ssie pierś. — To nie ma nic wspólnego z dziećmi. Gdy się dowiesz, gały ci wyjdą na wierzch. Ale musisz do mnie przyjść, inaczej nic ci nie powiem.

— Powiedz mi już teraz. Prooszę... Wiem, że chcesz mi powiedzieć. — Wielki, przystojny samiec sójki błękitnej, którego Clare nazwała na swój użytek Johnnym Deppem, zleciał do karmnika i przepłoszył parę kardynałów.

— Nie ma mowy. Chcę widzieć twóją twarz, kiedy będę to mówić.

Clare zamyśliła się na moment.

— Halo, jesteś tam? — spytała Penny.

— Tak, tak, zastanawiam się tylko. Może zrobimy tak. Przyjdę dziś do ciebie na kawę. Koło czwartej. Przyniosę zupę z owoców morza, chleb z mąki kukurydzianej i sałatkę.

— Jesteś aniołem. — W słuchawce rozległ się płacz małego Mike'a. — Oj, dziecku musi się odbić. Do zobaczenia po południu.

Clare zakręciła się po kuchni, przygotowując chleb dla Penny i dla ojca.

Od czasu śmierci Ellen stał się jeszcze bardziej roztargniony. Miał sześćdziesiąt dwa lata, przeszedł na emeryturę i wciąż był pogrążony w żałobie.

Kiedy czuł się lepiej, siedział w gabinecie i pisał swoją książkę o mitach Nantucket, lecz w gorsze dni chodził nieustannie po domu, zrozpaczony i samotny. Zapominał się wtedy golić, ubierać i jeść. Clare musiała się nim opiekować jak dzieckiem.

Włożyła ciasto do piekarnika, ustawiła minutnik, a potem pobiegła na górę, by wziąć szybki prysznic i przebrać się. Jej sklep miał być zamknięty jeszcze przez dwa tygodnie, miała więc dość czasu, by opracować nowy przepis. Jesse pracował od rana do wieczora, przygotowując meble na zamówienie do domu milionera wypoczywającego na wyspie. Clare przypuszczała, że tego wieczoru uda mu się wyrwać trochę wcześniej i przyjść na kolację, ale mogła przecież chodzić przy nim w dżinsach i niebieskim pulowerze z kaszmiru, który kupiła dwa lata temu na wyprzedaży. Był już tak sprany, że materiał przypominał w dotyku satynę, a poza tym podkreślał jej ciemne oczy i krótkie, kręcone włosy.

Wsunęła stopy w drewniaki, popędziła na dół i weszła do kuchni akurat, gdy zabręczał minutnik. Powietrze wypełniło się smakowitym maślanym zapachem. Wyjęła chleb kukurydziany z piekarnika i wkładała właśnie różne pudełka do słomianej torby, gdy zadzwonił

telefon.

— Cześć, ślicznotko.

Clare przewróciła oczami. Tyle razy prosiła Jessego, by nie nazywał jej ślicznotką. To określenie wydawało jej się zbyt anonimowe, zbyt ogólne.

Każda kobieta mogła być ślicznotką — szczególnie w wypadku Jessego.

Być może była to cena, którą Clare musiała zapłacić za związek z tak przystojnym mężczyzną.

— Cześć, Jesse, co tam?

— Chciałem tylko powiedzieć dzień dobry. — W tle słychać dźwięki orkiestry złożonej z młotków i pił.

— Dzień dobry, skarbie.

Usiadła na starym drewnianym krześle z półokrągłym oparciem, podciągnęła kolana do piersi i wtuliła się w dźwięk głosu Jessego. Wyobrażała sobie, jak pracuje w flanelowej koszuli, dzinsach i ciężkich butach z cholewami, wiedziała, że jakąś starą gumką ściągnął długie blond włosy w gruby kucyk. Być może o tej godzinie — jego ekipa zaczynała pracę bardzo wcześnie — rozgrzał się już na tyle, by zdjąć flanelową koszulę. Miał więc na sobie tylko starą białą koszulkę z krótkimi rękawami. Pomyślała o jego umięśnionych ramionach i torsie.

— Jak się czuje twój tata?

Rozczuliła ją jego troskliwość.

— Chyba trochę lepiej. Wziął prysznic i przebrał się. Zrobiłam mu wielkie tłuste śniadanie.

— Mniam. Też bym chciał, żeby ktoś zrobił mi wielkie pyszne śniadanie.

Kiedy się pobierzemy, będę ci robić śniadania codziennie, pomyślała Clare. Nie chciała jednak sprawiać wrażenia natarczywej. Chciała, żeby to on poprosił ją o wspólne ustalenie daty ślubu. Zapytała więc niezobowiązująco:

— Więc może zamiast śniadania zjesz dzisiaj wielką tłustą kolację?

Wydał z siebie dźwięk przypominający mruczenie kota.

— Już czuję smak.

— Być może zaskoczę cię jakąś ciekawą plotką.

— Tak?

— Dzwoniła Penny. Wybieram się do niej na kawę. Mówiła, że ma dla mnie jakąś sensacyjną wiadomość.

— Na tej wyspie w kwietniu? — parsknął Jesse. — Mało prawdopodobne.

— Poczekamy, zobaczymy.

— A co będzie na kolację? Powiedz mi coś seksownego, kochanie...

— A co byś powiedział na wielki, soczysty stek z frytkami, cebulą i pyszną zdrową sałatką?

— Brzmi cudownie. Na pewno dzięki temu nie zabraknie mi energii na... inne zajęcia.

Zamknęła oczy, sycąc się seksownym brzmieniem jego głosu. W słuchawce rozległo się czyjeś wołanie.

— Pa, ślicznotko, muszę iść. Widzimy się wieczorem. Koło szóstej.

— Do zobaczenia.

— Kocham cię — dodał cicho. Kumple nieraz nabijali się z niego i mówili, że jest cikliwy jak baba, więc teraz wołał ich nie prowokować.

— Ja też ciebie kocham — odparła z uśmiechem. Starła się nie składać tego wyznania pierwsza. Zawsze czuła się podniesiona na duchu i bezpieczniejsza, gdy Jesse mówił jej „kocham cię” bez żadnej zachęty.

OSIEM

Był zwykły kwietniowy dzień, niebiesko —biały katamaran Hy—Line pędził w stronę Nantucket. Lexi oparła się o reling i odchyliła głowę do tyłu, pozwalając, by wiatr tarosił jej włosy, a wilgotna bryza chłostała twarz. Nie przeszkadzało jej to ani trochę. Wracała do domu.

Serce biło jej w przyspieszonym tempie, gdy prom przecinał spienione fale. Dwa tygodnie wcześniej wybrała się po raz pierwszy na wyspę, by znaleźć jakiś dom do wynajęcia i sprawdzić, jak będzie czuć się na wyspie.

Czuła się świetnie, a nowy dom był po prostu idealny. Wynegocjowała czynsz drogą mailową i teraz płynęła na wyspę po raz drugi, już na stałe, z kluczem do nowego lokalu przy Commercial Wharf. Nie zadzwoniła jeszcze do rodziców ani do Clare. Pragnęła, by znów stali się częścią jej życia, ale najpierw chciała po prostu znaleźć się na Nantucket.

Na horyzoncie było widać ciemniejszą smugę, odległy, ukochany ląd.

Roześmiała się głośno. To możliwe, że mogła żyć bez swojej wyspy? Dopiero teraz uświadamiała sobie, jak bardzo brakowało jej widoku Main Street w Boże Narodzenie, Weekendu Żonkili i tłumów zasiadających na odkrytych trybunach podczas meczów futbolowych. Przypominała sobie, że uwielbia Nantucket ze względu na skąpane w słońcu plaże i błękitną wodę, ale jeszcze bardziej ze względu na położone na wyspie miasteczko. Z rozczuleniem myślała, że dzieci na wyspie rodzą się w izbie chorych Nantucket, w pobliżu Starego Młyna, i że zmarli spoczywają na cmentarzu przy ulicy o znaczącej nazwie Prospect Hill, czyli wzgórzu z widokiem, co mogło stanowić przypomnienie dla wszystkich, którzy już się urodzili, a jeszcze nie umarli, by spojrzeli na swoje życie z perspektywy wieczności i póki czas poprawili to, co mogą poprawić. Cieszyła ją też, że na wyspie nie ma centrów handlowych ani McDonald'sa. Uwielbiała kino o romantycznej nazwie Starlight, czyli światło gwiazd, jedyne kino działające na wyspie w ciągu dziewięciu miesięcy poza sezonem. Bawiło ją i wzruszało, że jedna z głównych ulic miasteczka okrążała staw okupowany przez społeczność rozpuszczonych kaczek krzyżówek i mew srebrzystych. W sezonie, gdy na wyspie pojawiały się tłumy zmotoryzowanych turystów, władze Nantucket wystawiały tam znak: „Uwaga kaczki. Proszę zachować ostrożność”. Nie słyszała jeszcze, by kiedykolwiek ktoś rozjechał kaczkę na tym ruchliwym odcinku drogi. Podobało jej się również to, że kobiety na wyspie zawsze miały duży wpływ na jej losy — historia, której uczyła się w szkole bez większego entuzjazmu, teraz nabierała dla niej nowych treści.

Prom zwolnił i wpłynął do zatoki po osłoniętej stronie wyspy. Lexi dojrzała białą wieżę kościoła wznoszącą się nad miasteczkiem, przysadzistą sylwetkę latarni morskiej Brant Point i białą plażę Children's Beach. W oddali iskrzyła się złotem Księżycowa Plaża.

Dziób promu uderzył delikatnie o nabrzeże. Zgrzytnęły łańcuchy zrzucone na brzeg, z pokładu wysunęły się trapy, a tłum pasażerów zaczął opuszczać statek.

Lexi zeszła na wyspę. Jej nowy rangę rover miał przyjechać dużym, wolniejszym promem o wpół do dwunastej, miała więc jeszcze sporo czasu.

Włożyła na głowę kaszmirową czapkę i owinęła szyję ciepłą chustą, chowając w niej brodę i usta. Nie poszła prosto do swojego nowego domu, lecz wybrała się na spacer wzdłuż Water Street, obok biblioteki i poczty, a potem po Main Street. Nawet po latach nieobecności

mogłaby pokonać tę trasę z zamkniętymi oczami. W kwietniowy poniedziałek wiele sklepów i urzędów było zamkniętych, na poczcie paliło się jednak światło. Jakiś starzec kuśtykał powoli chodnikiem, prowadząc ze sobą nieprzyzwoicie grubego buldoga, który niemal tańczył, starając jak najkrócej dotykać łapami zimnego podłoża. Czyżby był to Marvin Merriweather? Czy mógł się aż tak bardzo zestarzeć? Pies przypominał Mojżesza. Starzec i buldog zniknęli we wnętrzu Hub, nim Lexi zdołała im się dobrze przyjrzeć.

Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta z dzieckiem w wózku i trzylatkiem trzymającym ją za rękę szła powoli w stronę biblioteki dziecięcej. Wzdłuż South Water Street ciągnął się szereg ciemnych cichych budynków. Kino Dreamland Theatre nie działało poza sezonem. Sklepy z pamiątkami i galerie były zamknięte, lecz w restauracji Fog Island, której Lexi nigdy wcześniej tu nie widziała, paliło się światło, a z przodu widniał napis, że lokal zostanie otwarty o wpół do dwunastej, na lunch.

Przeszła przez parking Grand Union i obok nabrzeża Old South Wharf, gdzie kilka prywatnych łodzi rybackich kołysało się leniwie na falach i uderzało o kamienny brzeg, po czym dotarła wreszcie do Commercial Wharf i stanęła przed domem, który wynajęła na trzy lata.

Był to ceglany, piętrowy bliźniak o szarych ścianach i dachu krytym gontem. Wzniesiony na planie kwadratu budynek wydawał się nieco surowy w swojej prostocie, wrażenie to łagodziły jednak białe wykończenia i marmurowa weranda. Łączna powierzchnia obu poziomów wynosiła prawie trzysta metrów kwadratowych.

Ironia losu — a może był to jakiś znak? — sprawiła, że w drugiej części bliźniaka znajdował się lokal, w którym Clare prowadziła swój sklep ze słodyczami.

Wkrótce spotka się z Clare. Na pewno.

Na razie jednak przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i weszła do swojego nowego mieszkania. Podłogi z jakiegoś twardego drewna, szlifowanego, były pociągnięte złotą bejcą i lakierem bezbarwnym. Po poprzednim najemcy zostało mnóstwo dziur w ścianach, był antykwariuszem, wiesział wszędzie lustra, obrazy i przeszklone gabloty. Lexi przeszła przez cały salon, wyobrażając sobie, jak zmieni wnętrze. Z tyłu przebierałnie z lustrami od podłogi do sufitu, małe ławeczki i kabiny z zasłonami. Półki na ubrania będą ciągnąć się wzdłuż obu bocznych ścian, a na środku znajdą się gabloty z biżuterią oraz kasa i miejsce na torby dla klientów.

Zostało jej już bardzo mało pieniędzy — musiała prawie wszystko sprzedać, by mieć za co rozpocząć nowe życie. Gdy rozwiodła się z Edem, odkryła ze zdumieniem, że całkiem nieświadomie podpisała intercyzę przygotowaną przez prawników jej ówczesnego narzeczonego. Z dokumentu wynikało, że nie przysługują jej żadne świadczenia ze strony Eda, nie ma również prawa do jego majątku i może zabrać jedynie swoje ubrania i część biżuterii.

Wcale się tym nie przejęła. Czowała się jak nowo narodzona, gotowa ułożyć sobie życie na nowo. Depresja, która ciągnęła ją na dno niczym lepkie bagno, zniknęła bezpowrotnie w chwili, gdy tylko zażądała rozwodu. Po odejściu od Eda wróciła do swojego panińskiego nazwiska, Laney. Od tej pory każdego dnia czuła się coraz silniejsza, odważniejsza i bardziej spełniona. Wiedziała, co lubi, wiedziała, w czym jest dobra i co chce robić.

Uwolniła się od Eda i tej przedziwnej życiowej pomyłki. Była wolna, kierowała swoim życiem. Chciała otworzyć fantastyczny butik, w którym każda kobieta czułaby się wyjątkowa.

Musiała jak najszybciej znaleźć jakiegoś cieślę lub stolarza. Nie chciała zatrudniać przedsiębiorcy budowlanego — to nie był duży projekt. Potrzebowała kogoś, kto umiałby urządzić to wnętrze, uciąć równo deskę i wbić gwóźdź.

Musiała też zdobyć jakieś podstawowe meble do nowego mieszkania, by mieć chociaż gdzie jeść i spać. Ściągając z głowy chustę, wspięła się na schody ukryte na tyłach budynku.

Przystanęła przed drzwiami, otworzyła drzwi i weszła do swojego nowego lokum. W porównaniu z domami, w których mieszkała przez ostatnie dziesięć lat, ten dom nie był może zbyt wielki, ale należał do niej, a to czyniło z niego prawdziwy pałac.

Mieszkanie składało się głównie z jednego długiego pokoju o złotej podłodze, białych ścianach i najwspanialszym widoku na świecie: z okien mogła patrzeć na błękitne wody zatoki, miejskie moło i budynki położone na przeciwległym brzegu. Nikt nie mieszkał tutaj w zimie ze względu na zaporowe koszty ogrzewania, wiedziała jednak, że przetrzyma jakoś chłodną wiosnę, a potem będzie się rozkoszować latem.

Kuchnia i łazienka znajdowały się na tyłach budynku. Zajrzała do szafek, wszystkie były puste. Musiała kupić coś do jedzenia, co nie stanowiło problemu, bo w pobliżu znajdował się supermarket sieci Grand Union. Ciężarówka z rzeczami miała przyjechać nazajutrz.

Nadeszła wreszcie chwila, której Lexi wyczekiwała i bała się jednocześnie. Sięgnęła po telefon komórkowy. Wcześniej wpisała już numer. Nacisnęła zielony klawisz. Serce biło jej jak szalone, gdy w słuchawce rozległ się sygnał.

— Halo?

Dopiero po chwili rozpoznała głos brata.

— Adam!? Co ty tam robisz?

DZIEWIĘĆ

Penny i jej mąż mieszkali w małym domku, przy zrytej koleinami, gruntowej drodze na wschodnim krańcu wyspy. Gdy przyjechała do niej Clare, Penny leżała na sofie i karmiła swoje olbrzymie dziecko. W średniej szkole rudowłosa, muskularna i rozsądna Penny była kapitanem drużyny hokeja na trawie i gwiazdą zespołu pływackiego, a latem pracowała jako ratownik na plaży, nic więc dziwnego, że jej dziecko wyglądało jak miniaturowy futbolista.

Clare wyładowała zupę i sałatkę, a potem zrobiła im obu gorącą czekoladę, zapewniając Penny, że karmiące matki mogą spożywać takie smakołyki. Przez chwilę Clare przyglądała się z rozczuleniem łysemu niemowlakowi, po czym zrzuciła drewniaki, rozsiadła się w fotelu i podwinęła nogi.

— No dobra. — Dmuchnęła na gorący napój. — Wal.

Penny zrobiła dramatyczną pauzę, sycąc się niezwykle chwilą, po czym oznajmiła:

— Lexi wróciła.

— Żartujesz! — Clare omal nie oblała się czekoladą.

— Ani trochę. Mama dowiedziała się o tym od Rhody Rollins, recepcjonistki z agencji nieruchomości Paula. Ale to nie wszystko, o nie. Lexi otwiera butik: zgadnij tylko gdzie.

Clare zrobiła wielkie oczy.

— Nie...

— Obok twojego.

Clare kręciła głową, oszołomiona.

— Wiedziałam, że ten lokal jest do wynajęcia, ale nigdy nie słyszałam, żeby ktoś się nim interesował.

— Lexi była tutaj w ten weekend, kiedy pojechałaś na zakupy do Bostonu.

— Cholera.

— Wiem. — Penny z wprawą usadziła sobie Mikeya na kolanach i poklepała go lekko po plecach. — Nie kontaktowałaś się z nią?

Clare przesunęła palcem po kraciastym oparciu fotela.

— Po wyjeździe przysłała mi kilka listów. Nie odpisywałam, bo nie mogłam. Wszystkie te listy przychodziły z jakichś egzotycznych miejsc w Europie. — Pociągnęła łyk czekolady, zamyśliła się na moment, po czym przyznała: — Prawdę mówiąc, wcale nie chciałam się z nią kontaktować.

Przez te jej listy czułam się dokładnie tak, jak mnie nazwała: prowincjonalną gęsią bez ambicji.

— Powiedziałabym, że prowadzenie własnego interesu to dość ambitny projekt — zauważyła Penny.

— Tak, ale kiedy otworzyłam sklep, Lexi dawno już nie było na wyspie.

Najpierw przez kilka lat musiałam harować jak wół, żeby odłożyć trochę pieniędzy. Kiedy urabiałam sobie ręce po łokcie, ona żyła jak królowa, pokazywała się w gazetach i czasopismach, pamiętasz? Żona Eda Hardina w kreacji Oscara de la Renty na otwarciu nowej wystawy w Metropolitan Museum.

— Ciekawa jestem, co się stało.

— Co masz na myśli?

— No wiesz, dlaczego tu wraca?

— Słyszałaś chyba, że się rozwiedli.

Penny przełożyła śpiące dziecko na drugą rękę.

— Prawdę mówiąc, nie słyszałam. Nie śledzę jej kariery.

— Ja też nie! — zapewniła Clare, czerwieniąc się mimowolnie. — Czytałam o tym, kiedy stałam w kolejce. To była wiadomość na pierwszej okładce jakiegoś brukowca. Widocznie nie mieli tego dnia żadnych ciekawszych informacji.

Penny zamyśliła się. Była dyplomowaną pielęgniarką, pracowała w szpitalu, nim wyszła za Mike'a Stockwella, przedsiębiorcę budowlanego, potężnego, muskularnego mężczyznę, który wyglądał jak jej brat. Zrezygnowała z pracy, by zostać gospodynią domową. Penny lubiła robić wszystko powoli i dokładnie.

— Pewnie stęskniła się za wyspą. Dlatego wraca. Na pewno stęskniła się też za tobą. Byłaś jej najlepszą przyjaciółką. Ba, ty też musiaś za nią tęsknić.

— Szczerze? Sama nie wiem, Penny. Myślę, że tęsknię za taką Lexi, jaką zapamiętałam z dzieciństwa.

Penny uśmiechnęła się szeroko.

— Na pewno ma sporo do opowiedzenia. O wszystkich tych podróżach, o ludziach, których poznała.

— Zakładasz, że będzie chciała się z nami spotykać. Z prowincjonalnymi gęsiami.

— Przestań, daj jej szansę.

— Jeśli znów chce się ze mną zaprzyjaźnić, to dlaczego nie powiedziała mi, że wraca?

— Może bała się twojej reakcji.

— Posłuchaj — warknęła Clare. — To nie ja zaczęłam to wszystko. Nie ja jej naubliżałam i nie ja wyjechałam z wyspy.

— Nie, ty jej naubliżałaś i zostałaś na wyspie.

Clare parsknęła.

— Przez to macierzyństwo zrobiłaś się okropnie racjonalna.

Penny spojrzała na dziecko śpiące w jej ramionach.

— Racjonalna? Nie. Czasami jestem tak zmęczona i niewyspana, że ledwie trzymam się na nogach. Ale złagodniałam, to na pewno. Jestem naprawdę szczęśliwa i chcę, żeby inni też byli

szczęśliwi. Poza tym, jesteś już dużą dziewczyną, Clare. Masz swój własny sklep, jesteś zaręczona z Jessem. Lexi nie może cię już zranić tak bardzo jak kiedyś.

— Słusznie. Bo nie dam jej takiej szansy.

DZIESIĘĆ

Dom, w którym dorastała Lexi, znajdował się przy gruntowej drodze odchodzącej od Polpis Road, za kępą wysokich iglastych drzew. Lexi zaparkowała rangę rovera na białym podjeździe i siedziała przez chwilę nieruchomo, zbierając myśli. Jej stary dom wyglądał świetnie, był zadbany i miły dla oka, po obu stronach niebieskich drzwi ciągnęły się grządki krokusów.

Głęboki oddech. Wysiadła z samochodu, przeszła po wysypanym muszelkami podjeździe i zapukała do drzwi. Jakie to dziwne, że musiała pukać do własnych drzwi. Oczami wyobraźni ujrzała siebie sprzed lat, rozradowaną dziewczynkę, która wpadała jak wichura na schody, otwierała drzwi i otrzępywała buty ze śniegu, wrzeszcząc: „Cześć wszystkim!”.

We wnętrzu domu rozległa się eksplozja poszczekiwań, pisków i dziwnego niskiego trąbienia; odgłosy zbliżały się w gwałtownym tempie do drzwi. Rodzina Lexi zawsze miała psa, ale to brzmiało raczej jak ujadanie całego stada. Po chwili otworzyły się drzwi, a Lexi ujrzała swoją matkę ubraną w dżinsy i jasny prążkowany sweter. Wokół jej nóg krążyły cztery podekscytowane psy.

Lexi łyż napłynęły do oczu. Dobrze wiedziała, że Myrna miała już prawie sześćdziesiąt lat, lecz choć minęło już tyle czasu, odkąd widziała matkę, nie przypuszczała, że Myrna aż tak się postarzeje. Jej jasne włosy przerzedziły się, twarz miała pociętą zmarszczkami, ramiona przygarbione.

Myrna poczerwieniała, odchrząknęła i przemówiła zdławionym głosem:

— Alexandra. No, no.

Oczywiście rodzice przypuszczali, że Lexi wciąż jest tą arogancką smarkulą, która odeszła od nich przed laty. Musi odzyskać ich zaufanie.

Wzięła głęboki wdech.

— Och, mamo, jak dobrze znów cię widzieć.

Pochyliła się nad skłębionym psim stadem i uściskała mocno matkę. Psy obwąchiwały jej stopy, nieustannie wymachując ogonami.

Myrna sięgnęła do kieszeni swetra po jedną z niezliczonych chusteczek, które zawsze nosiła przy sobie, i wydmuchała nos.

— Chodźmy do salonu.

— Lexi!

Jej wielki przystojny brat zerwał się z miejsca i zamknął Lexi w niedźwiedzim uścisku. Potem odsunął ją na długość ramion i przyjrzał się jej uważnie.

— Dobrze znów cię zobaczyć.

— Ciebie też.

Adam był jeszcze większy, niż go zapamiętała, jego gęste blond włosy ściemniały, tu i ówdzie zaczęły nawet siwieć, lecz wciąż był to jej starszy brat — wesoły, serdeczny, silny facet, który nauczył ją jeździć na rowerze i mówił rodzicom, że to on palił papierosy w piwnicy.

Jako ostatni przywitał się z Lexi ojciec. Był łysy i nieco przytył, wydawał się też nieufny.

— Cześć tato. — Uściskała go. Stał sztywno, nie oddając pozdrowienia.

— Naprawdę ogromnie się cieszę, że wróciłam na wyspę — oznajmiła z powagą. — To

najpiękniejsze miejsce na świecie. Mój prawdziwy dom.

Rodzice wymienili spojrzenia, ale żadne nie odpowiedziało. W pokoju zaległa niezręczna cisza, którą przerwał Adam:

— Napijesz się czegoś?

Oboje rodzice Lexi trzymali kieliszki wypełnione whisky z lodem.

— Macie białe wino? — spytała.

— Jasne, już podaję. — Adam wyszedł do kuchni.

Salon wyglądał tak samo jak przed dziesięciu laty.

Zielony dywan zakrywający całą podłogę, nieco już przetarty w pobliżu ulubionego fotela ojca. Ceglany kominek z mosiężnym wiadrem, w którym leżały podpałka i drwa. Na ścianie zdjęcia Adama i Lexi z dzieciństwa.

Ostatnie zostało zrobione, gdy Lexi skończyła szkołę średnią. Boże, jaka była wtedy chuda, prawdziwa tyka chmielowa!

Myrna usiadł na starej sofie obitej brązowym sztruksem. Dwa teriery rasy Jack Russell natychmiast zaczęły gramolić się na jej kolana, przepychały się, walcząc o najlepsze miejsce.

Lexi usiadła na drugim końcu sofy.

— Kim są ci przystojni faceci?

— Faceci? — Matka pogłaskała psa po głowie. — To moje dziewczynki, nie widać? Budda i Pest. — Przewróciła je tak, że ułożyły się na jej rękach do góry brzuchami. Myrna przyglądała im się czule, robiąc przy tym ckliwe miny.

— Mama chce mieć wnuki — poinformował ją oschłym tonem Adam, wręczając kieliszek z winem.

— Cóż, to dobrze, że ma dwoje dzieci, prawda? — odparowała Lexi. A niech to, pomyślała. Szybko przeszliśmy do konkretów.

Adam usiadł w fotelu ze zwichrowaną tylną nogą. Dwa psy, które nieustannie dotrzymywały mu towarzystwa, natychmiast ułożyły się u jego stóp, a właściwie na jego stopach.

— Adamie, twój pies jest łysy — wyszeptala niepewnie Lexi.

Skinął głową.

— Tak, Bella ma problemy ze skórą.

— Bella? — Lexi parsknęła. — A to drugie stworzenie też jest psem?

Wygląda jak hiena. Nie żebym się czepiała...

— Biedny Lucky... — Pochylił się, by poklepać psa po głowie. — Nie wszyscy możemy być piękni i młodzi.

Zastanawiała się, czy to miał być przytyk pod jej adresem. Aluzja do jej próżności? Nie, nie mogła zastanawiać się nad każdą uwagą, którą ludzie robią w jej towarzystwie. Wkrótce popadłaby w obłęd.

— Więc wróciłeś na wyspę? — spytała brata.

— Dwa miesiące temu. Pracowałem w Bostonie, ale dowiedziałem się, że potrzebują weterynarza w fundacji MSPCA na wyspie, więc jestem.

— Wspaniale! Gdzie mieszkasz?

— Kupiłem mały domek przy Crooked Lane.

— Wie, że mógłby mieszkać tutaj — wtrąciła Myrna, spoglądając znacząco.

— Mamo. — Adam westchnął. — Mam trzydzieści trzy lata.

— I jak ci się tutaj żyje? — pytała dalej Lexi.

Odchrząknął niepewnie.

— Spotyka się z Melanie Clark! — oświadczyła radośnie Myrna.

— Jestem głodny — przemówił nieoczekiwanie Fred. — Zamówię pizzę. Dwie duże

deluxe, dobrze? Nikt nie przeszedł ostatnio na wegetarianizm, prawda?

— Nie — zapewniła go Lexi, po czym zwróciła się do Adama. — Melanie Clark?

Pamiętam ją. Uroczą dziewczyną i bardzo ładną. Co teraz porabia?

— Uczy w podstawówce — odparł Adam. — W czwartej klasie.

— To coś poważnego?

— Oby! — Myrna westchnęła z nadzieją.

— Nie — zaprzeczył Adam stanowczo.

Fred zamówił pizzę, wrócił do salonu z telefonem w ręce i zasiadł w swoim ulubionym fotelu.

— Będą za dwadzieścia minut. Pojadę po nie.

— A jak się miewa Clare? — spytała Lexi.

Matka uśmiechnęła się czule.

— Doskonale. Jej sklep, Sweet Hart's, świetnie prosperuje, słyszałam też, że na Boże Narodzenie dostała od Jessego pierścionek zaręczynowy.

— Więc Jesse trochę wydorósł, tak? — upewniała się Lexi.

Adam spojrzał na nią z ukosa.

— Pytasz, czy nie sypia już z kim popadnie?

Ojciec Lexi skrzywił się z niesmakiem. Nie cierpiał rozmów o seksie.

— No dobrze, teraz ty może powiesz nam coś o sobie — zmieniła temat Myrna, odwracając się do córki.

Lexi zawahała się na moment.

— Cóż, wiecie, że się rozwiodłam. Nie żałuję tego. Ale nie żałuję też, że wyszłam za Eda. Przeżyłam kilka naprawdę wspaniałych lat.

— Z pewnością sporo podróżowałaś — zauważyła matka chłodnym tonem.

— Podróże były najlepszą częścią tego małżeństwa. Myślę, że trochę też dorosłam. Ale zawsze tęskniłam za Nantucket. Nie spodziewałam się tego, ale gdy musiałam zdecydować, gdzie zamieszkać, od razu wiedziałam, że chcę wrócić do domu.

Adam skinął ze zrozumieniem głową.

— Wiem, o czym mówisz. Nie możesz się doczekać, żeby stąd wyjechać, a potem uświadamiasz sobie, że nie możesz żyć nigdzie indziej.

— To prawda. Nantucket jest magiczne.

— A jak zamierzasz zarabiać na życie? — spytała Myrna, zatroskana.

— Długo się nad tym zastanawiałam, możecie mi wierzyć. Wiem, co lubię i w czym jestem dobra. Otwieram sklep z ubraniami.

Ojciec zmarszczył brwi.

— Nie wiem, czy to taki dobry pomysł, Lexi. Wiesz, co się stało z naszym sklepem. A od tego czasu czynsze poszły w górę, ludzie żądają teraz jakichś zawrotnych sum.

Skinęła głową.

— Tak, wiem. Dlatego mój sklep będzie ekskluzywny. A moje towary wyjątkowe.

Adam podniósł kieliszek do toastu.

— Powodzenia, Lexi.

— Dzięki, Adamie.

Myrna zmrużyła oczy.

— W jakim sensie wyjątkowe?

— To będą moje własne projekty. Będzie je szyć moja znajoma krawcowa z Nowego Jorku. To znaczy ona i jej pracownicy. Robiła dla mnie sporo przeróbek i ubrań na zamówienie,

gdy mieszkaliśmy w Nowym Jorku. Dobrze ją znam i wiem, że jest naprawdę świetna.

— Prowadzenie własnego biznesu to ciężka praca — ostrzegł ojciec. — Niewiele w tym przyjemności, za to sporo mycia okien i papierkowej roboty.

Lexi pochyliła się do przodu.

— Wiem, tato, pamiętam, jak to wyglądało w naszym sklepie. Nie boję się ciężkiej pracy.

— A jak będziesz płacić za towar, jeśli wolno spytać? — Fred nie dawał za wygraną.

Nie była zaskoczona pytaniem. Wiedziała, że pieniądze zawsze będą drażliwym tematem w rozmowach z rodzicami.

— Nie jestem bogata — przyznała. — Przed ślubem podpisałam intercyzę i prawdę mówiąc, zostałam z niczym. Z niczym prócz sporej ilości biżuterii i designerskich ubrań. Sprzedałam większość i zainwestowałam te pieniądze w sklep.

Ojciec Lexi milczał przez chwilę, rozważając jej słowa.

— Cóż — przemówił powoli. — Wszystko to brzmi ekscytująco.

Oczy Lexi wypełniły się łzami.

— Och, tato, wiem, że mając dziewiętnaście lat zachowywałam się okropnie, jak smarkuła. Wiem, że powiedziałam dużo głupich, bolesnych słów i szczerze tego żałuję. Być może byłam po prostu za młoda, żeby zrozumieć, jak bardzo kocham swoją rodzinę i jak bardzo kocham tę wyspę.

Fred przybrał niepewną, zbolałą minę, którą zawsze ratował się w chwili, gdy ogarniało go wzruszenie. Odchrząknął głośno. Myrna wpatrywała się w swoje psy.

Sytuację uratował Adam.

— Skoro zakładasz sklep, Lexi, to powinnaś zapisać się do Izby Handlowej.

— Świetny pomysł, braciszku! — ucieszyła się, zadowolona, że udało jej się wygrzebać z grzęzawiska wyrzutów sumienia i stanąć znów na twardej ziemi. — Na pewno przydadzą mi się dobre rady. Ale mam lokal na sklep i mam też gdzie mieszkać. Byłam na wyspie dwa tygodnie temu, przejrzałam oferty nieruchomości, podpisałam umowę i dziś będę już spać w moim nowym mieszkaniu. A jutro zacznę przygotowywać sklep do wielkiego otwarcia w lipcu!

— Gdzie jest ten lokal? — spytał Adam.

— Przy Commercial Wharf. Ceglany budynek.

— Masz na myśli ten bliźniak, w którym jest sklep Clare? — upewniła się Myrna. Gdy Lexi skinęła głową, spytała: — Rozmawiałaś już z nią?

— Jeszcze nie. Jej też jestem winna przeprosiny.

Ojciec podniósł się z fotela.

— Czas odebrać pizzę — oznajmił.

— Pojadę z tobą — zaproponował Adam.

— A ty, Lexi, chodź ze mną do kuchni — powiedziała matka. — Zrobimy sałatkę.

Wieczorem wróciła do swojego nowego domu przy nabrzeżu. Rodzice nie proponowali jej, by przespała się w swoim starym pokoju, co było jej na rękę. Chciała pobyć trochę w samotności. Była już inną, nową, „ulepszoną”

i dorosłą Lexi. Gdy jechała wzdłuż Lower Orange Street, obok Marine Home Center, Hatch's i Orange Street Video, przyglądała się wszystkiemu z czułością. Gdy miała dziewiętnaście lat, ta sama ulica, te same budynki, pokryte szarym ze starości gontem, wydawały jej się zaniedbane i niemodne — wiejskie. Ona pragnęła światła wielkich miast, drapaczy chmur, gmachów oper i teatrów, ekskluzywnych sklepów.

A teraz znów znalazła się na wyspie. To prawda, w ciągu dziesięciu lat wyspa także się zmieniła, stała się bardziej elegancka — i droższa. Lecz ona sama również nie była taka jak przed

laty.

Zaparkowała na bruku, przeszła przez wąską uliczkę, otworzyła drzwi i weszła do wnętrza cichego budynku. Wspięła się na schody i wkroczyła do długiego, pustego pokoju. Przez okna sączył się blask księżyca. Stała przez chwilę oparta o parapet, zauroczona widokiem srebrzystej wstęgi światła na tle czarnej wody. Za tym też ogromnie się stęskniła.

Najchętniej nie ruszałaby się od okna przez całą noc, wpatrzona w zatokę, po chwili jednak ziewnęła potężnie i przetarła oczy. Rozpakowała torbę i rozłożyła na podłodze ubrania, przygotowując sobie coś w rodzaju legowiska. Zwinięty sweter pełnił funkcję poduszki, a płaszcz zastępował kołdrę. Ułożyła się na tym przedziwnym posłaniu i znów ziewnęła, zmęczona i szczęśliwa.

JEDENAŚCIE

No i co to za sensacja? — spytał Jesse.

— Chwileczkę. — Clare zdjęła fartuch, usiadła na krześle i rozejrzała się dokoła, sycąc się tą chwilą. Jesse wpatrywał się w nią niczym puma, oswojona i usadzona przy stole.

Clare odczekała jeszcze chwilę. Za oknem szalał zimny wiatr, lecz w kuchni było ciepło i przytulnie, a ojciec miał wyjątkowo dobry humor i pożerał z apetytem soczysty stek.

— No mów — ponaglał ją Jesse. — To napięcie mnie zabije.

— Lexi przyjechała do miasta — oznajmiła wreszcie Clare.

— W kwietniu? — zdumiał się Jesse.

— Nie przyjechała tu z wizytą. Wróciła na dobre.

— Co? — Jesse parsknął. — Zbuduje z tym swoim tatuśkiem pałac, żeby rządzić całą wyspą?

— Wcale nie. — Clare stwierdziła z zaskoczeniem, że czuje się w obowiązku bronić Lexi. Dlaczego właściwie ja to robię, po wszystkich tych latach? — Rozwiedli się. Lexi wraca sama. Otworzy tu sklep. Wynajęła lokal obok mojego sklepu.

Jesse odłożył widelec i spojrzał na nią z powagą.

— Kochanie, nie rób sobie wielkich nadziei.

Uniosła brwi.

— Jakich nadziei?

— Że znów będziecie z Lexi najlepszymi przyjaciółkami. Że ona nie jest już taką snobką, jaką była wtedy, kiedy poznała tego łajdaka i wyjechała stąd.

— Och, daj spokój, Jesse. — Pociągnęła łyk wina i spojrzała znacząco na narzeczonego.

— Nie lubiłeś Lexi, nim jeszcze poznała Eda Hardina.

Nigdy jej nie lubiłeś.

— Jest arogancka — burknął.

— Jesse, Lexi była nieśmiała, a nie arogancka. Wszyscy ci twoi kumple, którzy ślinili się na jej widok i próbowali dobrać się do jej majtek, gdy miała szesnaście lat, parę lat wcześniej wyśmiewali ją, bo w wieku dwunastu lat wyrosła nagle do metra siedemdziesiąt, nosiła aparat i nie miała biustu.

— To wspomnienie obudziło w niej dawno zapomnianą złość. — A kiedy z tego wyrosła, ci sami faceci marzyli tylko o tym... — Zerknęła na ojca i ubrała resztę zdania w nieco łagodniejsze słowa — ...żeby wejść do jej łóżka. Nie znali jej. Nie obchodziła ich.

— Bo nie mieli szansy jej poznać — odparował Jesse. — Nigdy z nikim nie rozmawiała. I nie wierzę w tę jej nieśmiałość. Skoro taka nieśmiała, jak to możliwe, że została żoną Eda Hardina?

— Nie wiem — przyznała Clare. Ostatnie tygodnie znajomości z Lexi zatarły się już nieco w jej pamięci. — Wszyscy popełnialiśmy mnóstwo błędów, gdy byliśmy młodzi.

Jesse wpakował sobie do ust wielki liść sałaty, choć nie cierpiał tego warzywa. Clare wiedziała, że zastanawia się, jak skierować rozmowę na inne tory i odwieść ją od tematu jego błędów, wszystkich niewierności, którymi ją ranił. Też nie chciała o tym rozmawiać. Jesse był zazdrosny o jej bliskie stosunki z Lexi. Rozdarta między dwojgiem ludzi, których najbardziej kochała, czuła się niekomfortowo. Miało to jednak i swoje dobre strony, bo Lexi to chyba jedyna młoda kobieta na wyspie, która nigdy nie spała z Jessem.

Clare odkroiła kawałek steku i zjadła.

— A tobie smakuje stek, tato?

— Twoja matka zawsze lubiła Lexi — odpowiedział nieoczekiwanie ojciec. — Bronił jej nawet wtedy, gdy Lexi wyjechała z tym gnojkiem Hardinem.

— Zgadza się, tato. — Clare cieszyła się, że ojciec z własnej inicjatywy włączył się do rozmowy.

— Twoja matka była naprawdę bardzo miła — przytaknął Jesse, po czym zrećcznie zmienił temat rozmowy: — Clare, na Weather Channel jest program, który chciałem obejrzeć. Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli zjemy z twoim tatą deser w salonie?

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

— Pewnie, że nie. Zaraz wam przyniosę.

Jesse odsunął krzesło i wstał od stołu, szczupły, muskularny i przystojny.

— Chodźmy, George. Czas, żeby mężczyźni trochę odpoczęli.

Czekał przy krześle ojca Clare, aż ten pozbiera myśli. George musiał dokonać ogromnego wysiłku woli, by oderwać się od wspomnień o swojej żonie i powrócić do teraźniejszości, w końcu jednak otarł usta, położył serwetkę obok talerza, wstał od stołu i przeszedł z Jessem do salonu.

Clare w milczeniu dokończyła kolację. Była wdzięczna Jessemu, że tak się o nią troszczył. Nie powiedziała mu jednak — bo była już dorosłą kobietą i nikt nie musiał o tym wiedzieć — że myśl o ponownym spotkaniu z Lexi budziła w niej radość, a zarazem niepokój.

DWANAŚCIE

Clare była w kuchni nad swoim sklepem, przekładała z brzękiem garnki, miski z nierdzewnej stali, trzepaczki, chochle i łyżki. Wiosną zawsze tu robiła generalne porządki, malowała ściany, szorowała wszystkie szafki, półki i szuflady — nigdy jednak nie robiła tego tak wcześnie, już w kwietniu.

Kiedy tylko obudziła się tego ranka, toczyła ze sobą wewnętrzną walkę; jedna część jej duszy chciała jak najszybciej wyjść z domu, druga próbowała ją zmusić do pozostania. Poszła jednak do sklepu, by wykorzystać w jakiś pożyteczny sposób ten nadmiar energii. Włożyła do odtwarzacza kilka płyt — Faith Hill, U2, Alanis Morissette — w nadziei, że muzyka nieco ją rozluźni i poprawi humor. Pracowała szybko i wydajnie, lecz wciąż czuła się okropnie roztrzęsiona.

Do diabła, zachowywała się jak dziecko! Zupełnie jakby miała nadzieję, iż Lexi pomyśli,

że jej najlepsza przyjaciółka jest w swoim sklepie, bo wynajęła przecież lokal tuż obok niej, i zupełnie jakby tak bardzo chciała się zobaczyć z Lexi, że przysłała do swojego sklepu i zachowywała się wyjątkowo głośno, by ta ją usłyszała!

Właściwie wszystko to było prawdą.

Wstyd!

Odkąd dowiedziała się o powrocie Lexi na wyspę, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Emocje kłębiły się w niej niczym pęcherzyki powietrza we wrzącej wodzie, pędziły ku powierzchni, podekscytowane — Lexi! Jej Lexi! Znów tutaj! Po czym pękały z cichym trzaskiem — Lexi, zarozumiała Lexi, zła Lexi, piękna Lexi, mierząca Clare spojrzeniem, pod którym nawet żyrafa poczułaby się niska.

Wyśpiewując na cały głos piosenkę Alanis Moris — sette „You Oughta Know”, Clare odsunęła od ściany szafkę. Gdy piosenka dobiegła końca, w kuchni zapadła na chwilę cisza i w tej ciszy ktoś powiedział:

— Cześć.

— Aaa! — Clare, wystraszona, cofnęła się gwałtownie o krok i uderzyła łokciem w ścianę.

W drzwiach między kuchnią i magazynem stała Lexi, dorosła i piękna niczym modelka wycięta żywcem z żurnala. Jej jasne długie włosy przycięte były nierówno według najnowszej mody, co dodawało jej szyku i prawdziwie wielkomiejskiego wyglądu, choć i bez tego prezentowała się olśniewająco. Miała na sobie obcisłe czarne rurki ze zdobionym paciorkami pasem oraz kaszmirowy sweter. Wydawało się, że nosi buty na dwudziestocentymetrowym obcasie, choć to tylko złudzenie, spowodowane jej imponującym wzrostem. Między spodniami i swetrem widać było wąski pasek gołego ciała; Clare uważała, że moda na odsłanianie brzucha to jedna wielka pomyłka, lecz w wypadku Lexi nawet ten dziwny wymysł dyktatorów mody wyglądał naprawdę atrakcyjnie.

Clare pomyślała, jak ona musi prezentować się w oczach Lexi, ubrana w stare, wypchane spodnie dresowe i wypłowiałą pomietą koszulę roboczą Jessego — swój typowy strój do sprzątanania. Miała rozczochrane, zmierzwiłone włosy i nawet nie pociągnęła ust szminką.

Cudownie, powiedziała sobie w duchu. Przyszłaś tutaj, bo chciałaś się spotkać z Lexi, więc ubrałaś się jak ostatnia fleja. Brawo, doskonałe posunięcie.

Alanis zaczęła śpiewać coś o doskonałości. Clare wyłączyła odtwarzacz i w kuchni zapadła cisza.

— Jak się tu dostałaś?

Lexi uśmiechnęła się nieśmiało.

— Przez drzwi w tej ścianie. — Wskazała ręką na ścianę, która łączyła ich domy.

Clare pochyliła się, by wrzucić gąbkę do wiadra, a przy okazji ukryć zmieszanie.

— Mogłaś najpierw zadzwonić.

— Tak, ale na drzwiach sklepu jest wywieszka „Zamknięte”. Nie wiedziałam, że zamierzasz tutaj przychodzić, ale potem usłyszałam muzykę...

— Zawahała się na moment, po czym dodała jednym tchem: — Wynajmuję sąsiednią część budynku. Zamieszkać na górze, a na dole będzie mój sklep.

Ja... nie wiedziałam, że to twój lokal.

Clare spojrzała na nią spod przymrużonych powiek.

— Sklep nazywa się Sweet Hart's. Nie domyśliłaś się, że to ja go prowadzę?

Lexi spłonęła rumieńcem.

— Cóż, chyba przypuszczałam... Ale nie dlatego wynajęłam to miejsce.

Po prostu idealnie pasuje do moich planów. — Przeszła z nogi na nogę, wymachując niezdarnie rękami, zupełnie jak dawniej. Wyglądała jak bocian na wrotkach. Jak zawsze. — Świetnie wyglądasz, Clare.

— Jasne. Jak ikona mody — zachnęła się Clare.

Lexi znów machnęła ręką.

— Nie mówię o ubraniu. Wszystkie tak wyglądamy, kiedy robimy porządki. Mówię ogólnie. Naprawdę świetnie wyglądasz. Radośnie. Zdrowo.

— Cóż... — Clare starła z blatu jakąś niewidzialną plamkę. — Ty też nieźle wyglądasz. Właściwie wyglądasz rewelacyjnie.

— Wyglądam jak idiotka — powiedziała Lexi. — Szpilki na brukowane ulice? Co mi strzeliło do głowy?

Clare uśmiechnęła się mimowolnie, wyobrażając sobie Lexi, jak potyka się na bruku i wymachuje bezradnie rękami.

Jej uśmiech ośmielił Lexi.

— Hej, może... miałabyś ochotę na kawę?

Clare zawahała się na moment.

— Hm... Właściwie napiłabym się kawy. — Ściągnęła gumowe rękawiczki i odłożyła je na blat.

— Och! — Lexi poderwała gwałtownie głowę i zamachała rękami. —

Przecież ja nie mam kawy! Nie mam też filiżanek ani kubków. Przyjechałam dopiero wczoraj, a ciężarówka z rzeczami ma być dopiero dzisiaj, nie byłam też jeszcze na zakupach...

Clare zastanawiała się, czy powinna się obrazić, bo wyglądało, że Lexi specjalnie zaaranżowała tę sytuację, by to ona, Clare, musiała ją obsługiwać. Z drugiej jednak strony, Lexi którą pamiętała z dzieciństwa, zawsze zachowywała się w ten sposób, jakby ciągle chodziła z głową w chmurach.

Poza tym w głębi duszy Clare była zadowolona, że może pokazać Lexi swój sklep. Co prawda ona sama nie prezentowała się najlepiej, ale zarówno sklep na dole, jak i pomieszczenia na górze wyglądały świetnie. Kuchnia — z wyjątkiem szafki, którą właśnie wysunęła — lśniła czystością. Clare przeszła od szafki do blatu, zmeła kawę, nastawiła ekspres, dodała świeżej śmietany, po czym ustawiła wszystko na firmowej tacy coca—coli.

Przeniosła kawę do większego pokoju, w którym mieścił się magazyn.

Przy oknach wychodzących na ulicę urządziła coś w rodzaju kącika wypoczynku dla pracowników, z małą sofą, dwoma wyściełanymi fotelami i stolikiem na kawę, na którym leżała sterta czasopism, takich jak „People”, „US” czy „Gourmet”, „Bon Appetit” i „Chocolatier”.

Lexi spojrzała na stół roboczy, na którym piętrzyła się sterta lśniących ciemnozielonych pudełek.

— Podoba mi się twój design. Bardzo pomysłowy.

— Też tak uważam — zgodziła się Clare.

Jako cukiernik nie mogła nie wykorzystać faktu, że nosi nazwisko Hart, tak bardzo zbliżone do słowa „heart”, czyli serce, i nie użyć go w nazwie sklepu. Kusilo ją, by w logo sklepu i w jego wystrój wpleść motyw czekoladowego serca, postanowiła jednak pójść w innym, mniej oczywistym, a zarazem ciekawszym kierunku. Dlatego też wszystkie pudełka miały ciemnozielony kolor z motywem głowy jelenia, gdyż jedno z angielskich określeń tego zwierzęcia to właśnie „hart”. Oprócz tego na logo firmy znajdowała się trufla zawieszona na rogach jelenia za pomocą złotej nitki. Brązowy zwierzak wydawał się bardzo sympatyczny, miał wielkie ciemne oczy i aksamitny nos. Wysuwał lekko język i dotykał nim kącika warg, jakby zjadł właśnie coś pysznego i obliżywał się ze smakiem. Na Boże Narodzenie Clare zamawiała

pudełka, na których z rogów jelenia zwieszała się dodatkowa, złota ozdoba choinkowa. Na walentynki ozdobę zastępowało oczywiście serce. Na specjalne zamówienia — a dostawała ich coraz więcej — w logo pojawiały się też takie elementy jak pięknie opakowane pudełko z prezentem urodzinowym, obrączka czy muszla.

Lexi przesunęła czubkiem palca po rogach jelenia.

— To miejsce jest naprawdę fantastyczne, Clare.

— Dzięki.

Postawiła tacę z kawą na stole i usiadła w fotelu. Obok kawy ułożyła wcześniej kilka czekoladek własnej roboty.

— Poczęstuj się.

Lexi usiadła w drugim fotelu, skrzyżowała nieprawdopodobnie długie nogi i przesunęła je na bok, by sięgnąć po czekoladkę. Ugryzła kawałek.

— Pyszne.

Clare uśmiechnęła się tylko.

— Naprawdę niezwykle.

— Dzięki.

— Sama je robisz?

— Tak. Latem mam jeszcze dodatkowych pracowników, ale sama opracowałam wszystkie receptury. Teraz jesz właśnie trufkę Nantucket Knock— Out.

— Fajne. — Lexi się roześmiała.

— Mam ten sklep od pięciu lat. Uwielbiam go.

— Hmm, nie dziwię się. — Lexi oblizwała wargę z czekolady, a kiedy uśmiechnęła się szeroko do Clare, wyglądała tak jak wtedy, gdy obie miały szesnaście lat.

— No dobrze, powiedz mi teraz, dlaczego właściwie wróciłaś? — spytała wprost Clare.

TRZYNAŚCIE

Za oknami wyl wiatr, zza gęstej zasłony chmur przebił się na moment promyk słońca i wypełnił kuchnię ciepłym, żółtym światłem.

— Ostatni rok był dla mnie trudny... — zaczęła Lexi, po czym zamilkła.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła od nowa: — Clare... Clare, ogromnie mi przykro, że rozstałyśmy się w taki a nie inny sposób. Wczoraj wieczorem widziałam się z moją rodziną, przeprosiłam ich za wszystko i myślę sobie teraz, że powinnam chyba wykupić całą stronę w gazecie, żeby przeprosić całe miasto.

Clare spojrzała na nią spod uniesionych brwi.

— Cała strona to może lekka przesada.

Droczyła się z nią! Lexi się roześmiała, czując ogromną ulgę.

— Naprawdę chcesz mnie wysłuchać? — Wskazała gestem pudełka, które czekały na złożenie i obwiązanie wstążkami. — Wiesz, nie chciałabym ci przeszkadzać, jeśli jesteś zajęta.

— W porządku. Mam mnóstwo czasu na sprzątanie.

— Moim zdaniem tu jest całkiem czysto.

— Tak, ale czysto to za mało. Ma być nieskazitelnie. Sterylnie. Nieważne, chcę wiedzieć, co się z tobą działo. — Clare podciągnęła nogi i ułożyła je bokiem na fotelu.

Nagle, gdy nadeszła już ta długo wyczekiwana chwila, Lexi ogarnęły wątpliwości.

— Mogłabym cię poprosić, żebyś nikomu o tym nie mówiła? — Odchrząknęła niepewnie, zaskoczona dziecinnym brzmieniem swojego głosu.

— Wiesz, tobie mogę się wydawać żalosna, jesteś do tego przyzwyczajona, ale chyba nie mogłabym tu mieszkać, gdyby inni wyspiarze tak mnie postrzegali. A bardzo chcę tu mieszkać.

— Żalosna? — Clare się skrzywiła. — Myślisz, że wydasz się innym żalosna? Nie przesadzaj... — Po krótkiej pauzie dodała, łagodniejszym tonem:

— W porządku, nie powiem nikomu.

— Nawet Jessemu.

— Och, daj spokój, muszę mu coś powiedzieć! Przecież nie będę zmyślać ani nie powiem, że owszem, widziałam się z Lexi, trochę pogadałyśmy, ale nie mam pojęcia, co robiła przez dziesięć lat. — Clare skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała wyzywająco na przyjaciółkę.

Lexi wpatrywała się przez chwilę w swoje upierścienione dłonie.

— No dobrze, a mogłabyś mu przedstawić trochę... ocenioną wersję?

— Chcesz powiedzieć, że to będzie jakaś wyjątkowo pikantna opowieść? — Clare uniosła brwi.

— Dobrze wiesz, co mam na myśli — zachnęła się Lexi.

— W porządku ~ Clare westchnęła. — Wal.

Za oknem przejechała ciężarówka, brzęczała i łomotała niczym sekcja perkusyjna orkiestry symfonicznej.

— A niech mnie... — Lexi podniosła się i wyjrzała za okno. — Nie mogę uwierzyć, że stary pan Wallins ciągle wywozi śmieci.

— To nie jest stary pan Wallins.

— Ale widziałam.

— To Dougie Wallins.

— Nie wierzę.

— Ma teraz trzydzieści trzy lata. Ożenił się z Alys — są Santos. Mają troje dzieci. Jedno kończy teraz dziesięć lat. — Clare poczekała, aż ostatnie brzęki i stukoty ucichną. — Nie było cię tu ładnych parę lat. Sporo się wydarzyło w tym czasie.

Lexi pokręciła głową, próbując oswoić się z tym wszystkim.

— No dobrze, miałaś mi coś powiedzieć, prawda? — przypomniała jej Clare.

Lexi skapitulowała.

— Jasne. Pamiętasz tamto lato. W jakiej byłem wtedy sytuacji. Moi rodzice pracowali ciągle w sklepie, nie rozmawiali o niczym innym tylko o pieniądzach. Chcieli wziąć drugi kredyt, żeby zapłacić za moje studia.

Adam był w Bostonie, a ty nie widziałaś świata poza Jessem.

— Przesada — Clare wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się smutno.

— Więc nie mogłam liczyć na ciebie — mówiła Lexi. — Nie mogłam liczyć na nikogo. W La Maison też traktowali mnie jak outsiderkę, nieudacnicę, która niczego nie potrafi. — Rozsunęła buty, zdjęła je i przyciągnęła kolana do piersi. Objęła je ramionami, oparła na nich głowę i przez chwilę milczała, zamyślona. — Byłam okropnie samotna.

— Poczęstuj się jeszcze czekoladką — zaproponowała cicho Clare. — Spróbuj tę.

Lexi wzięła smakołyk, odgryzła kawałek i zamknęła oczy, rozkoszując się smakiem.

— Dobrze. — Zjadła czekoladkę i tym razem oblizowała palce. — Więc tak się właśnie czułam tamtego lata. Jakbym była niewidzialna. Potem do restauracji przyszedł Ed i zobaczył

mnie. Wybrał mnie. Bogaty, ważny i wpływowy człowiek.

Clare parsknęła, ale od razu machnęła ręką.

— Przepraszam. Przepraszam. Więc wsadził cię na swój latający dywan i zawiózł do krainy szczęśliwości.

— W pewnym sensie tak. — Lexi uśmiechnęła się. — Clare, to było naprawdę niezwykle, podróżowałam dosłownie wszędzie. Wymień tylko nazwę jakiegoś znanego miejsca, a założę się, że tam byłam. Poznałam wielu ważnych ludzi, słynnych dyrygentów z Europy, kustoszów wielkich muzeów. Wszystko, z czym się stykałam, było naprawdę najwyższej klasy.

—

Przerwała na moment i objęła się mocniej ramionami. — I te ubrania. ..

Och, szkoda, że nie widziałaś moich ubrań! Ja nie tyle mogłam kupować najnowsze i najdroższe stroje, ja musiałam to robić. Jako żona Eda miałam obowiązek wyglądać bajecznie.

— Widziałam parę twoich zdjęć. W dziale mody „Timesa” i „Boston Magazine”.

Wyglądałaś jak amerykańska księżniczka. Myślałam wtedy, że musisz się naprawdę świetnie bawić, że spełniły się twoje marzenia. Cieszyłam się, że ci się powiodło.

— Miło słyszeć. Że pomyślałaś, że dobrze się bawię, i że to cię cieszyło.

— Lexi przeciągnęła dłonią po włosach. — Nie odpisałaś na żaden list.

Clare wzruszyła ramionami.

— Kiedy ty opalałaś się na Bali albo szusowałaś w Alpach, ja studiowałam, pracowałam wieczorami i w weekendy, a do tego próbowałam się jeszcze nauczyć podstaw księgowości, albo siedziałam na wyspie, pracowałam na dwie zmiany, sześćdziesiąt godzin w tygodniu, i odkładałam pieniądze na sklep. Wciąż byłam na ciebie wściekła, że wyszłaś za tego dupka. I nie sądziłam, że kogoś takiego jak ciebie, osobę światową, modną i podziwianą, będzie interesowało moje nudne, prowincjonalne życie.

— Clare, przepraszam, że mówiłam te wszystkie rzeczy, naprawdę bardzo mi przykro.

— Wiem. Ja też przepraszam za to, co mówiłam. Ale czułam się wtedy tak, jakbyś wyszła z pokoju i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Porywisty wiatr znów rozegnał na moment chmury, a pokój wypełnił się blaskiem słońca. Lexi dostrzegła łzy w oczach Clare. Czuła, że jeszcze chwila, i ona się rozplacze. Jak mogła naprawić to wszystko? Wiedziała, że nie zdoła zrobić tego sama.

— Clare...

Clare pokręciła energicznie głową.

— Nieważne. To przeszłość. Było, minęło. Powiedz mi, dlaczego nie jesteś już mężatką.

— Och... — Lexi sama nie wiedziała, czy może jej wyjawić całą prawdę o swoim małżeństwie. Czerwieniła się ze wstydu na samo wspomnienie swojej naiwności. Rozłożyła szeroko ręce i wzruszyła bezradnie ramionami.

— Po prostu go zostawiłam. Prawdę mówiąc, nie jest to szczególnie sympatyczny człowiek.

— Co ty powiesz...

Nagle Lexi zerwała się z fotela i wyjrzała przez okno.

— Jest już prom! — Obróciła się w miejscu i klasnęła w dłonie. — Lada moment będzie tu ciężarówka z moimi rzeczami. Będę dziś spać w swoim łóżku! Clare, dziękuję bardzo za kawę i czekoladki. Może...

— Prom przybije do brzegu najwcześniej za piętnaście minut. — Clare wstała, oparła dłonie na biodrach i zmierzyła Lexi gniewnym spojrzeniem.

— Więc chcesz, żeby tak to właśnie wyglądało? Gra pozorów, uśmiechy, pocałunki i papierowa przyjaźń?

— Co masz na myśli? — Lexi wzdrygnęła się.

— Po pierwsze, Clare zaczęła odliczać na palcach — byłaś z tym facetem przez dziesięć lat. Po drugie, nagle się rozwiodłaś. Po trzecie, wróciłaś na wyspę. Ale wolisz nie mówić dlaczego. Jeśli chcesz mi przedstawić lukrowaną wersję swojego życia, to proszę bardzo, ale nie oczekuj niczego więcej ode mnie.

Lexi zaczęła protestować, potem jednak zmieniła zdanie.

— Odwykłam już od szczerych rozmów, Clare. Chciałabym ci powiedzieć wszystko, ale to trochę... smutne. A teraz chcę być szczęśliwa. Chcę być radosna. Zaczynam życie od nowa i chcę się nim cieszyć. Prawdę mówiąc, nie zdecydowałam jeszcze, gdzie postawię wszystkie meble i rzeczy.

Muszę się trochę zastanowić, zanim przyjdą tu faceci z firmy przewozowej.

— Rozumiem. — Clare skinęła głową.

— Posłuchaj, może wybrałybyśmy się wieczorem na kolację? Ja stawiam.

Clare wydawała się urażona.

— Nie musisz stawiać mi kolacji. Całkiem nieźle zarabiam...

— Och, przestań. Przecież nie to miałam na myśli. Ty poczęstowałaś mnie właśnie kawą i czekoladkami, dlaczego teraz ja nie mogę ciebie czymś poczęstować?

Clare wciąż czuła się dotknięta.

— Dziś jestem zajęta. Umówiłam się z Jessem.

— Więc może kiedy indziej?

— Dobrze — zgodziła się niechętnie.

— Świetnie. Pójdę już, trzeba się jakoś ogarnąć. — Lexi włożyła szybko buty i poszła w stronę drzwi łączących ich lokale. — Cholera, muszę zmienić te buty, zanim się w nich zabiję. — Zerknęła na Clare, zastanawiając się, czy mogłaby ją uścisnąć. Clare zbierała właśnie naczynia, minę miała zaciętą, Lexi знаła ją aż za dobrze. — Do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Nim jeszcze dotarła do drzwi, Lexi przystanąła i zwróciła się do przyjaciółki:

— Myślisz, że Jesse mógłby zrobić dla mnie parę rzeczy? Muszę urządzić w sklepie przebieralnię i ladę.

Clare tylko spojrzała na nią wymownie.

— Wiem, że Jesse mnie nie lubi. — Lexi skinęła głową. — Ale na razie nikt mnie tu nie lubi, a tak to wiem przynajmniej, że Jesse robi to porządnie i na czas, bo inaczej go zabijesz.

Clare parsknęła śmiechem, rozbawiona tą logiką.

— Porozmawiam z nim.

— Dzięki.

Lexi pomachała jej na pożegnanie, przeszła do swojej części budynku i zamknęła za sobą drzwi. Znalazła się znów w swoim własnym, nieskalanym, nowym świecie.

CZTERNAŚCIE

Podczas gdy pracownicy firmy spedycyjnej przynosili eleganckie meble Lexi, Clare klęczała przy oknie i skrywając twarz za firanką obserwowała, co dzieje się na ulicy. Nie chciała, by ktoś pomyślał, że jest ciekawska. Albo, broń Boże, zafascynowana niczym jakiś bezmyślny troll, który gapi się z rozdziawioną gębą na królewski przepych. Ale była zafascynowana, co budziło w niej taką irytację na samą siebie, że miała ochotę wyrzucić się przez okno na ulicę.

Wieczorem, po kolacji, gdy odpoczywali w salonie, Clare oderwała się na chwilę od lektury, zaznaczyła miejsce, w którym skończyła czytać, i powiedziała Jessemu, że Lexi potrzebuje pomocy przy urządzaniu sklepu.

Jesse wylegiwał się na sofie, pochłonięty grą na przenośnej konsoli Nintendo.
— Mam już pracę — burknął.

— Jest kwiecień, Jesse — przypomniała mu Clare. — Możesz wziąć sobie parę godzin wolnego, gdy tylko zechcesz.

— Dobra — mruknął, nie odrywając spojrzenia od gry.

Przez kilka następnych dni, gdy tylko Clare wchodziła do sklepu, słyszała za ścianą szuranie, odgłosy przesuwania. Lexi wciąż meblowała mieszkanie. Clare zastanawiała się, czy nie zapukać do niej i nie spytać, czy potrzebuje pomocy, nie potrafiła jednak zdobyć się na to. Wykorzystała ogromne pokłady energii do uporządkowania stert dokumentów piętrzących się na biurku.

Nad wyspą przeciągał sztorm, zatrzymał w portach i na lotniskach wszystkie promy i samoloty, a mieszkańców skutecznie zniechęcał do wychodzenia z domu. Clare składała w tym czasie pudełka przeznaczone na drobne czekoladowe prezenty. Zwykle przy tej żmudnej pracy pomagała jej Marlene, ale rozchorowała się na gripę. Pulchna, nieskomplikowana Marlene była świetną pracownicą i okropną gadułą, zafascynowaną ostatnio „Tańcem z gwiazdami”. Gdy tylko miała okazję, zamęczała Clare drobiazgowymi opisami kostiumów tancerzy oraz układów choreograficznych.

Clare żałowała, że Marlene nie może jej pomóc, choć z drugiej strony cieszyła się, że nie musi wysłuchiwać jej trajkotania. Siedziała sobie spokojnie w magazynie, z kubkiem czekolady, wyginała cierpliwie kolejne elementy i wsuwała kłapkę A do wycięcia B. Powoli na stole rosła góra eleganckich zielonych pudełek. Nie puszczała nawet muzyki. Była zbyt zajęta wsłuchiwaniami się w odgłosy dobiegające zza ściany.

Czwartego dnia Clare usłyszała, że w mieszkaniu Lexi zadzwonił telefon. Po chwili dobiegł ją przytłumiony głos przyjaciółki. Ciekawe, z kim rozmawiała? Z kimś z wyspy? Może ze swoim bratem?

A może z kustoszem znanego muzeum albo dyrygentem z Europy.

Odbija ci, zganiła się w duchu. Po prostu do niej zadzwoń. Lecz nie mogła jakoś sięgnąć po telefon.

W niedzielę po południu sztorm przycichł, wypogodziło się, a Clare nie mogła usiedzieć na miejscu. Jesse popłynął z kumplami na ryby do zatoki Maine, a Penny i jej mąż wybrali się z wizytą do krewnych na kontynencie.

Zaczęła przygotowywać gęstą potrawkę z wołowiny. Miała być gotowa na wieczór, na kolację dla niej i ojca. Perspektywa wieczoru spędzonego jedynie w towarzystwie ojca przygnębiła ją jeszcze bardziej. Rano prosiła go, by poszedł z nią do kościoła, lecz odmówił. Pytała go, czy wybiera się na popołudniowy koncert, ale odparł, że nie ma ochoty. Dochodziła druga po południu, a on wciąż chodził w piżamie i szlafroku. Czasami Clare miała wrażenie, że musi się opiekować wielkim, wiecznie nadąsanym dzieckiem.

Mogła obejrzeć jakiś film albo przeczytać powieść, przyniosła parę z biblioteki. Nie chciała zaglądać dziś do cukierni. Zawsze starała się, by niedziela była dniem wolnym od pracy. Mogła posprzątać w szafie — przymierzała się do tego od lat...

Zadzwonił telefon. Omal nie połamała sobie nóg, kiedy biegła odebrać.

— Clare? — przywitał ją głos Lexi. — Posłuchaj, wiem, że trochę już późno, ale zastanawiałam się, czy nie poszłabyś ze mną na koncert.

Clare milczała, niezdecydowana.
— Jest o czwartej — dodała Lexi.

Myśl o wspólnej wyprawie na koncert sprawiła, że Clare poczuła się nieco bardziej wytworna.

— Tak, tak, chętnie.
— Świetnie! Spotkamy się na początku Main Street.

Postanowiła wybrać się na koncert w dżinsach i koszuli ze szkarłatnego aksamitu. Dołożyła do tego kolczyki z granatem, które trzymała na specjalną okazję. W zestawieniu z ognistą czerwienią jej włosy wydawały się jeszcze bardziej lśniąco niż zwykle, a skóra nabierała blasku — a może to jednak nie kolczyki sprawiły, że jej oczy wydawały się pełne smaku i tajemnic niczym czekoladki jej roboty.

PIĘTNAŚCIE

Kobiecie, która ma dobrze ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu z pewnością trudno wtopić się w tłum i pozostać niewidzialną. Mimo to Lexi próbowała. Życie u boku Eda nauczyło ją, że powinna trzymać się prosto, nosić buty na wysokim obcasie i podkreślać walory zgrabnej sylwetki odpowiednim strojem, lecz tutaj, na Nantucket, wpadła w panikę na samą myśl o wejściu do zatłoczonej sali. Jak zawsze czułaby się niczym flaming w stadzie pingwinów.

Lecz przewrotna część jej natury wynikająca, jak sądziła, z jakiegoś genetycznego defektu, kazała jej włożyć na koncert najbardziej obcisłe i najpłytsze dżinsy, jakie tylko miała, różowe buty ugg z owczej skóry, obcisły różowy sweterek z kaszmiru oraz skórzaną kurtkę z miedzianymi ćwiekami na mankietach, kołnierzu i pasku. Do tego dorzuciła jeszcze wielkie kolczyki z diamentami. Była tym, kim była i nie zamierzała tego zmieniać.

Wróciła na wyspę, bo ją kochała, a jej mieszkańcy musieli jakoś sobie z tym poradzić.

Przynajmniej starała się myśleć w ten sposób, gdy stała z Clare na końcu Winter Street i obserwowała, jak ludzie przechodzą przez wielką żeliwną bramę, a potem znikają we wnętrzu ceglanego budynku, gdzie niegdyś mieściła się szkoła. Teraz znajdował się tam Egan Institute of Maritime Studies, instytut morski, zawierający między innymi kolekcję zabytkowych pejzaży morskich. Obrazy zdobiły ściany wielkiej auli, w której odbywały się koncerty, zebrania i wykłady.

Clare pochyliła się do Lexi i wyszeptała:

— Mogę ci coś powiedzieć, zanim tam wejdziemy?

Lexi zacisnęła dłoń w pięści.

— Mianowicie?

— Weź kilka głębokich oddechów. Dyszysz jak parowóz.

Spojrzała gniewnie na Clare, która wyglądała pięknie, naturalnie i zdrowo — jak świeże jabłko zerwane przed momentem z drzewa. Lexi z kolei czuła się jak Carmen Miranda z całym koszem bananów na głowie.

— Nie dyszę. Jestem trochę przeziębiona.

Clare wydawała się zirytowana. Otworzyła usta, a potem je zamknęła.

— Posłuchaj, Lexi, wiem, że denerwujesz się tym wyjściem...

— Nie denerwuję się.

— A powinnaś. Kiedy uciekłaś z Edem Hardinem, cała wyspa nie mówiła o niczym innym. Ludzie traktowali to tak, jakbyś odeszła z... no nie wiem, Osamą bin Ladenem.

— Ed nie był taki zły.

— To kwestia dyskusyjna, ale teraz nie mamy na to czasu. Chcę ci tylko powiedzieć, że wszyscy się zmieniliśmy. Nie tylko dzieciaki, z którymi chodziłyśmy do szkoły, ale wszyscy. Na przykład Penny — w szkole nigdy ze mną nie rozmawiała, a teraz jest moją najlepszą przyjaciółką.

Lexi drgnęła mimowolnie.

— Szczęściara z ciebie.

— Owszem. Ale to nie stało się z dnia na dzień, uwierz mi. Nie widziałyśmy się przez ładnych parę lat, do momentu, gdy sparzyłam się w rękę w sklepie. Poszłam na pogotowie, a ona pracowała tam jako pielęgniarka. Była niesamowicie spokojna i pewna siebie, dokładnie taka, jaka powinna być idealna pielęgniarka. Przyniosłam jej potem czekoladki w podziękę za...

Lexi ruszyła w stronę budynku.

— Z przyjemnością wysłuchałabym opowieści o twojej nowej najlepszej przyjaciółce, lecz nie chcę spóźnić się na koncert.

— Jasne. Ale musisz być przygotowana. Ludzie będą gapić się na ciebie. Ludzie będą szeptać. Pamiętaj, jest kwiecień, nie mamy tu zbyt dużo rozrywek. Radzę ci uśmiechać się do wszystkich, witać ich uprzejmie, zapomnieć o średniej szkole i zacząć wszystko od nowa. Dać każdemu szansę.

— Właśnie to zamierzam zrobić!

— Więc przestań zgrzytać zębami i parskać jak koń wyścigowy, którego wciągają na siłę do stajni pełnej mułów.

Lexi przystanęła raptownie.

— Tak właśnie wyglądam?

— Tak zawsze wyglądałaś, gdy musiałaś się pokazywać publicznie.

Lexi spojrzała z rozpaczą na niebo, jakby oczekiwała stamtąd jakiejś pomocy.

— Och, daj spokój — zachnęła się Clare. — Przecież nie wybierasz się na operację. Rozluźnij się, pomyśl o czymś zabawnym. Pamiętasz, jak Amber i Spring zorganizowały wieczór karaoke?

Lexi uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Potrząsnęła rękami, zrobiła kilka energicznych kroków w miejscu i pokręciła głową.

— W porządku. Teraz jestem już gotowa. Dzięki.

Stolik z biletami stał przed wejściem do sali koncertowej. Przedłużające się rozterki Lexi i kazania Clare sprawiły, że dotarły na miejsce w ostatniej chwili. Gdy kupiły już bilety od ładnej nastolatki za stołem, przekonały się, że sala jest prawie pełna. Zostało tylko kilka wolnych miejsc w pierwszym rzędzie albo na samym końcu. Gdy tylko weszły, wszyscy się na nie gapili.

Na myśl o tym, że będą przyglądali się jej jeszcze przez całą godzinę, Lexi dostała gęsiej skórki.

— Siadamy z tyłu — zdecydowała.

Gdy przechodziły do wolnych miejsc w ostatnim rzędzie, Lexi nie czuła się już jak flaming, lecz jak kura, którą obserwuje setka wygłodniałych lisów. Ludzie, odwracając się do nich, by przywitać Clare, nieruchomieli na widok Lexi. Głowy pochylały się ku sobie, przez salę przebiegały fale szeptów.

Patricia Moody, dyrygentka chóru, weszła na scenę i wygłosiła krótką zapowiedź. Publiczność ucichła. Zaczynał się koncert.

Program obejmował kilka utworów z operetek Gilberta i Sullivana, kilka znanych motywów z musicali oraz wybrane utwory Cole'a Portera. Lexi wodziła spojrzeniem po chórze, wypatrując znajomych twarzy. Potrzebowała trochę czasu, by jej umysł zaczął brać poprawkę na zmiany wywołane upływem czasu. Wiek, tusza, zmarszczki, siwe włosy i okulary odmieniły wygląd wielu starszych mieszkańców wyspy, ci zaś, którzy przed dziesięciu laty byli jeszcze dziećmi, zamienili się w dorosłych, poważnych ludzi. Niektórzy wydawali się zmęczeni i zrezygnowani. Lexi doskonale to rozumiała. Życie na wyspie było kosztowne i wymagające. Ludzie w jej wieku musieli pracować na dwa etaty, by związać koniec z końcem, wiele osób mieszkało z rodzicami, bo w czasie lata koszty wynajęcia były wręcz nieprzyzwoicie wysokie. Clare wciąż mieszkała z ojcem, a Lexi była pewna, że kiedy przyjaciółka wyjdzie za mąż, Jesse sprowadzi się do domu jej rodziców. Był to ładny, duży budynek, w którym z pewnością nie zabrakłoby im miejsca. W pierwszych rzędach widowni Lexi dostrzegła lalki Barbie.

Amber Young i Spring Macmillan nie były ze sobą spokrewnione, ale w szkole średniej zachowywały się jak papużki nierozłączki — zawsze razem, dwie zadowolone z siebie cheerleaderki, które nigdy nie przestawały żuć gumy i nigdy nie były szczególnie miłe dla Lexi, choć nie były też szczególnie podłe. Stwierdziła z zaskoczeniem, że sam ich widok sprawił jej ogromną przyjemność.

Stary Marvin Meriweather wciąż śpiewał w chórze. Wiek nieco nadwerżył jego głęboki baryton, który wibrował niczym głos galopującego słonia. Oczywiście Patricia Moody nigdy nie poprosiłaby go, aby odszedł z chóru. To byłoby zbyt okrutne, a zespół śpiewaczy z Nantucket zbierał się nie tylko po to, by śpiewać, ale również zacieśniać więzi międzyludzkie.

Caitlin, którą Lexi i Clare nazywały między sobą Królową Zdzir, nim jeszcze porzuciła Adama, by wyjść za Corby'ego Turnera, otworzyła teraz jasnoczerwone usta i wyśpiewała partię solową z tak okropnym fałszem, że Lexi poczuła przyjemny dreszcz złośliwej satysfakcji. Clare szturchnęła ją łokciem w żebra. Wymieniły spojrzenia i jednocześnie przygryzły wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Dzięki temu, że siedziały w ostatnim rzędzie, widziały podobne reakcje u innych słuchaczy. Stara Harsh Marsh w pierwszym rzędzie, wyjęła z torebki chustkę i głośno wysiąkała nos. Jediną osobą, która wydawała się zachwycona fałszywymi trelami Caitlin, była Patricia Moody, dumna matka skrzekliwej śpiewaczki.

Może jednak matka Caitlin wiedziała, co robi, bo po kolejnych dwóch piosenkach, wyśpiewanych przez cały chór, program się zakończył, a publiczność nagrodziła śpiewaków gromkimi brawami. Być może ich życie nie było udane pod wieloma innymi względami, ale przynajmniej nie robili z siebie głupków.

Gdy brawa ucichły, Patricia Moody powiedziała:

— Zapraszamy teraz na skromny poczęstunek.

Publiczność wstała z miejsc, by poprzeciągać zdrętwiałe kończyny, przywitać się ze znajomymi, stwierdzić wspólnie, że był to najlepszy ze wszystkich dotychczasowych koncertów, i dopytywać się nawzajem, czy to nie Lexi Laney—Hardin przyszła na koncert w towarzystwie Clare?

— Chodźmy stąd — szepnęła Lexi.

— Nie ma mowy. Musisz podnieść tę rękawicę, moja droga. Musisz przez to przejść. — Wypowiadając te słowa, Clara machała jednocześnie do znajomych, innych pozdrawiała skinieniem głowy.

Lexi pochwyciła ją za ramię.

— Patrz na mnie — syknęła. — Mów do mnie. Udawaj, że rozmawiamy o czymś szalenie

zajmującym.

Clare wzięła ją pod rękę.

— Dobra, chodźmy, napijemy się gorącego cydru. Zamknij usta, wyglądasz jak idiotka. Hmm, gorący cydr. A może czekoladki cydrowe? Nie na wiosnę ani lato, ale może na następną jesień? Popracuję nad tym pomysłem.

Wyluzuj trochę, Lexi. Przecież cię nie zamordują.

— Ale będą mnie lekceważyć. Albo obrażać.

— Więc przełknij to. Sama postanowiłaś tu wrócić. Uśmiechnij się albo cię uszczypnę.

Lexi wiedziała, że Clare to robi, przywołała więc na twarz szeroki uśmiech i zdołała jakoś nie potknąć się o własne nogi, gdy przyjaciółka prowadziła ją przez tłum do pokoju, w którym czekał poczęstunek. Wraz z innymi sięgały po kubki, serwetki i ciastka, a potem przeszły pod ścianę i udawały, że przyglądają się obrazowi przedstawiającemu przystań Nantucket w epoce wielorybnictwa.

— Mój Boże. — Głos, który tuż obok nich przeciął powietrze niczym sztylet, był im znany aż za dobrze — niczym stary koszmar. Powoli podeszła do nich Harsh Marsh, starsza i szczuplejsza, ubrana w fioletowo—brązowy sweter, który nosiła jeszcze chyba w czasie, gdy Lexi chodziła do drugiej klasy. — Przecież to Lexi Laney we własnej osobie. Co sprawiło, że zechciałaś zaszczyścić nasze skromne miasto swoją obecnością?

Lexi podniosła wyzywająco głowę. To było złudzenie, czy też w pokoju rzeczywiście zapadła nagle głucha cisza? Mina HM świadczyła jednoznacznie, że była nauczycielka Lexi znów próbuje wrócić do swoich starych sztuczek, zastraszać i osądzać. Lexi nie przypominała sobie, by ktokolwiek kiedykolwiek lubił HM. Do diabła, może powinny stworzyć we dwie jakiś klub.

Clare kopnęła Lexi w kostkę.

Lexi wzięła głęboki oddech.

— Przeprowadziłam się z powrotem na wyspę. Otwieram własny sklep z ubraniami. Jestem rozwiedziona, zaczynam życie od nowa i tu właśnie chcę je spędzić.

Przez salę przeleciała fala szeptów.

HM spojrzała na nią wyniośle.

— Wyspa się zmieniła.

Lexi odpowiedziała jej podobnym spojrzeniem.

— Ja też. Dziesięć lat zmienia każdego. Nadal pani uczy?

HM ściągnęła usta w ciup, co nie wróżyło nic dobrego.

— Podoba mi się pani kurtka — rozległ się nagle wysoki dziecięcy głosik. — Uważam, że jest bardzo miła dla oka.

Do Lexi podeszła dziewczynka. Miała może dziesięć lat i kręcone rude włosy, które okalały jej piegowatą wesołą twarzyczkę. Za szklami okularów w szylkreto—wych oprawkach lśniły przenikliwe niebieskie oczy. Dziewczynka ubrana była w bojówki i biały sweter.

— Dziękuję — odpowiedziała Lexi. — A mnie podobają się twoje okulary.

Dziewczynka rozpromieniła się w uśmiechu.

— Tworzą jaskrawy kontrast dla mojego imienia. Jewel. Moja mama uwielbiała jej muzykę, kiedy była ze mną w ciąży. Mogło być gorzej. Mogłam nazywać się Snoop Dogg.

Lexi parsknęła śmiechem, szczerze rozbawiona.

— Jak się nazywa twoja mama?

Jewel przewróciła oczami.

— Bonnie Frost. A tata Tristram Chandler.

— Hej, w średniej szkole znałam niejaką Bonnie Lott. A Tris Chandler przyjaźnił się z moim bratem. — Lexi uśmiechnęła się do wspomnień. — Był naprawdę przystojny.

Jewel skinęła głową.

— Wciąż jest przystojny. I wolny, gdyby była pani zainteresowana.

Zaskoczona i rozbawiona, Lexi odkaszlnęła głośno, by ukryć uśmiech.

— Moi rodzice się rozwiedli — wyjaśniła spokojnie Jewel. — Potem mama ponownie wyszła za męża. Mój ojczym nazywa się Ken Frost. Mają małego synka, nazwali go Franklin, Franklin Frost. W skrócie Frankie.

— Takie małe dziecko w domu to pewnie sama radość.

— Czasami. — Jewel wzruszyła obojętnie ramionami. — Jest trochę za bardzo czupurny. A pani nazywa się Lexi Laney? — spytała, zmieniając temat.

— Tak. — Lexi wyciągnęła rękę, by uścisnąć dłoń małej Jewel.

— Słyszałam o pani — oznajmiła dziewczynka tajemniczo.

— Moja córka zawraca wam głowę?

Bonnie Frost przepychała się przez tłum w stronę Lexi i Clare. Miała długie, kasztanowe loki, spięte grzebykami, w uszach wielkie diamentowe kolczyki. Troszkę przytyła po urodzeniu dziecka, a nieprzespane noce zostawiły pod jej oczami ciemne obwódki, lecz poza tym wyglądała naprawdę cudownie. W chuście, którą przepasała tułów, leżało niemowlę — zapewne czupurny Frankie.

— O, cześć Lexi, słyszałam, że wróciłaś.

Nim Lexi zdążyła jej odpowiedzieć, niemowlę wydało z siebie przeciągły, piskliwy wrzask. Bonnie westchnęła ciężko.

— Muszę iść, zanim ludzie mnie zabiją. Przepraszam za ten hałas — dodała, próbując przekrzyczeć zawroźnienie dziecka. — Miło znów cię zobaczyć, Lexi. Jewel, kochanie, idziemy.

Bonnie pochwyciła Jewel za rękę i wyprowadziła ją z sali. Mała rzuciła Lexi wymowne spojrzenia, jakby chciała powiedzieć „Sama widzisz, jak to jest”. Lexi pomachała jej na pożegnanie.

— Lexi Laney! — Patricia Moody, kierowniczka chóru, położyła dłonie na ramionach Lexi i pocałowała ją w policzek. — W zeszłym roku widziałam twoje zdjęcie w „Globe”. Byłaś na *Madame Butterfly*. Jak ci się podobało?

Powoli pustoszały talerze z ciastkami i kanapkami. Wolontariusz odniósł do kuchni ciężki termos bufetowy. Ludzie coraz częściej zerkali na zegarki lub pozwalali, by znudzone dzieciaki wyciągały ich na zewnątrz. W sali wciąż było jednak sporo osób, gdy wpadł do niej jakiś nastolatek, czerwony z wysiłku i podniecenia.

— Hej, morze wyrzuciło w zatoce Maine kawałki łodzi z Nantucket!

— Łodzi z Nantucket? — powtórzył drżącym głosem Marvin Meriweather. — W zeszłym tygodniu byłem w warsztacie szkutniczym Trisa Chandlera. Tylko pogadać, wiecie. Mówił, że w tym tygodniu płynie na północ, do klienta w Maine. Ciekaw jestem...

— Nonsens! — warknęła Patricia Moody. — Tris to doskonały marynarz. To nie mógł być on.

— Sama nie wiem... Wiosenne sztormy pojawiają się tak nagle. — Amber Young wydawała się szczerze zmartwiona.

— Nie wygłupiajmy się — rzuciła ostro Harsh Marsh. — Nie wiemy, czy to była łódź Trisa. Nie ma sensu martwić się na zapas.

Ludzie zaczęli się powoli rozchodzić, uspokajając siebie nawzajem. Clare i Lexi również

wyszły w zimne światło późnego popołudnia.

— Dobrze, że Jewel tego nie słyszała. — Clare westchnęła. — Bardzo przeżyła rozwód rodziców. Uwielbia swojego ojca.

— Wygląda na wyjątkowe dziecko. — Lexi skinęła głową. — Lubię ją.

— Pewnie. — Clare uśmiechnęła się szelmowsko i szturchnęła ją łokciem. — Umówi cię z twoją pierwszą szkolną miłością. A nie widziałaś jeszcze Trisa jako dorosłego mężczyzny. Naprawdę nieźle wygląda.

— Nie mam czasu na romantyczne fantazje — odparła Lexi z mocą. — Muszę prowadzić interesy.

SZESNAŚCIE

Clare włożyła tacę z czekoladkami do chłodziarki. Miała w domu dwie lodówki, jedną do zwykłego domowego użytku, a drugą tylko na czekoladki. Chciała czuć się tu na tyle swobodnie, by w każdej chwili móc zejść do kuchni i przystąpić do pracy, gdy tylko najdzie ją ochota. Czasami budziła się w środku nocy, myśląc o jakimś nowym rodzaju czekolady i nie mogła zasnąć, dopóki nie zesłała na dół i nie poeksperymentowała przez kilka godzin. Zwykle nową recepturę opracowywała w kuchni nad sklepem, tam miała więcej miejsca.

Zdjęła fartuch. Dochodziło południe, blask słońca wypełniał okna domu.

Otworzyła drzwi i wychyliła się na zewnątrz, wdychając świeże wiosenne powietrze. Postanowiła, że później popracuje nad truflą. Po długiej i szarej zimie słoneczny dzień i bezchmurne niebo stanowiły pokusę nie do odparcia. Może wybierze się na rower. Uśmiechnęła się na myśl o przejażdżce w wiosennym słońcu.

Ojciec siedział w salonie i wpatrywał się niewidząco — cym wzrokiem w telewizor. Choć dawno już minęła jedenasta, wciąż był w szlafroku i kapciach.

— Cześć tato. — Pocałowała go w czubek łysiejącej głowy. — Jak leci?

— Cześć, kochanie. — Poprawił się na krześle, jakby chciał jej udowodnić, że nie pograża się znowu w odrętwiającej rozpacz. — Jesse dziś wpadnie?

— Tak, przyjdzie wieczorem, na kolację. Właściwie to sam przyniesie kolację. Złowił jakieś ryby w Maine. — Pomyślała, że może uda mu się wyciągnąć ojca na spacer, mogłaby wtedy wyprać jego szlafrok i piżamę.

— Tato, a może byśmy się przeszli? Ładny dziś dzień.

Pokręcił głową.

— Nie sądzę, kochanie. Obejrzę ten program.

Telewizor był nastawiony na kanał sportowy, co Clare przyjęła z pewną ulgą — widziała już, że ojciec oglądał programy o biżuterii — ale rozmawiano w nim właśnie o kręglach. Na wyspie nikt nie grał w kręgle, bo nie było tu kręgielni.

— Tato...

. — Może później. — Ojciec machnął niecierpliwie ręką, jakby odganiał natrętną muchę.

— W porządku, jak chcesz. — Czasami miała wrażenie, że on po prostu chce być nieszczęśliwy. Często trudno jej było nie brać tych jego nastrojów do siebie. Nie mogła przywrócić życia jego żonie, ale ona, Clare, żyła, prawda? Nigdy nie byli ze sobą szczególnie blisko, mimo że Clare bardzo się starała to zmienić, więc on też mógłby się trochę wysilić. Pomyśleć o córce.

Zirytowana, włożyła wełnianą czapkę, ciepłą kamizelkę i skórzane rękawiczki. Jej rower stał w garażu. Wyprowadziła go na zewnątrz i ruszyła na przejażdżkę.

Mknąc po pustych uliczkach, rozmyślała o swoim życiu; doszła do wniosku, że ma za mało cierpliwości do ojca. Ostatnio patrzyła na życie z większym optymizmem i wiedziała nawet dlaczego, choć sama nie mogła w to uwierzyć. Lexi wróciła. Była fajna, jak przed dziesięciu laty, a prezentowała się co najmniej dwa razy lepiej. Kiedy weszły do sali koncertowej, Clare czuła taki sam dreszcz podniecenia jak w szkole średniej, gdy pokazywała się w towarzystwie olśniewającej Lexi. Zupełnie jakby kroczyła u boku żyrafy, niezwykle urzekającej żyrafy, która potrafiła komunikować się tylko z Clare.

Jak można wytłumaczyć, czym jest przyjaźń? To coś tak samo tajemniczego jak zakochanie. Życie wydawało się jaśniejsze, zabawniejsze, gdy Lexi znów była na wyspie. Clare nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy ubrania sprzedawane przez Lexi. Lubiła też, gdy udawało jej się naprawić coś, co wydawało się nie do naprawienia, szczególnie coś tak tajemniczego i nieuchwytnego jak przyjaźń. Dzięki temu od razu poprawiał się jej nastrój.

Nagle, gdy przejeżdżała obok podwórka, na którym jakiś mężczyzna rzucał frisbee swojemu labradorowi, Clare pomyślała: Wiem! Kupię tacie psa!

Dzięki nieustającym wysiłkom kwestarzy budynek fundacji MSPCA, zajmującej się opieką nad zwierzętami, rozrósł się i zamienił z chatki rodem z bajki o Jasiu i Małgosi w ogromny pałac z wielkim parkingiem i recepcją, która mogła śmiało rywalizować z pokładem serialowego statku kosmicznego Enterprise. Clare była tu tylko kilka razy. Ojciec zawsze chciał mieć kota albo psa, ale matka miała uczulenie na sierść zwierząt, Clare przychodziła tu więc tylko > z przyjaciółkami, które przynosiły swoich ulubieńców do weterynarza. Zastanawiała się, czy Lexi widziała już nowy budynek fundacji. Żałowała, że nie zadzwoniła wcześniej i nie zabrała jej ze sobą.

Chwileczkę, przecież jej brat kierował tutejszą lecznicą; pewnie już ją tu kiedyś zaprosił.

Ucieszyła się na widok znajomej twarzy. Helen Coffin, przyjaciółka jej matki, siedziała za wysokim, półokrągłym kontuarem i pisała coś na komputerze. Była ubrana w kwiecisty kostium, na który narzuciła niebieski fartuch laboratoryjny z imieniem „Helen” wyhaftowanym na kieszeni.

— Clare! Co cię tu sprowadza?

— Chciałam zaadoptować psa dla mojego taty.

— Świetny pomysł! Właściwie adopcjami zajmuje się Jenny, która wyjechała na trzy tygodnie na Jamajkę, ale mamy tu kilka uroczych zwierzątek. Poczekaj, tylko skończę i zaprowadzę cię do nich. Paula została w domu, dopadło ją to samo przeziębienie co wszystkich, ale na szczęście mamy dziś mały ruch.

Kliknęła w jakąś ikonkę na ekranie, odsunęła krzesło do tyłu i zdjęła okulary, które opadły na jej imponujący biust i kołysały się tam lekko, zawieszony na sznurku wielobarwnych koralików.

— Podobają mi się pani korale — powiedziała Clare, kiedy Helen prowadziła ją przez lśniące białe korytarze do sali, w której znajdowały się zwierzęta przeznaczone do adopcji.

— A dziękuję, mnie też się podobają. Mówię ci, o tej porze roku jestem już taka umęczona tą szarością i ciemnością, że wkładam na siebie tyle kolorów, ile tylko mogę. Orvis się cieszy, że jeszcze nie pofarbowałam włosów na czerwono.

Śmiejąc się przez ramię, Helen otworzyła drzwi jasnego pokoju, pełnego czystych, obszernych cel, w których spały psy. Gdy tylko obie weszły do środka, zwierzęta podbiegły do drzwi klatek, machały ogonami, szczekając głośno.

— Och, biedactwa! Szkoda, że nie mogę zabrać wszystkich. — Clare przechodziła od

klatki do klatki; uśmiechała się do psów i rozmawiała z nimi czule. Gdy zostawiała jedno zwierzę i podchodziła do następnego, czuła się jak podła zdrajczyni. Po chwili wszystkie psy biegały jak oszalałe wokół klatek, szczerkały, merdały ogonami i spoglądały z nadzieją na Clare.

— To jest moja ulubienica. — Helen otworzyła drzwi i wyjęła z klatki mały kłębek białej sierści. — Nie ma żadnych dokumentów, ale jestem pewna, że to shih tzu. Och, jakaś ty słodka — pisnęła Helen, gdy piesek polizał ją po twarzy.

— Clare. — Do sali wszedł brat Lexi w białym fartuchu. — Wydawało mi się, że widziałem ciebie przed budynkiem.

— Adam! — Czuła, że się czerwieni, gdy Adam zbliżył się do niej. Był wysoki i barczysty, wciąż szalenie przystojny, a przy tym znacznie dojrzalszy — teraz był prawdziwym mężczyzną. Nie mogła przestać uśmiechać się do niego. — Widziałam w gazecie artykuł o tobie. Witaj w domu.

— Dziękuję. Cieszę się, że wróciłem. Bardzo tęskniłem za wyspą.

Uśmiechnął się do Clare, jakby samo patrzenie na nią sprawiało mu przyjemność. Nagle powróciła do niej cała fala wspomnień z dzieciństwa.

Starła się zachować spokój, choć nie przychodziło to łatwo.

— Chciałabym подарować tacie psa.

— Myślę, że to maleństwo będzie w sam raz. — Helen podniosła pieska i musnęła nosem jego białą sierść.

— Wydaje mi się, że to ty ją chcesz, Helen. — Adam uśmiechnął się do Clare. — Moim zdaniem twój ojciec bardziej się ucieszy z większego psa.

Clare zatrzymała się przy ostatniej klatce, w której siedział średniej wielkości, czarno—biały kundel długiej sierści, niebieskich ślepiach i nierównych uszach. Suczka przekrzywiła głowę i przyglądała się Clare z uwagą.

— Ta wygląda na bardzo miłą.

Adam zatrzymał się obok Clare.

— I jest bardzo miła. Dopiero ją przywieziono. Chcesz się z nią zapoznać?

— Hm... dobrze.

— Och, jesteś prześliczna, ale ja mam już pieska. — Helen z ociąganiem odłożyła do klatki maleńką shih tzu. — Chyba słyszałam dzwonek telefonu. Muszę wracać do recepcji. Miło było cię zobaczyć, Clare.

Adam otworzył drzwi klatki, lecz pies wcale nie rzucił się do wyjścia.

Siedział nieruchomo, wpatrywał się w Adama i drżał na całym ciele. Inne psy ujadły i wyły z zazdrości.

— Cześć mała. — Adam wszedł do klatki. Przykucnął i wyciągnął rękę do suczki, pozwalając, by obwąchała jego dłoń. — Grzeczna dziewczynka.

— Łagodnie pogłaskał psa po głowie i grzbiecie. — Chodź, przywitaj się z nią — powiedział do Clare.

Gdy Clare przykucnęła obok psa, czuła się tak, jakby miało jej pęknąć serce.

— Nigdy nie mieliśmy w domu zwierzęcia. Mama była uczulona na sierść. —

Wyciągnęła rękę do psa. Suczka obwąchała ją ostrożnie, spojrzała na nią dziwnymi, niebieskimi ślepiami, potem polizała delikatnie jej dłoń.

Znów podniosła wzrok na jej twarz, jakby szukała aprobaty. Clare zmieniła pozycję i usiadła na podłodze. — Och, jesteś taka ładna... — Spojrzała bezradnie na Adama, który rozsiadł się już wcześniej na podłodze i oparł plecami o ścianę. — Chcę psa dla mojego taty, a nie dla siebie. — Mimo to znów pogłaskała psa po grzbiecie. — Ma sierść delikatną jak jedwab.

— Moglibyście się jakoś podzielić z tatą obowiązkami — zasugerował cicho Adam. Psy powoli się uspokajały, niektóre znów układały się do snu.

— Sama nie wiem... — Nie mogła przestać głaskać psa, który zrobił kilka ostrożnych kroków w jej stronę, wciąż obserwując uważnie jej twarz.

— Kundelki to miłe zwierzaki — powiedział Adam. Objął ramionami kolana, odsłaniając stopy obute w skórzane mokasyny. Clare zauważyła, że ma skarpetki nie do pary. — Nie są takie nerwowe jak psy rasowe.

— Ile ona ma lat? — Clare podrapała psa za uszami. Jedno z nich sterczało sztywno do góry, drugie opadało na ślepie suczki. — Co ty robisz z tymi uszami? — spytała z uśmiechem. — To jakaś sprytna sztuczka, tak?

W odpowiedzi psiak przysunął się jeszcze bliżej. Przestał drżeć, ale wciąż spoglądał niepewnie na Clare.

— Ona ma nie więcej niż osiem miesięcy. Dostała już wszystkie zastrzyki, jest odrobaczona, wysterylizowana i zdrowa.

— Myślisz, że spodoba się mojemu tacie?

— Nie jest taka maleńka, żeby wstydził się zabrać ją na spacer, ani taka duża, żeby nie mógł sobie z nią poradzić, a do tego, jak sama widzisz, wydaje się bardzo przyjazna, więc myślę, że spodobałaby się twojemu tacie.

Być może powinnaś go tu najpierw przyprowadzić, żeby obejrzał sobie wszystkie pieski.

Zwierzak wpatrywał się w twarz Clare z takim przejęciem, jakby od jej uśmiechu zależało jego życie.

— A niech to... — Clare westchnęła. — Chyba się zakochałam.

Suczka pomachała kosmatym ogonem, jakby zrozumiała jej słowa, po czym ostrożnie weszła jej na kolana, okręciła się dwukrotnie w miejscu i ułożyła wygodnie.

Clare spojrzała na Adama. Też był atrakcyjny, jak Lexi, lecz jego włosy ściemniały i w odróżnieniu od siostry nabrał trochę ciała. Nie był wcale gruby, ale... dobrze zbudowany. Wydawał się silny, a zarazem łagodny, ona zaś czuła się wyjątkowo dobrze w jego obecności.

Nagle ogarnęła ją ogromna ochota, by pochylić się do przodu i go pocałować.

Adam znów spojrzał na nią, tym razem bez cienia uśmiechu. Był bardzo poważny, tak poważny, że Clare przeszedł dreszcz. A gdyby tak pochyliła się teraz do przodu i pocałowała go? Gdyby wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni?

W tym momencie otworzyły się drzwi. Helen wsunęła głowę do środka i zawołała:

— Doktorze Laney, przyszedł pacjent na jedenastą trzydzieści.

Adam oderwał wzrok od Clare.

— Słusznie. Dziękuję, Helen. — Odwrócił się z powrotem do swojego gościa. — I co myślisz?

Clare ledwie oddychała z przejęcia.

— O czym?

Adam wyciągnął rękę w jej stronę, a ciało Clare wypełniło się nagle dojmującym, trudnym do opanowania pożądaniem. Miała wrażenie, że buzujące w niej napięcie lada moment podniesie jej włosy na głowie. Adam powoli pogłaskał po głowie psa, który wydał z siebie cichutkie, radosne piśnięcie. Jakimś cudem weterynarzowi udało się nie dotknąć przy tym nóg ani tułowia Clare, lecz bliskość jego dłoni zapierała jej dech w piersiach.

— O psie — odparł Adam. — Chcesz przyprowadzić tu ojca, żeby go zobaczył?

— Nie. Zabiorę ją. — Poklepała suczkę po zadzie, w bezpiecznej odległości dwudziestu

centymetrów od dłoni Adama. Gdy to robiła, światło odbiło się jej w pierścionku zaręczynowym. Adam wstał z podłogi.

— Helen pomoże ci wypełnić dokumenty. Muszę już iść do pacjenta.

Dokonałaś dobrego wyboru, Clare. To naprawdę bardzo miły pies. — Opuścił klatkę, przeszedł przez salę i zatrzymał się przy drzwiach. — Daj mi znać, jak sobie radzisz — rzucił przez ramię.

Podsuwał jej pretekst, żeby się z nim skontaktowała!

— Na pewno — obiecała.

—I pozdrów ode mnie Jessego — dorzucił Adam, po czym wyszedł z sali.

SIEDEMNAŚCIE

W maju wyspa powoli budziła się z zimowego snu. Słońce świeciło jaśniej, odbijało się w falach morza, które również przybierało jaśniejszą, błękitną barwę. Powietrze było łagodniejsze, zachęcało do wyjścia na dwór, do opuszczenia mrocznych schronień. Ludzie podwiązywali zasłony, myli okna, zmiotli werandy, zrzucając z nich ostatnie igły pozostałe po bożonarodzeniowych wieńcach, wieszali na drzwiach koszyki ze sztucznymi kwiatami. W mieście sklepikarze wystawiali na okna doniczki z prawdziwymi bratkami, żonkilami i krokusami, a po ulicach krążyły zmiotarki, które ściągały piasek używany w czasie zimy do posypywania oblodzonych nawierzchni, i pozostawiały za sobą czysty lśniący bruk.

Był to początek wspaniałej zabawy, jaką na Nantucket jest lato. Właściciele dacz przyjeżdżają na wyspę, by otworzyć i przewietrzyć swoje domy.

Pozostali turyści zatrzymują się w pensjonatach i hotelach, spacerują po plaży i marzą o tym, co mogliby zrobić ze swoim życiem. Rodzice Lexi zawsze z radością witali swoich stałych letnich klientów, którzy wpadali do sklepu po najnowsze plotki — Myrna i Fred czuli się wtedy niemal tak, jakby ich bliscy wrócili do domu z dalekiej podróży. Całą wyspę ogarniało podniecenie wywołane tym, że coś — wszystko — zaczynało się na nowo.

Ten nastrój udzielił się także Lexi, wzruszał ją idyllicznością i dodawał nadziei, szczególnie dlatego, że wróciła do domu. Bo to naprawdę był jej dom. Każdego dnia spotykała się z oznakami akceptacji ze strony wyspiarzy. Z pocztowego okienka uśmiechnęła się do niej Martha Smith, która w szkole średniej chodziła z Adamem. W supermarkecie parę osób o znajomych twarzach przywitało ją uśmiechami i skinieniem głowy, a Fred Carney, który kierował teraz działem mięsnym, zatrzymał ją nawet na moment i powiedział, że gdyby potrzebowała kiedyś jakiegoś kawałka, chętnie pomoże jej coś wybrać. W aptece przy Main Street spotkała Watsona Lomaxa — jako nastolatek przejawiał żywe zainteresowanie różnymi środkami farmakologicznymi, zwłaszcza o działaniu odurzającym, a potem, co wydało się Lexi szalenie zabawne, został farmaceutą. Również był dla niej bardzo miły i pomógł wybrać środek antyalergiczny. Patricia Moody zadzwoniła do niej z pytaniem, czy nie zechciałaby dołączyć do chóru. Lexi podziękowała jej pięknie, ale odmówiła, nie umiała czysto śpiewać.

Niemal codziennie kurier dowoził pudełka i paczki. Wszystkie ubrania, szczególnie opakowane w folię, trafiały na piętro, gdzie czekały na dzień, aż Lexi je wyprasuje i rozwiesi. Półki obłożone były grubą warstwą folii bąbelkowej, lustra w kartonowych pudełkach stały oparte o ścianę. Dotarły również szklane gabloty na biżuterię i akcesoria. Kazała je ustawić na środku sali sklepowej i przykryć plastikową płachtą. Ściany wyglądały dokładnie tak, jak sobie

wymarzyła — pomalowała je własnoręcznie i wyszło nadzwyczaj udanie. Miała dobry pomysł, to prawda, i zmysł artystyczny, ale efekt przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Kazała zakleić frontowe okna szarym papierem, by nikt nie zobaczył wnętrza sklepu, nim będzie gotowe — a nie mogło być gotowe bez przebieralni.

Jesse nie przyszedł jej pomóc. Clare obiecała, że to zrobi, lecz do tej pory się nie pojawił. Właściwie Lexi nie była tym zaskoczona. Dlaczego miałby wyświadczać jej jakieś przysługi?

Sięgnęła do książki telefonicznej i dzwoniła do innych stolarzy, lecz odpowiadały automatyczne sekretarki. W maju na wyspie było wyjątkowo dużo pracy, dobrze o tym wiedziała. Dozorcy zdejmowali okiennice z budynków i naprawiali wszystkie szkody wyrządzone przez zimę. W sąsiednim lokalu Clare i Marlene od rana do nocy przygotowywały i pakowały czekoladki. Clare była zbyt zajęta, by spędzać czas z Lexi — ona również byłaby zajęta, gdyby tylko miała choć ze dwie przebieralnie! Ale nie miała ani jednej!

Co jeszcze mogła zrobić? Oparła dłonie na biodrach i rozejrzała się dokoła. Pod ścianą stało kilka fotografii powiększonych do wymiarów metr na półtora i zamkniętych w ozdobnych ramach. Wszystkie zdjęcia przedstawiały wysoką, szczupłą blondynkę spacerującą po plaży. Były to fotografie z jej podróży, lecz to nie ona miała być ich bohaterką. Chciała raczej, by stwarzały romantyczną, baśniową atmosferę, jaka kojarzy się ze spacerami brzegiem morza. Chciała, żeby były hipnotyzujące, egzotyczne i tajemnicze. Długo, zastanawiała się, zanim wybrała sześć idealnych zdjęć, na których stała odwrócona plecami do aparatu, potem kazała je wykadrować tak, by jej sylwetka znajdowała się z boku, w cieniu albo w oddali.

Nie mogła zawiesić ich sama, były zbyt ciężkie. Musiała poprosić o pomoc rodziców. W zeszłą niedzielę zaprosili ją na kolację, a Lexi miała wrażenie, że dzielący lód powoli topnieje. Myrna była naprawdę ciekawa towaru, jaki zamierzała sprzedawać córka, a Fred zaofiarował pomoc przy pracach wymagających siły fizycznej.

Właśnie otwierała klapkę telefonu komórkowego, gdy ktoś zapukał. Podeszła do wejścia i uchyliła drzwi.

—Jesse!

Na jego widok aż zaparło jej dech w piersiach.

— Clare mówiła, że potrzebujesz pomocy.

Miał na sobie ubranie robocze — dżinsy i niebieską koszulę. Długie blond włosy ściągnął w kucyk, a w jego uchu lśnił złoty kolczyk. Był szczupły i wysportowany, zdążył się już opalić w wiosennym słońcu, jego brwi i rzęsy były niemal białe. Uważała go za najbardziej wyłuzowanego chłopca, jakiego znała; zawsze uśmiechnięty i spokojny wyglądał, jakby miał ochotę pogwizdać pod nosem jakąś wesołą melodię.

Lecz w tym momencie było w nim coś, co przyprawiło ją o szybsze bicie serca. Miała wrażenie, że całe jej ciało nagle się budzi — była niespokojna i podniecona jednocześnie, niczym ptak wydobywający się z jajka.

Czyste szaleństwo. Lexi oderwała od niego spojrzenie — tak, to pomogło jej nieco się opanować — ogarnęła gestem całe pomieszczenie i zaczęła paplać.

— Och tak, Jesse, Bogu dzięki, że przyszedłeś, ogromnie się cieszę!

Wejdz!

Wszedł do środka i rozejrzał się dokoła, a Lexi nie mogła się już dłużej powstrzymać — spozjrzała na niego. Wydawało się, że jej wzrok podziałał na niego niczym rozpalone żelazo, bo na jego szyi pojawił się rumieniec.

Lexi chciała zachowywać się naturalnie. Co zrobiłaby, gdyby zamiast Jessego stał tu ktoś

inny? Chyba nie było nic dziwnego w tym, że przygląda się komuś, kogo nie widziała od lat.

— W ogóle się nie zmieniłeś — stwierdziła szczerze.

— A ty owszem. — Zerknął na nią z ukosa. — Jesteś szczuplejsza i chyba wyższa.

— Au! — roześmiała się, bo taki właśnie był Jesse; nigdy nie życzył nikomu źle. —

Myślę, że przede wszystkim jestem mądrzejsza. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Znów zerknął na nią ukradkiem. Ich spojrzenia się spotkały i na moment połączyło ich jakieś dziwne uczucie, jakby oboje przeniknął impuls elektryczny. Jesse przeszedł szybko na drugi koniec pokoju, a Lexi pozostała na miejscu, roztrzęsiona. Co to było? — pomyślała z przestraczeniem.

— Więc czego właściwie potrzebujesz? — spytał Jesse nienaturalnie chrapliwym głosem i jeszcze mocniej się zaczerwienił.

O cholera... jęknęła w duchu Lexi. Wiedziała, że i ona się rumieni. Gdy przemówiła, z jej ust wydobył się niepewny, przytłumiony pisk:

— Dwie kabiny. — Odchrząknęła głośno. — Dwie przebieralnie. Pomyślałam, że mogą być tutaj, z tyłu. Mniej więcej dwa metry szerokości i głębokości, na ścianach trzeba powiesić dwa duże lustra. Narysowałam, jak to ma mniej więcej wyglądać. — Pochyliła się nad gablotą, w której trzymała różne dokumenty, i wyjęła rysunki.

Jesse podszedł do niej. Podniósł kartki. Na prawym nadgarstku nosił srebrną bransoletkę z turkusowym kamieniem. Jakież to do niego podobne.

Kamień dopasowany był kolorem do jego oczu. Na jednym knykciu miał świeżą ranę, a na prawej dłoni długą bliznę. Skóra na jego dłoniach i palcach stwardniała od ciężkiej pracy i gry na gitarze. Czy to znaczyło, że nie był wrażliwy na dotyk?

— ...jakiego drewna? — Jesse pytał o coś, i to ją otrzeźwiło. Myślała zupełnie o czymś innym.

Przełknęła ciężko.

— Nieważne, może być sklejka. I tak to pomaluję.

Dobry Boże, w średniej szkole wszystkie dziewczyny wzdychały do Jessego, lecz ona jedna pozostała nieczuła na jego wdzięki, być może dlatego, że koncentrowała się wówczas na tym, by nie potknąć się o swoje długie stopy. Ale teraz... Teraz czuła się jak tratwa na skraju potężnego wiru.

Niedobrze.

Oderwała się od gabloty i przeszła do miejsca, w którym miały stanąć kabiny.

— Pomyślałam też, że zamiast drzwi zrobiłabym zasłony na drążkach.

Drzwi są bardziej eleganckie, ale potrzebowałbyś więcej czasu, żeby je zamontować, a ja chcę jak najszybciej otworzyć sklep.

Odłożył rysunki i wyrównał je starannie.

— Więc dogadaj się z jakimś innym cieślą. Jestem w zespole Steve'a Sergeanta i tak czy inaczej mam mnóstwo pracy.

— Och, Jesse, próbowałam już zatrudnić kogoś innego. — No tak, świetnie, pomyślała. Teraz go jeszcze obraż. Poczula się jeszcze bardziej zawstydzona. — Nie chodzi o to, że ciebie nie chcę, wręcz przeciwnie naprawdę ciebie chcę! — Teraz była już czerwona jak piwonia. — Widzisz, Clare, Clare... — Tak, Clare była w tej sytuacji jej kołem ratunkowym. — Clare powiedziała, że zapyta ciebie, czekałam, ale ty nie przychodziłeś, więc pomyślałam, że spróbuję namówić kogoś innego, ale naprawdę nie mogłam. — Spojrzała bezradnie na Jessego. Policzki piekły ją żywym ogniem. Sam jego widok sprawiał, że coś dziwnego działo się w jej brzuchu.

— Uważaj — powiedział Jesse niskim głosem.

—Co?

— Zaraz przewrócisz puszkę z farbą.

Złapała się za głowę.

— O Boże, prawdziwy ze mnie bocian!

Przystanął, zaintrygowany fotografią opartą o ścianę.

— Ładne zdjęcie. To ty?

Zebrała w popłochu myśli.

— Tak, ja. A ten sarong, który mam na sobie, sama zaprojektowałam.

Lecz Jesse patrzył na plażę.

— Co to za miejsce?

—Bali.

— Naprawdę? Jak tam jest?

— Och, niesamowicie, Jesse. Magicznie, naprawdę. Kiedy tam jesteś, ogarnia cię błogi spokój, wszystko łączy się ze sobą w jedno, zwierzęta, ludzie, drzewa, piasek. Prawdziwy raj.

— Mogę zobaczyć inne?

—Jasne.

Przeglądała się, Jessemu, kiedy przyklęknął, by obejrzeć zdjęcia. Ten facet był naprawdę zabójczo przystojny. Dziesięć lat przydało mu powagi i muskulatury. Wyglądał doroślejsz.

Potężniej. Wymierzyła sobie w myślach potężny policzek i skupiła się na zdjęciach.

— To Maui. To Nicea. Rio, oczywiście.

Wpatrywał się w zdjęcia z takim przejęciem, jakby chciał natychmiast przenieść się do przedstawionego na nich świata. Doskonale go rozumiała. Kilkanaście lat wcześniej też marzyła jedynie o tym, by podróżować, by zostawić to dobrze jej znane miejsce i oglądać świat, ogromny, romantyczny, tajemniczy świat.

— Uwielbiałam podróżować — powiedziała cicho. — To niesamowite, jak nowe miejsca potrafią otworzyć perspektywy ukryte w nas samych, horyzonty, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia.

— Tak. — Jesse skinął głową. — Byłem parę razy na Karaibach. Ale chciałbym pojechać do Rio. Na Maui też, kiedyś. Do Nicei niekoniecznie, wydaje mi się, że to miejsce dla snobów.

— Więc jedź.

Parsknął tylko.

— O, daj spokój, Jesse, cieśle na tej wyspie całkiem nieźle zarabiają. Od czasu do czasu mógłbyś sobie pozwolić na jakąś fajną wycieczkę.

Powoli, bardzo delikatnie odstawił zdjęcie Maui na miejsce.

— Tak, pewnie masz rację. Ale odkładam pieniądze na dom.

— Będiesz przecież miał dom Clare, prawda?

Podniósł się z klęczek.

— Dom ojca Clare. Nie mogę przez całe życie mieszkać w czyimś domu.

— Rozumiem. — Lexi skinęła głową, lecz Jesse szedł już do drzwi, odwrócony do niej plecami.

Nagle przystanął i obrócił się w miejscu.

— Posłuchaj — przemówił spokojnym, lecz oschłym tonem. — Zrobię ci te przymierzalnie. Będę musiał zajmować się tym wieczorami. To nie potrwa długo.

— Och, Jesse! Dziękuję ci! — Kierowana impulsem, ruszyła w jego stronę, zatrzymała się jednak po kilku krokach, jak sparaliżowana. Czuła się niczym podrostek w obecności gwiazdy rocka. Nie wiedziała, co ma zrobić z rękami, więc skrzyżowała je na piersiach.

— Nie dziękuj mnie — odparł Jesse chrapliwie. — Dziękuj Clare. Robię to dlatego, że mnie poprosiła.

— Tak, oczywiście, wiem o tym — paplała Lexi.

Obdarzył ją spojrzeniem pełnym... Sama nie wiedziała czego. Czy to była odraza? Wydawał się niezwykle poważny, zupełnie jak nie on.

— Przyjdę jutro koło wpół do szóstej — oznajmił, po czym wyszedł, nie oglądając się za siebie.

— Cóż — stwierdziła Lexi głośno, gdy już została sama. — Poszło całkiem nieźle.

OSIEMNAŚCIE

Clare była w kuchni, pochłonięta przygotowywaniem skomplikowanej potrawy złożonej z makaronu i owoców morza. Siekała, gotowała, obierała i mieszała, przy każdym ruchu omijając zrećnie Ralph, która kręciła się jej pod nogami w nadziei, że na ziemię spadnie jakiś smaczny kąsek.

— Tato? — zawołała Clare. — Tato, mógłbyś zabrać Ralph na spacer?

Żadnej odpowiedzi. Zdjęła patelnię z palnika, wytarła ręce w fartuch i przeszła do pokoju. Ojciec siedział w piżamie i wpatrywał się w jakąś starą gazetę.

— Tato? Ziemia do taty.

Podniósł na nią wzrok zamglony wspomnieniami.

— Tato, gotuję kolację, Jesse przyjdzie lada chwila. Chciałabym, żebyś wyprowadził Ralph na spacer.

Skinął głową.

— Rozumiem. — Odłożył gazetę na stół i podniósł się z krzesła. — Rozumiem, dobrze. Jak długo mam z nią chodzić?

Westchnęła ciężko. Jak dotąd adopcja psa nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Ojciec lubił psa, ale w dość pasywny sposób. Nie postrzegał go jeszcze jako stworzenia, które ma określone potrzeby. Clare namówiła go, by nadał suczce imię. Ojciec wpatrywał się przez chwilę w przyjaznego kundla, który siedział na podłodze i merdał ogonem, gotowy do zabawy, po czym powiedział:

— Ralph.

— To suczka, tato.

— Aha. Więc może Ralphie. Albo ty ją nazwij.

Nic nie rozumiał.

— Och, Ralph to bardzo ładne imię, tato. Przypomina trochę szczekanie psa, no wiesz taki dźwięk: ralf, ralf!

Wydawało jej się to dosyć zabawne i rzeczywiście, tato nawet uśmiechnął się lekko. A potem pochylił się, by pogłaskać psa, który aż drżał z radości.

Teraz Clare wyszła do przedpokoju, jakby chciała dać dobry przykład ojcu.

— Wystarczy, że przejdziesz z nią parę przecznic.. Włóż po prostu płaszcz na piżamę, może nikt nie zauważy. A tutaj masz smycz. — Zdjęła smycz z wieszaka, wpięła ją w obrożę Ralph, a potem wyjęła z szuflady foliowy woreczek. — Tutaj masz torebkę, jakby zrobiła kupę. Pamiętasz, jak to się robi? Nakładasz torebkę na dłoń, jak rękawiczkę, zbierasz kupę, potem ściągasz brzegi torebki, wiążesz ją i gotowe!

Ojciec posłusznie włożył płaszcz i wysłuchał wszystkich pouczeń. Potem wyszedł z psem

prosto w wiosenny wieczór. Dochodziła już ósma, trochę późno jak na kolację, ale Jesse pracował u Lexi i mówił, że przyjdzie później. Ojca niewiele obchodziło, kiedy je i czy w ogóle je. Clare stała przez chwilę w otwartych drzwiach, sycąc się świeżym powietrzem, uśmiechnęła się pod nosem. W porządku, może nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ojciec nie zeskoczył z sofy i nie tańczył z psem w ramionach, ale wyszedł z domu, spacerował i czekał cierpliwie, aż Ralph obwącha wszystkie krzaczki i płoty. W porównaniu z ostatnimi miesiącami był to olbrzymi postęp.

Szedł naprawdę bardzo powoli. Clare pomyślała, że jeśli w tym tempie zamierza przejść kilka przecznic, zjedzą kolację o północy.

Była zmęczona. Przez kilka ostatnich dni wstawała bardzo wcześnie, ubierała się i wychodziła z domu bez śniadania czy chociaż porannej kawy, by jak najszybciej znaleźć się w sklepie. Marlene przychodziła o dziewiątej i pracowała wytrwale, zawsze jednak musiała wyjść o piątej, by przygotować posiłek dla swojej rodziny. Clare nie miała czasu, by się tym zajmować. Jesse i ojciec zawsze zadowalali się pizzą, dziś jednak chciała — być może nawet nieświadomie — wynagrodzić Jessemu, że zgodził się pomóc Lexi. To znaczyło, że musiał przepracować dodatkowo kilka godzin dziennie, a na dodatek spóźniał się na mecz Red Sox. Potrzebował jednak tylko kilka dni, by wykonać tę pracę, to nie był duży projekt. Właściwie Clare nie rozumiała, dlaczego Jesse odnosi się do tego z taką niechęcią.

Gdy wróciła do kuchni, zobaczyła, że woda w garnku z makaronem prawie całkiem się wygotowała. Napełniła garnek i przykręciła gaz. Potem nalała sobie do kieliszka czerwonego wina, wyszła na tylną werandę, usiadła na schodku i oparła się plecami o balustradę.

Kręta kamienista ścieżka prowadziła do garażu przerobionego na pracownię matki. Teraz w budynku było ciemno. Po śmierci Ellen Clare i ojciec oddali wszystkie materiały i przyrządy malarskie — sztalugi, pędzle, różnego rodzaju farby, stoły — miejscowej szkole. Teraz budynek z wielkimi oknami wychodzącymi na północ i z lakierowaną dębową podłogą stał całkiem pusty. Może powinni go przerobić na niewielkie mieszkanie. Pieniądze z czynszu na pewno by się przydały, szczególnie teraz, gdy ojciec przeszedł na emeryturę. Mógłby też przenieść się tam po ich ślubie, gdy urodzi im się dziecko. Oczywiście nie chciała wyganiać ojca z jego własnego domu, ale rodzice zawsze mówili Clare, że oddadzą jej dom, kiedy będzie starsza. Odkąd skończyła dwadzieścia lat co jakiś czas wynajmowała sobie małe mieszkanie w innej części miasta. Uwielbiała tę odrobinę wolności, swobodę w urządzaniu wnętrza według własnego widzimisię. Jednak gdy zachorowała matka, wprowadziła się z powrotem do domu, by się nią opiekować, a teraz, po jej śmierci, musiała opiekować się ojcem. To, że wciąż mieszkała w domu rodziców, nie było czymś dziwnym lub wyjątkowym. Niewielu ludzi w jej wieku mogło sobie pozwolić na kupno domu na wyspie. Mimo to czuła się jak ślimak, który rozrósł się za bardzo w stosunku do swojej skorupy. Chciała się wyprowadzić, przenieść. Albo zostać, ale dokonać zmian zgodnych z jej gustami i pragnieniami. Dom stał się ponury i zakurzony, nie mogła jednak niczego w nim zmienić, dopóki ojciec wciąż oplakiwał śmierć jej matki.

Cóż, mogła przynajmniej uporządkować grządki z kwiatami, przyciąć żywopłot i wynieść na zewnątrz meble ogrodowe. Chętnie wybrałaby się na Cape Cod, żeby kupić nowe poduszki na krzesła ogrodowe z wikliny. Marzyły jej się grube, miękkie poduszki w pastelowych kolorach... Ostatnio często nachodziły ją myśli związane z urządzeniem domu. Nie mogli pobrać się z Jessem w lecie, bo oboje mieli mnóstwo pracy. Gdyby jednak urządzili ślub jesienią, na wiosnę mogłaby już mieć dziecko...

Trzasnęły frontowe drzwi. Usłyszała czyjeś głosy. Jesse i ojciec wrócili.

Ona też wróciła do kuchni, podkręciła gaz pod garnkiem z makaronem i nalała oliwy na patelnię. Ralph przeszła tanecznym krokiem przez drzwi i spojrzała na nią nieśmiało, pełnymi

nadziei ślepiami. Pochyliła się, by pogłaskać psa i podrapać go za uszami.

— Cześć, kochanie.

— Mam nadzieję, Clare, że umyjesz ręce, zanim dotkniesz jedzenia.

W drzwiach kuchni stał Jesse. Miał wióry we włosach. Wyglądał jak zwykle seksownie, ale wydawał się też zmęczony i marudny.

Clare skrzywiła się mimowolnie.

— Ja też się cieszę, że cię widzę, słoneczko. Od kiedy to tak się boisz psich zarazków? Nie odpowiadaj. Usiądź. Napij się wina. — Posłusznie umyła ręce, nałala wina i podała Jessemu kieliszek. — Gdzie tata?

— Poszedł chyba do salonu. — Jesse opadł ciężko na krzesło i położył stopy na drugim krześle. — Jestem padnięty.

Clare zaczęła mieszać warzywa, przegrzebki i świeże mięso tuńczyka, które wyłożyła wcześniej na patelnię.

— Zaraz poczujesz się lepiej. Gotuję coś naprawdę pysznego. — Zerknęła na niego przez ramię. — Jak idzie robota?

— Jutro powinienem skończyć.

— Więc to nie było takie straszne.

Prychnął tylko.

Clare mieszała makaron, zastanawiając się, co gryzie Jessego. Zwykle był przemiłym człowiekiem, cierpliwym, uczynnym, życzliwym i pogodnym. Może to tylko kwestia zmęczenia, przepracowania i napięcia, które odczuwał każdy obywatel Nantucket, gdy po zimie populacja wyspy rozrastała się z dziewięciu tysięcy do dwudziestu, potem trzydziestu, a w sierpniu nawet pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców. Gdy gotował się makaron, nałożyła jedzenie na miskę Ralph i postawiła ją na podłodze. Zamierzała zachęcić ojca, by to on zajmował się posiłkami psa, ale na razie było na to jeszcze za wcześnie. Ojciec zabrał Ralph na spacer: jak na jeden dzień, to i tak spore osiągnięcie.

— Nie wiem, po co przyprowadziłaś to zwierzę. — Jesse spoglądał na Ralph, która pochłaniała jedzenie w zadziwiającym tempie, wymachując przy tym radośnie ogonem.

Clare, zaskoczona tonem jego głosu, odwróciła się.

— Mówiłam ci już przecież. Chcę wyciągnąć ojca z fotela i zmusić, żeby wyszedł czasami z domu.

— Tak, jeśli będziesz dręczyć go wystarczająco długo, w końcu się podda. Powiedzmy sobie uczciwie, Clare, to ty będziesz się opiekować psem. Co znaczy, że będziemy jeszcze bardziej uwiązani, niż jesteśmy.

— Uwiązani? — Serce Clare jakoś dziwnie trzepotało się w piersiach.

— A gdybyśmy chcieli gdzieś wyjechać? Jak będziemy podróżować?

— Hm, nie wiedziałam, że się gdzieś wybieramy.

— Wiesz, że zawsze o tym marzyłem.

— Tak, ale kiedy będziemy mieć na to czas, tata już się nauczy opiekować psem.

— Nie jestem tego pewien.

Zabrzącał minutnik. Clare odcedziła makaron.

— Jesse — powiedziała cicho. — Co się z tobą dzieje?

Odwrócił wzrok. Jego twarz wydawała się dziwnie pochmurna.

— Szkoda, że nie skonsultowałaś się ze mną, zanim przyprowadziłaś tu psa. Jego obecność zmienia moje życie w takim samym stopniu jak twoje.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

— Och, Jesse, masz rację. Nawet o tym nie pomyślałam. Przepraszam, kochanie. — Olej na patelni zaskwierczał ostrzegawczo. Szybko wylała na nią śmietanę i zamieszała wszystko. — Jesse, kolacja gotowa. Mógłbyś zawołać tatę? A o psie porozmawiamy jeszcze później, dobrze? Naprawdę bardzo cię przepraszam, byłam bezmyślna.

— Pójdę po twojego ojca.

Wstał i wyszedł z kuchni.

Nałożyła na talerze makaron i gęsty sos z owoców morza. Gdy niosła tacę do stołu, Ralph przemknęła pod jej nogami tak szybko, że Clare potknęła się o jej łapę i omal nie wywróciła. Zdołała jednak utrzymać równowagę, a gdy postawiła już tacę na stole, odwróciła się do psa i powiedziała ostrym, groźnym tonem:

— Nie! Zły pies! Leżeć!

Ralphie skuliła się, wystraszona.

Clare poczuła się okropnie nieszczęśliwa.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Był wietrzny, wiosenny dzień, dochodziła szósta po południu, a Jesse już od trzech godzin pracował na tyłach sklepu Lexi. Jak dotąd udawało jej się zachowywać w miarę normalnie, a przynajmniej nie dziwniej niż zwykle. Miała sporo do zrobienia, kręciła się nieustannie po sklepie i starała zająć umysł wyłącznie pracą, choć każda komórka jej ciała skupiona była na obecności Jessego. Włączyła głośno muzykę, by stworzyć wrażenie, że nie są tu zupełnie sami.

Weszła do kabiny przymierzalni i usiadła, wypróbowując narożną ławeczkę wykonaną przez Jessego. Wydawała się solidna i wygodna. Lexi pomyślała, że wieczorem pomaluje kabiny.

— Już — zawołał Jesse zza przepierzenia. — Gotowe.

Podniosła się z ławeczki, wciąż zastanawiając się, co jeszcze powinna zrobić w najbliższym czasie.

— Jesse... czy mógłbyś wpaść jeszcze jutro i zająć się kilkoma drobiazgami? Zupełnie sobie z tym nie radzę.

Wyszedł zza przepierzenia i zajrzał do wnętrza kabiny. Pachniał świeżym drewnem, mydłem i, tylko odrobinę, potem.

— Co konkretnie masz na myśli?

— Trzeba powiesić zdjęcia i lustra, po jednym w każdej kabinie i jeszcze kilka na ścianach. I zasłony w przymierzalniach, więc tu trzeba wstawić drążki... — Wyciągnęła do góry rękę, pokazując miejsca, w których miały się znajdować zaczepy na drążki. Czowała, jak podnoszą się przy tym jej piersi. Nagle znalazła się tak blisko Jessego, że prawie go dotykała. Stali naprzeciwko siebie, dzieliło ich zaledwie kilkanaście centymetrów.

— I haczyki — dodała, cofając się o krok. Z trudem łapała oddech. — Ładne mosiężne haczyki na ubrania, tutaj i tutaj.

Kabina była niewielkim pomieszczeniem, przeznaczonym dla jednej kobiety i paru sztuk garderoby. Gdy znalazły się tam dwie osoby, zrobiło się nagle ciasno. Jesse sięgnął do kieszeni koszuli i pochylił się do przodu. Lexi cofnęła się gwałtownie o krok i uderzyła plecami w ścianę. Sięgnął ręką nad jej ramieniem i narysował ołówkiem krzyżyk na powierzchni ściany.

— Tutaj?

Skinęła głową. Czowała jego zapach, czowała ciepło bijące od jego ciała.

Schował ołówek do kieszeni. Spojrzał na nią. Lexi miała wrażenie, że zbliża się do niej coś delikatnego i olbrzymiego, jakaś mroczna, niewidzialna obecność, niczym podobne do rekinów ryby zwane tawroszami, które ocierały się o jej nogi, gdy pływała przy Steps Beach. Coś przerażającego, a zarazem fascynującego, nieodpartego.

— Jesse...

Położyła dłoń na jego niebieskiej koszuli, na środku piersi.

Oparł ręce o ścianę, po obu stronach głowy Lexi, a potem napał na nią całym ciałem i zamknął jej usta pocałunkiem. Przymknęła oczy. Wargi miał miękkie i delikatne, ciało gorące. Zmysły buzowały w niej niczym niepoohamowany ogień. Nigdy dotąd nie czowała czegoś podobnego i nie miała pojęcia, co robić, lecz pragnęła tego każdym atomem ciała. Objęła go i przyciągnęła do siebie. Czowała nabrzmiały członek, tak twardy, że jego dotyk niemal sprawiał ból. Przesunęła dłoń niżej, położyła na wybrzuszeniu ukrytym pod niebieskimi dżinsami.

Jęknął i odsunął się od niej.

— Nie możemy tego zrobić.

Wpadł do drugiej kabiny, zabrał swój pas z narzędziami i ruszył do wyjścia. Kilka sekund później wyszedł na zewnątrz i zatrzasnął za sobą drzwi.

Lexi została sama, rozpalona i drżąca.

Okna wciąż zaklejone były szarym papierem, który skrywał wnętrze sklepu przed wzrokiem ciekawskich. Dziękowała sobie w duchu za przezorność, która kazała jej oddzielić się od świata. Zamknęła drzwi na zasuwkę i wyłączyła radio.

Wróciła do kabiny i przywarła plecami do ściany w miejscu, gdzie przed chwilą stali.

Nigdy dotąd nie czowała się tak ożywiona, tak świadoma swojej fizyczności. Zmysłowy żar Maui, wonne powietrze Bali, potężne fale na wybrzeżu Nowej Zelandii — żadne z tych miejsc nie rozbudziło jej tak, jak Jesse.

Czowała się ' niczym Pinokio zamieniony w żywego człowieka. Do tej pory zbudowana była z drewna, teraz miała prawdziwe ciało, ciepłe i jędrne. I pełne pożądania.

Gdzieś z tyłu jej umysłu docierały do niej zaniepokojone, ostrzegawcze głosy. Nie chciała ich słyszeć. Jeszcze nie. Jeszcze na moment chciała się zanurzyć w tym niezwykłym, rozkosznym doznaniu. Zamknęła oczy i przypominała sobie dotyk ust Jessego, ciepło jego ciała, rozpalony oddech.

I spojrzenie. Ten wzrok miał w sobie taką siłę, był tak intensywny, że odczuwała go niemal jak rodzaj fizycznego dotyku.

To nie był ten dawny, wyluzowany Jesse, sympatyczny kumpel z sąsiedztwa. Nie był to również zalotny, pewny siebie Casanova, pożeracz niewieścich serc. Jesse wydawał się zmartwiony. Zdesperowany. Może nawet trochę wystraszony. Miała wrażenie, że drżał lekko, gdy się do niej przytulał.

Osunęła się na podłogę, podciągnęła kolana do piersi i objęła je ramionami. Siedziała tak przez długi czas.

Obezwładniające uczucie nie mijało, czar nie pryskał. Tych kilka chwil z Jessem krążyło wokół jej głowy niczym rój pszczoł. Wiedziała tylko, że chce, by Jesse wrócił — natychmiast. Chciała, by przygarnął ją do siebie, całował, dotykał; chciała przesuwac dłońmi po jego ciepłym, twardym ciele...

...lecz to niemożliwe.

Jesse był zaręczony z Clare.
Jej najlepszą przyjaciółką, kiedyś i teraz.
Jak nazwać kobietę, która pragnie narzeczonego najlepszej przyjaciółki?

Lecz czy związek tych dwojga nie jest tylko grą, skoro Jesse tak się przy niej zachowywał?

A może właśnie to zachowanie było tylko grą?

Nie, on nie udawał. Lexi była tego pewna.

Choć nie do końca. Co właściwie wiedziała o mężczyznach? Żałośnie mało.

Skup się na tym, co wiesz na pewno, upomniała siebie w myślach. Skup się na swoich planach. Rozejrzyj się dokoła. Gdzie teraz jesteś?

Uciekła od chaosu i upokorzenia, jakim stało się jej małżeństwo, a potem rozwód. Dotarła już tak daleko. Ułożyła sobie plan, konsekwentnie go realizowała i próbowała rozpocząć życie od nowa. Nie mogła pozwolić, by ta dziwna słabość doprowadziła ją do kolejnej katastrofy. Otwórz oczy, do cholery!, przykazała sobie w duchu.

Otworzyła oczy. Kabiny wykonane ze sklejki musiała pomalować. Ściany sklepu lśniły świeżymi, pięknymi barwami. Tworzyła tu coś więcej niż sklep; budowała cały świat. Nowe życie. Odżywała przyjaźń z Clare.

Nie mogła pozwolić, by znów znalazła się sam na sam z Jessem.

DWADZIEŚCIA

Jesse nie spał u niej tej nocy. Gdy Clare obudziła się rano i przeciągnęła w swoim ciepłym łóżku, ogarnął ją nagle ogromny smutek. Śniła o dzieciach, o synku Penny, o dzieciach, które być może będzie miała kiedyś z Jessem...

Zamknęła oczy, przekręciła się na bok i okryła szczelniej kołdrą. Było jeszcze wczesnie. Czy uda jej się zasnąć? Wyczuła na sobie czyjeś spojrzenie, uniosła powieki i zobaczyła przed sobą lśniące oczy Ralph. Suczka usiadła prosto, drżąc z niecierpliwości i starała się jednocześnie zachować spokój. Clare próbowała na różne sposoby zmusić ojca do przebywania z Ral— phie, lecz on zawsze zamykał na noc drzwi sypialni, a pies spał w korytarzu. Codziennie rano, gdy tylko Clare poruszyła się na łóżku, suczka wchodziła cicho do jej pokoju i kładła się na podłodze. Była szalenie miłym zwierzęciem i starała się nie przeszkadzać Clare.

— Dzień dobry, Ralphie. — Clare wyciągnęła rękę i pogłaskała psa po głowie. — Tak. Masz rację. Powinniśmy pójść na plażę.

Włożyła džinsy, koszulkę z długim rękawem i trampki. Potem wsadziła Ralph do furgonetki i pojechała z nią na plażę Fisherman's Beach. Pan Hart już dwa razy dziennie wyprowadzał psa na spacer, lecz choć Clare usilnie go do tego namawiała, nigdy nie przebiegł z nim choćby krótkiego odcinka.

Clare chciała pozwolić Ralphie wybiegać się do woli, a poza tym lubiła plażę o tej porze dnia; zwykle była wtedy całkiem sama i czuła się tak, jakby świat rodził się na nowo, pełen światła i świeżego morskiego powietrza.

O ósmej na plaży pojawiali się pierwsi pływacy i amatorzy kąpiei słonecznych, którzy nie przepadali za psami, szczególnie spuszczonej ze smyczy.

Jednak o tej porze Ralph mogła się wy— s zaleć.

Clare uwielbiała się jej przyglądać. Suczka bała się oceanu, a jednocześnie była nim zafascynowana. Szczekała histerycznie na spienioną wodę, omal nie unosząc się przy tym nad ziemię, a gdy fala się cofała, biegła za nią podniecona, wymachiwała triumfalnie ogonem, wydając radosne piskliwe dźwięki. Gdy fala nacierała na brzeg, Ralph zamierała na moment, zdumiona aktem odwagi morza, lecz gdy zimna woda dotykała jej łap, suczka pędziła do Clare i chowała za jej nogami. Clare pochylała się nad nią, głaskała po głowie i uspokajała. Ralphie otrzepywała się z wody, ruszała niedbałym krokiem wzdłuż brzegu, udając, że właściwie nic się nie stało.

Truchtała przez jakiś czas u boku swojej pani i zerknęła ukradkiem na ocean, aż znów nabierała optymizmu i znów pędziła przegnać falę.

Nieco dalej plażą szedł jakiś mężczyzna w towarzystwie dwóch psów.

Ralphie natychmiast pobiegła w ich stronę, wymachując ogonem z siłą, która wprawiała w ruch wahadłowy całe jej ciało.

— Dzień dobry, Clare! — zawołał Adam Laney. — Piękny dzień, prawda?

Miał na sobie kąpielówki i T—shirt, a jego złotobrązowe włosy były mokre.

— Cześć, Adamie. Nie mów mi, że pływałeś! Woda jest chyba okropnie zimna?

— Lubię zimną wodę. Bardzo odświeża. — Adam wskazał ręką na psy, które rozgrzebywały właśnie stertę wodorostów, skuszone wydobywającymi się zapachami. — One też będą potrzebować kąpeli.

— Kąpieli? — powtórzyła Clare, zatroskana. — Cholera. Nie wiem, czy zdążę z tym przed pracą. — Pomyślała o psiej sierści w wannie i wilgotnych, śmierdzących ręcznikach na podłodze.

— Ja biorę je do ogrodu i polewam wodą z węża. Przy okazji spłukuję z nich sól. Potem zostawiam je na dworze, aż obeschną.

— Ach... Dziękuję za podpowiedź. — Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Twojemu tacie spodobał się pies?

— Ralph. Nazwał ją Ralph. — Parsknęli śmiechem. — Nie powiem, żeby oszalał na jej punkcie, ale robi, co do niego należy. Karmi ją i dwa razy dziennie wyprowadza na spacer. Kiedy jestem w pracy, siedzą oboje w domu, więc wiem przynajmniej, że tata ma jakieś towarzystwo.

Psy przewróciły się na grzbiet i tarzały w wodorostach.

— Wystarczy, figlarze. — Adam gwizdnął i klasnął w dłonie. Jego psy natychmiast poderwały się. Ralph także podniosła głowę, zaciekawiona. — Idziemy — rzucił Adam do podopiecznych.

Clare dopasowała krok do tempa Adama, gdy szli wzdłuż plaży. Psy biegały wokół nich, raz po raz wpadały im pod nogi, ścigały się, machając ogonami. Obwisłe uszy podnosiły się i opadały w miarowym tempie, z wywieszonych jęzorów kapąła ślina.

— Życie jest dla nich takie proste — stwierdziła Clare w zamyśleniu.

— A dla ciebie nie?

Poczuła na sobie jego spojrzenie. Wszystkie jej zmysły natychmiast przeszły w stan najwyższej czujności. Wydawało się, że rozdzielająca ich przestrzeń aż iskrzy od napięcia, które przepływało między ich ciałami.

— Cóż...

— Mam tu niedaleko termos z kawą, napijesz się? — spytał.

— Chętnie!

Usiedli na piasku, wpatrzni w ocean. Adam odkręcił plastikową nasadkę, napełnił ją kawą i podał Clare.

Gdy odbierała od niego kawę, trącili się ramionami. Czowała, że się czerwieni. Podniosła kubek do ust, przypominając sobie, jak przed laty sam dotyk jabłka ugryzionego przez Adama przyprawiał ją o szybsze bicie serca.

— Zaczęłaś coś mówić — przypomniał jej Adam.

— Tak... Ostatnio dużo myślę o rodzinie. Moi rodzice byli tak pochłonięci swoimi pasjami, że sama nie wiem, jak udało im się utrzymać mnie przy życiu, gdy byłam jeszcze małym dzieckiem.

Uśmiechnął się, rozbawiony.

— Twój tata był świetnym nauczycielem. A matka wspaniałą artystką. Z tobą też poszło im całkiem nieźle, mimo wszystko.

— Dzięki. — Oboje jednocześnie spojrzeli na siebie. Jego wzrok był ciepły i łagodny. — Chcę mieć dużo dzieci — wyznała Clare i natychmiast poczuła się zawstydzona, że dzieli się z Adamem tak osobistymi przemyśleniami. Podniosła garść piasku i przesypywała między palcami. — Chcę mieć dzieci i być dla nich lepszym rodzicem, niż moi rodzice byli dla mnie.

— A Jesse chce mieć dzieci? — spytał Adam, wpatrzony w horyzont.

Clare zachichotała.

— Nie wiem, czy on sam przestał być już dzieckiem.

— Ale wierzysz, że kiedyś dorośnie, prawda?

Wciąż przesypywała piasek.

— Szczerze? Nie wiem. — Ogarnęło ją nagle poczucie winy. Czowała się tak, jakby zdradzała Jessego, mówiąc o nim w ten sposób. Postanowiła zmienić kierunek rozmowy. — A ty chcesz mieć dzieci?

Milczał przez dłuższą chwilę. Zerknęła na niego ukradkiem. Miał wyrazisty profil, nieco wykrzywiony nos po urazie, jakiego doznał w trakcie meczu futbolowego, i długie, ciemne rzęsy.

— Nie wiem, Clare. Chyba nie spotkałem jeszcze właściwej kobiety.

— A co z Melanie Clark? — Clare zaczerwieniła się jak burak, zawstydzona swoim wścibstwem.

— Co z nią?

— No, spotykasz się z nią...

— Już nie — odparł, po czym przechylił kubek, pociągnął łyk kawy i oddał jej naczynie.

— Możesz wypić do końca.

Wstał, otrząpął szorty z piasku i podszedł na skraj morza. Zagwizdał na psy, przywołując je do siebie, a potem wrzucał im do wody patyki. Zwierzaki rzucały się ochoczo w fale i wracały do niego z patykami w pysku, podczas gdy Ralphie pozostała na brzegu, podskakiwała dziwnie i ujadła jak szalona.

Clare pomyślała, że Adam ma dobrą rękę do psów. Stworzył już z nimi swego rodzaju rodzinę. I nie spotykał się już z Melanie. Ciekawa była, o co im poszło.

Dlaczego właściwie ją to obchodziło?

Kilkaset metrów dalej grupa pływaków zmierzała przez plażę ku morzu.

Clare dopiła kawę, zakręciła termos i wstała. Podeszła do Adama.

— Muszę wracać — powiedziała.

— Ja też. — Miał muskularne, owłosione nogi, oblepione teraz wilgotnym piaskiem. Psy otrząpały się energicznie z wody, spryskując obficie Adama i Clare. — My też będziemy musieli wziąć prysznic.

Clare wyobraziła go sobie pod prysznicem. Nagiego. Wyobraziła sobie ich oboje pod

prysznicem, razem, nagich.

— Zostawiłam samochód tam.

Adam wskazał przeciwny kierunek.

— A ja tam.

— Dzięki za kawę. — Czemu wciąż nie mogła się z nim rozstać? — Gdybyś przyszedł tu jutro, może ja przyniosłabym kawę... — Sama nie wiedziała, o czym właściwie mówi, co oferuje i czego chce.

Spojrzał na nią ze spokojem.

— Nie trzeba. Spacer z tobą jest wystarczająco przyjemny.

A gdybym tak skoczyła na ciebie, oplotła cię nogami i pocałowała, czy to też byłoby przyjemne? — pomyślała Clare. W jego obecności czuła się tak, jakby musiała walczyć z falami; musiała wyżyć wszystkie siły, by chociaż utrzymać się na powierzchni i złapać oddech.

— Świetnie — zdołała wykrztusić. Rozpędzona Ralphie wpadła prosto na jej nogi i omal nie przewróciła. Clare zdołała się w końcu opanować, wdzięczna psu za tę chwilę rozproszenia.

— Chodźmy, Ralphie. — Przypięła smycz do jej obroży. — Więc do zobaczenia.

Nie spojrzała mu prosto w oczy. Nie mogła tego więcej robić, jeśli chciała wreszcie zejść z plaży.

— Cześć, Clare. — Klasnął w dłonie, a psy posłusznie przybiegły do niego.

Obserwowała go przez chwilę. Czuła się dziwnie rozradowana.

— Chodźmy, Ralphie — powtórzyła, po czym poderwała się do biegu.

Pędziła wzdłuż brzegu, rozchlapując fale niczym dziecko, a Ralphie ośmielona tym, szczekała, podskakiwała i biegnęła obok niej, wypełniona psim szczęściem.

DWADZIEŚCIA JEDEN

We śnie Lexi całował ją jakiś mężczyzna, który jednocześnie był i nie był Jessem. Pocałunek był fascynujący, odurzał, otaczał ją bezkresnym ciepłym morzem zmysłowej przyjemności.

Obudziła się rozluźniona i uśmiechnięta. Przeciągnęła się rozkosznie, pozwalając, by senne marzenie jeszcze przez chwilę błądziło po jej umyśle.

Leżała na boku, wpatrzona w smugę słonecznego blasku na drewnianej podłodze. Pomyślała, że to będzie dobry dzień, bezwietrzny, słoneczny i ciepły.

Poczuła, że wypełnia ją energia, że ma ochotę zrealizować mnóstwo planów. Wskoczyła z łóżka i włożyła ubranie robocze. Zrobiła sobie kawę, zaniósła ją na dół, postawiła kubek na gablocie i zaczęła przygotowywać się do malowania kabin. Okleiła podłogę folią, otworzyła puszkę za pomocą śrubokręta, rozstawiła drabinę i wzięła do ręki pędzel. Parę godzin później przypomniała sobie o kawie.

Skończyła malować przed południem. Bolały ją nadgarstki i plecy, przymuszone do przyjmowania dziwnych póz, gdy sięgała w zakamarki kabiny. Musiała teraz wyjść na świeże powietrze. Włożyła sweter i wyszła tylnymi drzwiami.

Blask wiosennego słońca odbity od fal oślepił ją, niemal oszołomił.

Wciągnęła w płuca haust świeżego słonego powietrza. Trwał przyptyw, fale uderzały leniwie o nabrzeże. Tuż obok przeleciały leniwie dwie kaczki, a na wprost Lexi, na balustradzie molo przysiadł kormoran. Ocean naniósł na plażę ciemny pas wodorostów, wzdłuż niego

przechadzały się mewy, wyszukując pośród zielonych wstęg żywych małży. Jakiś mężczyzna w kolorowej piance odpływał od brzegu kajakiem. Lexi wzdrygnęła się odruchowo. Pomyślała, że na morzu musi być jeszcze bardzo chłodno.

Na skraju moła siedziała jakaś osoba, wydawała się mała i drobna.

Obejmowała ramionami kolana przyciągnięte do piersi i patrzyła w stronę latarni Brant Point u wejścia do cieśniny. Sprawiała wrażenie smutnej i opuszczonej. Lexi zeszła na plażę, a potem skierowała się w stronę moła.

Stare deski skrzypiały pod jej stopami, gdy mijała łodzie wiosłowe, żaglówki i motorówki przycumowane do drewnianego pomostu.

Gdy dotarła na kraniec moła, zobaczyła, że samotna postać to Jewel Chandler, nad wiek rozwinięte dziecko, z którym rozmawiała po koncercie.

— Jewel?

Dziewczynka odwróciła się. Ktoś próbował okiełznać jej rude loki i spleść w warkoczyki przewiązane wstążkami w zieloną kratę. Była ubrana w bojówki, zielony sweter i bluzę z polaru.

— O, dzień dobry, pani Laney. — Nie uśmiechała się. Jej oczy, ukryte za okularami w szylkretowych oprawkach, wydawały się bardzo poważne.

— Mogę usiąść obok ciebie?

— Proszę bardzo. — Znow odwróciła się do morza.

Lexi usiadła po turecku na deskach.

— Nie masz dziś lekcji?

— Nauczycielka poszła na jakieś zebranie.

— Aha. Więc przyszłaś tutaj, żeby...

— Czekam na mojego tatę.

Tata Jewel — Tristram Chandler. Gazety doniosły, że szczątki łodzi wyrzucone na brzeg Maine miały numer identyfikacyjny i że łódź ta rzeczywiście należała do Trisa. Jak dotąd nie znaleziono jego ciała.

— Jewel, tak mi przykro...

— Niepotrzebnie. Ja wiem, że on wróci. Dlatego tu jestem. Czekam na niego. — Nie odrywała wzroku od horyzontu.

Lexi przyjrzała jej się z uwagą.

— Twoja mama wie, że tutaj jesteś?

Jewel zerknęła na nią z ukosa, zirytowana tym pytaniem.

— Oczywiście.

— I nie ma nic przeciwko? Zakładam, że umiesz pływać. No wiesz, gdybyś wpadła do wody...

— Pływam doskonale. I nie mam zamiaru wpadać do wody.

— Jak długo będziesz tu siedzieć?

— Dopóki nie zrobi się ciemno. Potem muszę wracać do domu, mama mi kazała.

— Nie nudzi ci się?

— Czy mi się nie nudzi? — Spojrzała z niedowierzaniem. — Nie, nie nudzi. —

Westchnęła ciężko i przygarbiła się. — Ale jestem zmęczona. Nie wiedziałam, że życie nadzieją to taka ciężka praca.

Biedne dziecko, pomyślała Lexi. Nikt nie wytłumaczył jej jeszcze, jak nikłe są szanse, że jej ojciec żyje?

— Jest wiosna — powiedziała cicho. — Nie masz nic innego do zrobienia?

Jewel obdarzyła ją pobłażliwym spojrzeniem.
— Jestem dzieckiem, a nie neurochirurgiem.
— Mimo wszystko. — Lexi uśmiechnęła się. — Nie chciałabyś na przykład pojeździć na rowerze? Budować zamki z piasku? Zjeść lody?
Jewel zastanawiała się nad tym przez moment.
— Tak, chciałabym robić wszystkie te rzeczy. Ale to jest ważniejsze.
Chcę, żeby po powrocie tato zobaczył, że czekam tu na niego. Chcę, żeby wiedział, że nie przestawałam czekać ani na chwilę.
Lexi patrzyła na nią z podziwem i współczuciem.
— Lubisz czytać? — spytała.
— Uwielbiam. — Jewel ożywiła się po raz pierwszy w trakcie rozmowy.
— A co najbardziej?
— Harry'ego Pottera, oczywiście. I wszystkie książki Madeleine L'Engle. Lubię też całą serię o Nancy Drew, chociaż wiem, że to trochę dziecinne.
— Och, uwielbiałam Nancy Drew!
Jewel skinęła głową.
— Chyba mogłabym przynieść tu książkę. Tata chyba się nie obraził.
— Znów wydawała się znużona i przybita. — Pomyślę o tym. Nie chciałabym się zapomnieć i przestać żyć nadzieją.
To dziecko było niesamowicie wrażliwe i zdeterminowane. Mała dziewczynka, która zmagła się z tajemnicami oceanu.
— Może ja pomogłabym ci żyć nadzieją.
Była zaskoczona tą propozycją.
— Naprawdę? Byłoby super. Bo wiesz, mama nie żyje nadzieją, dlatego miałyby to robić, skoro ma nowego męża i dziecko. — Spojrzała wymownie na Lexi. — Nie rozmawiam o takich sprawach z byle kim.
Lexi przygryzła wargę, by się nie uśmiechnąć. Powaga, z jaką Jewel wypowiadała te słowa, była naprawdę rozbijająca.
— Rozumiem.
— Byłoby miło, gdyby mi pani pomogła. — Znów spojrzała na wody cieśniny. — Mogłaby mnie pani czasem odwiedzać.
Lexi poczuła się wyróżniona.
— Mogłabym też przynieść lody.
— Naprawdę? Super! — Przez moment Jewel zachowywała się jak dziecko.
W stronę moła płynęła łódź motorowa Boston Whaler. Rybak w woderach pomachał do Jewel. Więc wszyscy wiedzą o jej czuwaniu, pomyślała Lexi. Wszyscy pomogą się nią zaopiekować.
— Muszę wracać do pracy. Mój sklep jest tam, niedaleko. Wpadaj, jeśli będziesz czegoś potrzebować.
— Dziękuję. — Jewel skinęła głową.
Lexi podniosła się z desek.
— Do zobaczenia wkrótce. — Przeszła kilka kroków i odwróciła się jeszcze na moment.
— Powodzenia!
— Dziękuję — odpowiedziała Jewel, uśmiechając się do niej przez ramię.
Lexi ruszyła w stronę słonych bagien — rozciągały się w miejscu, gdzie przystań zmieniała się w plażę poprzecinaną licznymi strumykami. Zastanawiała się, czy postąpiła słusznie, wspierając Jewel; nie pozbawiała jej nadziei na powrót ojca. Dziewczynka była już dość

duża, by zrozumieć, czym jest śmierć. Była dość duża, by wiedzieć, co znaczy prawdopodobieństwo.

Wychowywała się na wyspie, wiedziała, że ludzie toną, że morze bywa okrutne, że natury nie obchodzą uczucia małych dzieci.

Lecz czy można żyć bez nadziei? Jewel żyła nadzieją na powrót ojca; Lexi wierzyła, że któregoś dnia pozna miłość swojego życia. Czy byłyby szczęśliwsze, gdyby zrezygnowały z tych marzeń? Morze bywało okrutne i obojętne, to prawda, ale zdarzały się też na nim prawdziwe cuda. Lexi pomyślała, że czasem trzeba się zdecydowanie opowiedzieć po jednej ze stron. Rzeczywistość albo nadzieja. Dziś wybierała nadzieję.

DWADZIEŚCIA DWA

Gdy Clare w towarzystwie Ralphie szła pośród wydm ścieżką prowadzącą na plażę, słońce dopiero wysuwało się zza horyzontu. Spokojny czerwcowy poranek nabierał powoli rumieńców, promienie słońca przeganiały chłód nocy. Fale uderzały leniwie o brzeg, szeptały swoją niekończącą się opowieść.

Usiadła na piasku, by obserwować barwny spektakl rozgrywający się na niebie: szarość przechodziła w ognistą czerwień, a potem w soczysty błękit, głęboki, piękny lazur lata. Zdjęła przez głowę bluzę sportową. Była całkiem sama na plaży. Ralph pobiegła do morza, straszyć fale.

Clare nabrała garść piasku, pozwoliła, by ziarenka przesypywały się powoli między palcami, łaskocząc ją delikatnie. Aż została jej w dłoni tylko skorupa ślimaka morskiego, którego wyspiarze nazywali księżycową muszlą. W spiralnej, wapiennej powłoce mieszkało kiedyś proste i raczej niezbyt atrakcyjne stworzenie, galaretowata, pełzająca masa. Kto potrafiłby wyjaśnić, dlaczego sama muszelka była ozdobiona tak wymyślnymi wzorami?

Kiedyś Clare i Lexi nazwały swoją plażę Księżycową Plażą, bo było na niej mnóstwo takich muszelek, ale na plaży Jetties Beach leżało ich jeszcze więcej. Na „ich” skrawku wybrzeża można było znaleźć jeszcze mnóstwo innych rodzajów muszli — pobrzechki, prze— grzebki, nożeńce, omułki.

Przypuszczała, że wówczas urzekła ich magia słowa „księżyc”. W tamtym czasie wydawało im się, że wszystko, co romantyczne, cza— rowne i urzekające leży gdzieś bardzo daleko od ich pospolitych, irytujących domów, w zupełnie innym świecie.

To niezwykle, że Lexi podróżowała do tylu różnych miejsc, ale postanowiła osiąść na wyspie. Dzięki temu Clare utwierdzała się również w swojej decyzji o pozostaniu w tym miejscu. W czasie studiów mieszkała poza wyspą, odwiedzała też przyjaciół na Zachodnim Wybrzeżu, nigdy jednak nie zastanawiała się poważnie nad przeprowadzką. Kochała Nantucket. Nie była szczególnie zadowolona, że musi mieszkać z ojcem w domu, w którym się wychowała, ale ceny wynajmu na wyspie były horrendalne. Nie mogłaby pozwolić sobie na prowadzenie sklepu, gdyby nie mieszkała we własnym domu. Teraz, po śmierci matki, była nawet zadowolona, że została z ojcem; wolała sobie nawet nie wyobrażać, co stałoby się z nim samym i z domem, gdyby wyniosła się gdzie indziej.

W oddali zaszczekał jakiś pies. Ralphie natychmiast puściła się pędem w tamtą stronę. Szedł Adam z psami, Lucky i Bellą. Clare wstała z piasku i ruszyła im na spotkanie. Powoli przyzwyczajała się do tych porannych spotkań. Dodawały jej otuchy i pozwalały spojrzeć w

przyszłość z większym optymizmem.

Zastanawiała się, dlaczego właściwie tak się dzieje. Czy potrzebowała pomocy, żeby zachować optymizm? Stała na pustą muszlą kraba nogacza, która pod jej ciężarem rozpadła się z chrzęstem na drobne kawałki.

Adam szedł leniwym krokiem w jej stronę, a psia rodzina krążyła wokół niego w radosnych podskokach. Clare pomyślała, że brat Lexi wydaje się prawdziwie dorosły, na stałe złączony z rzeczywistym światem. Jesse z kolei był wiecznym dzieckiem, jego beztroska bywała naprawdę ujmująca, lecz czasami Clare miała wrażenie, że zmuszając go do osiedlenia się w jednym miejscu i założenia rodziny, postępuje okrutnie, zupełnie jakby podcinała ptakowi skrzydła. Zwierzę przeżyłoby ten zabieg, ale straciłoby na zawsze swój tajemniczy urok i radość życia.

To było romantyczne spojrzenie na tę sprawę. Bardziej realistyczna perspektywa, która budziła szczerą niechęć Clare, wyglądała tak, że często czuła się bardziej jak matka Jessego niż jego ukochana.

Kiedy zakochała się w nim, jeszcze w średniej szkole, była urzeczona jego urodą, ale jeszcze bardziej fascynowała ją niefrasobliwość Jessego, która odwoływała się do jej cichego uwielbienia dla wszelkiego rodzaju buntowników i outsiderów. Nie znaczyło to oczywiście, że Jesse miał naturę buntownika. Nigdy nie traktował dość poważnie żadnej idei, by za nią walczyć. Nie chodził na wagary, nie walczył z nauczycielami, trenerami czy innymi chłopakami. Po prostu szedł przez życie radosnym krokiem, dobrze się bawiąc, zbyt wyluzowany i zadowolony, by pamiętać o pracy domowej czy zbliżających się testach. Zawsze miał fatalne stopnie. Bez wątpienia był bardzo bystrym dzieciakiem i potrafił sprowokować nauczycieli do uśmiechu nawet wtedy, gdy źle odpowiadał. Udało mu się skończyć szkołę dzięki ujmującej, sympatycznej naturze. I dobrze. Nie chciał iść na studia. Przez jakiś czas poważnie myślał o założeniu grupy folkowej, ale nie potrafił się zdyscyplinować nawet na tyle, by regularnie chodzić na próby.

Teraz oboje byli dorośli, zaręczeni, gotowi się pobrać i założyć rodzinę, lecz Clare wyczuwała w Jessem jakieś napięcie, niepokój. W ciągu kilku ostatnich tygodni stał się bardziej drażliwy niż w jakimkolwiek innym okresie swojego życia. Pewnego wieczoru, gdy jedli kolację u Penny i Mike'a, Jesse wydawał się wyjątkowo niespokojny, nie mógł usiedzieć na miejscu.

Wziął Małego Mike'a na ręce i zachwycił się nim, ale potem szybko oddał dziecko matce. Nie spojrzął na Clare, mówiąc: „Też powinniśmy sobie takiego sprawić”. Miała nadzieję, że to powie — chyba każdy, kto choćby przez chwilę trzymał Mike'a, chciał mieć dziecko — lecz ani wtedy, ani potem, gdy jechali do domu, nie wspomniał o dziecku i rodzinie.

Nie znaczyło to, że Jesse nie chce mieć rodziny.

I kochał ją. Wiedziała o tym. Musiała po prostu wejść w przyszłość, której pragnęła, i wciągnąć tam za sobą Jessego.

Tyle że czasami wydawało jej się to bardzo trudne.

— Każdy jest na swój sposób dziwakiem — powiedziała jej kiedyś matka, gdy Clare nie miała już cierpliwości do Jesse'a. — Spójrz tylko na mnie i ojca. Trudno nas nazwać całkiem normalnymi, a przecież jakoś sobie radzimy.

Matka Clare uwielbiała Jessego. Zawsze potrafił ją rozbawić. Często otwarcie z nią flirtował, czasami zdarzało się nawet, że przyprawiał ją o rumieniec zawstydy. Ellen wielokrotnie mówiła córce: „Jesse to dobry człowiek. Daj mu tylko trochę czasu”.

Dała mu czas. Nadal to robiła. Ostatnio jednak coraz częściej zastanawiała się z irytacją, dlaczego to właśnie ona ma mu ciągle coś dawać? Dlaczego to ona musiała cierpliwie czekać w domu z mlekiem i ciasteczkami na powrót zbłąkanego dziecka? Wiele razy, szczególnie po

któreś z przelotnych miłości, Jesse mówił Clare, że wydobywa z niego to, co najlepsze, że zmusza go do pracy nad sobą, że bez niej byłby zgubiony. Przywykła już, że jest dla niego nie tylko kobietą, która oczekuje go w domu, ale też samym domem.

Jak to wszystko będzie wyglądać, gdy założą prawdziwą rodzinę? Uważała, że najpiękniejszą, najbardziej magiczną rzeczą na ziemi jest tak zwana zwyczajna rodzina, i właśnie tego pragnęła najbardziej. Marzyła o wiecznie zagraconej kuchni, pełnej dzieci powalanych mąką i ciastem z urodzinowych ciasteczek, o wielkim SUV—ie pełnym fotelików, futerałów na skrzypce i kijów hokejowych. Chciała chodzić na mecze baseballowe i zawody pływackie, lecz najpierw chciała — och, jak bardzo tego pragnęła! — śpiewać kołysanki.

— Dzień dobry! — Adam trzymał w dłoniach dwa papierowe kubki. — Latte z Fast Forward!

— Mój bohater! — Clare roześmiała się. Wzięła od niego kubek, podniosła wieczko i pociągnęła długi łyk słodkiego, ciepłego, aromatycznego napoju. — Cudownie. Właśnie tak powinien zaczynać się każdy dzień.

Szli powoli wzdłuż plaży, podczas gdy psy ściagały się nieustannie od wydm do morza i z powrotem.

— Jak interesy? — spytał Adam życzliwym tonem.

— Dobrze. Naprawdę dobrze. Niewielu zwykłych klientów, choć tych będę miała aż za dużo w lipcu i sierpniu, ale mnóstwo specjalnych zamówień. Marlene pracuje teraz na pełny etat, zatrudniłam też dwie dziewczyny na część etatu. Dzięki temu przynajmniej przez jakąś część dnia nie muszę poruszać się najszybciej, jak potrafię. — Spojrzała na Adama. — Wy macie pewnie spory ruch.

— Tak. Właściciele domków letniskowych przyjeżdżają ze swoimi zwierzakami, a turyści na skuterach przywożą ranne „króliczki”, które znaleźli przy drodze. Musimy tłumaczyć wszystkim, że króliki roznoszą groźne zakaźne choroby. Zatrudniliśmy na sezon jeszcze jednego weterynarza.

— Tak? Skąd pochodzi?

— To dziewczyna, Miranda. Jest z Georgii. Właśnie skończyła studia i mówi z cudownym południowym akcentem, którym potrafi oczarować każdego pacjenta i każdego właściciela. — Adam zachichotał.

Czy potrafi też oczarować innych weterynarzy? — zastanawiała się Clare, zadziwiona falą piekającej zazdrości, którą obudziła w niej ta uwaga.

— Miranda — powtórzyła. — Ładne imię.

— I ładna kobieta. — Adam skinął głową.

Zauważyła pustą skorupę nogacza i nastąpiła na nią z wielką siłą.

— Lubię ten chrzest — powiedziała. — Zupełnie jakbym jadła popcorn.

— Popcorn. — Roześmiał się. — Moje ulubione letnie pożywienie.

Spojrzała nań pytająco.

— Kiedy na wyspie jest tyle ludzi, często zapominam zrobić zakupy. A przypominam sobie o tym wtedy, gdy stoję przed pustą lodówką, zbyt zmęczony, żeby wybrać się jeszcze do sklepu. Poza tym perspektywa stania w korku po całym dniu pracy tak mnie zniechęca, że wolę sobie zrobić miskę popcornu i wypić dwa piwa.

— Wiem, o czym mówisz. Dlatego zeszłego lata kupiłam Crock—Pot, takie urządzenie do powolnego gotowania. Rano wkładam do niego jedzenie, włączam, i mam gotowy posiłek, kiedy tylko chcę.

— Dobry pomysł. Twój ojciec robi zakupy spożywcze?

Clare parsknęła.

— Chciałabym. Nie, nie można na nim polegać. Nawet jeśli dam mu listę, zapomina ją zabrać albo zapomina kupić niektóre rzeczy.

— A Jesse?

— Też rzadko. Mieszka u swoich rodziców, w garażu przerobionym na mieszkanie, więc często jada tam. Mnie to nie przeszkadza. Lubię oglądać jedzenie, szczególnie owoce i warzywa. Uwielbiam tę porę roku, bo można teraz dostać świeże szparagi, młode ziemniaki i truskawki. Powinieneś wpaść kiedyś do mnie, gdy wrócę z targu. Robię najlepsze na świecie ciasto z truskawkami.

Adam pochylił się, podniósł patyk i wrzucił do morza. Psy natychmiast popędziły na złamanie karku do wody. Lucky złapał patyk pierwszy i przyniósł go Adamowi, ogromnie z siebie zadowolony. Adam znów wrzucił kij do morza.

Clare odeszła nieco dalej i usiadła na piasku. Bogu niech będą dzięki za zwierzaki, pomyślała. Pozwalały bezpiecznie się wycofać, ochłonać i zachować twarz — choć Clare wiedziała, że jej twarz jest w tej chwili czerwona jak burak. Co ona właśnie zrobiła? Zaprosiła Adama do siebie na kolację? Och, to dopiero byłoby sympatyczne towarzystwo, jej ojciec, ona, Adam i Jesse. Nie chodziło o to, że Jesse nie lubi Adama; lubił go, choć Adam był od niego starszy o dwa lata, a wydawał się starszy co najmniej o dziesięć. A może Adam przyszedłby do niej wtedy, gdy Jesse gra w pokera albo je u swoich rodziców? Tak, to był dopiero fantastyczny pomysł. Na samą myśl o takim spotkaniu czuła zakłopotanie, a zarazem dreszczyk rozkosznej emocji, której wolała nie analizować ani nawet nazywać.

Ralph podbiegła do niej z wywieszonym językiem. Okręciła się w miejscu i ułożyła u stóp Clare, obserwując psy walczące z falami oceanu.

— Dobra dziewczynka — powiedziała Clare, poklepując ją czule.

Adam raz jeszcze wrzucił patyk do wody, a potem podszedł do wydmy i usiadł obok Clare. Jego psy wrywały sobie patyk, podkradały go raz za razem, okładając się przy tym po łbach.

— Para błaznów. — Adam uśmiechnął się.

— Ralphie boi się wody — powiedziała Clare. — Ocean ją fascynuje, ale za bardzo się boi, żeby do niego wejść.

— Mądry pies. Podwodne prądy są bardzo zdradliwe. — Spojrzał na taflę oceanu. — Spójrz tylko. Lśniący i spokojny. Można zapomnieć, że bywa niebezpieczny.

— Wiem. Co roku prądy rzucają kogoś na dno, łamią ręce i nogi. Pamiętasz to lato, kiedy David Sutton złamał sobie kark?

— A teraz straciliśmy Trisa — mruknął Adam.

— Tego nie wiemy jeszcze na pewno...

— Minęły trzy tygodnie. Bobbie chce odprawić mszę żałobną. Gdyby Tris przeżył, na pewno z kimś by się skontaktował. Nie zrobiłby tego swojej córce. — Adam odwrócił głowę i zamrugał gwałtownie, by odgonić łzy, napływające do oczu.

— Ale Tris to świetny marynarz. — Clare nie dawała za wygraną.

— A morze pełne jest niebezpieczeństw.

Zgniół kubek w dłoni, podniósł się gwałtownie i podszedł do morza.

Clare wiedziała, że chce przez chwilę być sam.

Z oddali dobiegły ją jakieś krzyki. Odwróciła się i zobaczyła czterech nastolatków biegnących ku morzu, każdy z deską surfingową pod pachą.

Adam także przyglądał im się przez chwilę, a potem wrócił do Clare.

— Nie pływałam na desce od lat — wyznała Clare.

— Ja też nie. — Spojrzał znów na chłopców. — Ale widziałem, że Jesse surfuje — dodał swobodnym tonem.

— O tak. Pływa też na windsurfingu.
— Bez kamizelki ratunkowej.
— Wiem, wiem, zawsze suszę mu o to głowę, ale jest uparty jak osioł. I uwielbia wodę.
— Jak znam życie i tak nic mu się nie stanie. Jest jak ci faceci, którzy rozbijają samochód o drzewo, ale są tak pijani, że nie robią sobie najmniejszej krzywdy.
— Tak, to cały Jesse. — Clare roześmiała się. Potem dodała szybko: — Jesse nie jest pijakiem, Adamie.
— Wiem o tym, Clare. To po prostu jeden z tych facetów, którzy potrafią bawić się przez całe życie. Zazdroszczę mu. Żałuję, że ja nie umiem bardziej się wyluzować.
— A ja uważam, że jesteś idealnym facetem — zapewniła go Clare; od razu zawstydziła się własnych słów i żaru, z jakim je wypowiedziała.
— Myślisz tak, bo mnie dobrze nie znasz — odparł z uśmiechem, a potem spojrzał w dół prosto na nią.
Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.
— Adamie...
— Muszę jechać do pracy. — Wyciągnął rękę. Clare ujęła jego dłoń i podniosła się z ziemi. Pies wpadł prosto pod jej nogi, a Adam przytrzymał ją za rękę i pomógł utrzymać równowagę. Potem wypuścił jej dłoń.
— Dzięki za kawę — powiedziała Clare. — Jutro ja przyniosę.
— Więc do jutra — rzucił przez ramię Adam i pobiegł. Psy pognały za nim.
Clare odprowadzała go spojrzeniem, przysuwając do ust dłoń, którą przed chwilą trzymał. Pachniała solą, morzem i słońcem.

DWADZIEŚCIA TRZY

Lexi i Clare siedziały w restauracji Fifty—Six Union i pochylały się ku sobie nad stołem przykrytym białym obrusem. Wiosenna burza chłostała okna deszczem i wciskała się do wnętrza lokalu, gdy tylko ktoś wchodził lub wychodził. Powietrze wypełniały smakowite zapachy i gwar rozmów.

— Więc Jesse zrobił już u ciebie wszystko, co chciałaś?
— Prawie. — Lexi skrzywiła się. — Ale nie jestem jeszcze gotowa. Muszę rozpakować mnóstwo rzeczy, a część towaru jeszcze nie dojechała. Będę zadowolona, jeśli uda mi się otworzyć sklep najpóźniej czwartego lipca.
— Tak, dopiero wtedy zaczyna się prawdziwy sezon. — Clare pochyliła się jeszcze niżej i powiedziała ściszym głosem: — Lexi, chciałam cię o coś zapytać. Ostatnio widziałaś Jessego kilka razy. Powiedz, co o nim sądzisz?

Lexi upiła łyk wina.

— Co sądzę?

— To znaczy, jak on się twoim zdaniem czuje?

— Co masz na myśli?

— Wydaje się szczęśliwy? Zadowolony? Ostatnio jest bardzo drażliwy.

Chyba żałuje, że poprosił mnie o rękę.

Lexi odpowiedziała powoli, starannie dobierając słowa.

— Wiem, że chce podróżować, Clare. Mówił o tym. Kiedy zobaczył moje zdjęcia z

różnych plaż, powiedział, że chciałby tam pojechać, na Bali i do Rio.

— Przecież podróżuje! Był na Jamajce, na Kostaryce i na Tortoli.

— Nie chciałam cię rozżłościć, Clare.

— Nie jestem zła na ciebie. — Odłożyła widelec, oparła łokcie o stół i ułożyła brodę na dłoniach, rozmyślając. — Może jestem zła na Jessego.

Może tak naprawdę jestem zła na siebie. A ty, nie marzysz o dzieciach?

Dlaczego nie miałaś dzieci?

Lexi uśmiechnęła się lekko.

— Więc chcesz mieć dziecko?

— Nawet nie wiesz jak bardzo. — Łyknęła wino. — A może wiesz.

— Tak... — Ile jeszcze powinna jej wyjawić? Na samą myśl o dzieciach robiło jej się smutno, a przecież to miał być miły wieczór.

Clare nie dawała za wygraną:

— Nie chcieliście mieć dzieci?

Lexi przesunęła palcem po krawędzi kieliszka.

— Och tak, też marzyłam, żeby zostać mamą. Ale Ed miał już dzieci, więc jakby zostawił ten etap życia za sobą. — Zmusiła się do uśmiechu. — Okazało się, że to prawdziwy Książę Ciemności, więc właściwie cieszę się, że nie miałam z nim dzieci.

Clare pokiwała głową w zamyśleniu.

— Wiesz, nie jestem pewna, czy Jesse wie, co znaczy być ojcem. Nie sędzę, żeby dorósł do tego w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat.

Lexi parsknęła śmiechem.

— Tak, to duży dzieciak.

— Zgadza się. Piotruś Pan. — Clare wahała się przez chwilę, po czym wyrzuciła z siebie całą prawdę: — Lex, kiedy spacerowałam z Ralphie po plaży, wpadłam parę razy na Adama. Jest bardzo miły, zrównoważony i taki... dorosły.

— Tak, Clare, ale chyba nie chcesz być z kimś tylko dlatego, że jest zrównoważony.

— Wiem, wiem, wcale tego nie mówię. Może nawet jeszcze tak nie myślę. Proszę, nie wspominaj o tym Adamowi, dobrze?

Lexi skinęła głową.

— Oczywiście.

— Bo poza tym... Adam bardzo mnie pociąga. Czasami nawet myślę, że jestem w nim zakochana.

— Ale zaręczyłaś się z Jessem.

— Wiem!

Przy stole pojawiła się kelnerka, która zabrała talerze po sałatkach, a na ich miejsce postawiła dania główne.

— Och, pachnie bosko. — Clare pochyliła się nad smażonym ryżem z krewetkami i wciągnęła w nozdrza smakowity aromat. Chwyciła się za głowę, gdy tylko kelnerka odeszła. — Tracę rozum, Lex! Czasami myślę, że moja miłość do Jessego to już tylko w pięciu procentach uczucie, a w dziewięćdziesięciu pięciu czysty upór. Zastanawiam się nieraz, czy zmuszam go do małżeństwa tylko dlatego, bo chcę udowodnić jemu, sobie i całej wyspie, że wygrałam.

Rozumiesz, o czym mówię?

Lexi skinęła głową.

— Rozumiem.

— Ale kiedy jestem z Adamem... — Przerwała, szukając odpowiednich słów. — Bardzo

lubię jego towarzystwo. — Uśmiechnęła się szelmowsko.

— A do tego jest naprawdę sexy.

Lexi zmrużyła groźnie oczy.

— Nie waż się złamać mu serca.

— Nie, to nie tak, Lexi. To znaczy, na pewno bym się z nim nie przespała, będąc z Jessem. — Pomachała bezradnie rękami. — Och, sama nie wiem! Wszystko mi się miesza. Nie zwracaj na mnie uwagi. Opowiedz mi lepiej o sobie. Poznałaś kogoś, z kim chciałabyś się spotykać?

Lexi pokręciła głową.

— Cały czas tylko pracowałam, dzień i noc. Zupełnie jakbym miała przygotować do rejsu arkę Noego. Pamiętam, jak to wyglądało w sklepie moich rodziców za starych dobrych czasów. Jednego dnia życie jest spokojne i zorganizowane, a następnego wpada do ciebie horda dzikich zwierząt, które musisz nakarmić i oporządzić.

Clare parsknęła śmiechem.

— Jesteś taka zabawna, Lex... — Wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła dłoń przyjaciółki. — Ogromnie się cieszę, że wróciłaś do domu.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Wstawał świt, gdy Clare jechała na rowerze do Swaińs Wharf. Nosiła rękawiczki, wełnianą czapkę i ciepłą kamizelkę, bo wiosenne noce i poranki wciąż były chłodne. W ciągu dnia, szczególnie kiedy pracowała jak szalona w sklepie, było jej ciepło tylko w dżinsach i koszulce z długim rękawem.

Marle— ne przychodziła dopiero o dziewiątej, gdy otwierały sklep, ale do tego czasu Clare miała jeszcze tyle pracy, że nie mogła spać ze zdenerwowania. Pocieszała się myślą, że dzięki pomocy starszej, wesołej Marlene uda im się zdążyć ze wszystkim na czas.

Rower podskakiwał na bruku Commercial Street. Clare przyhamowała, przejechała przez wąską alejkę pod drzwiami Sweet Hart's, przeprowadziła rower na tyły budynku i przypięła go. Zaledwie kilka metrów dalej w pierwszych promieniach słońca migotały wody przystani. Łodzie przeróżnej wielkości i kształtów kołysały się leniwie wzdłuż mołu, po plaży dreptały kaczki, mewy zrzucały kraby na deski pomostu, a potem zlatywały, by wydobyć śniadanie z popękanych skorup.

Gdy otworzyła tylne drzwi sklepu, zauważyła, że w oknach sąsiedniego lokalu pali się światło. Więc Lexi też zjawiała się wcześniej w swoim sklepie, choć przecież nie musiała wybierać się daleko — wystarczyło zejść z góry, z jej mieszkania na piętrze. Clare miała nadzieję, że przyjaciółka zdąży z otwarciem sklepu na następny dzień. Kiedy spytała ostatnio Jessego, jak idzie mu praca u Lexi, odparł opryskliwie, że mogłoby być lepiej, i że musi tam jeszcze wrócić. Okna wciąż zaklejone były szarym papierem, a nad drzwiami brakowało szyldu.

Clare była ogromnie ciekawa, jakie rzeczy będzie sprzedawać Lexi. Nie zastanawiając się, zapukała do tylnych drzwi jej lokalu.

Po chwili drzwi uchyliły się tylko na tyle, by Lexi mogła wyjrzeć na zewnątrz. Była ubrana w czarne legginsy i długą białą koszulę poplamioną farbami. Włosy spięta niedbale z tyłu głowy, a pod oczami miała ciemne obwódki.

— Clare! — Lexi wyszła na zewnątrz; ziewając, przecierała oczy. — Pracowałam całą noc, uwierzysz w to?

— Uda ci się dzisiaj otworzyć?

— Nie, dopiero jutro, ale to wystarczy; większość ludzi przyjeżdża dopiero w piątek, prawda? Muszę jeszcze poprawić parę drobiazgów. — Spojrzała nieśmiało na Clare. — Chcesz zobaczyć?

— Nie mogę się doczekać!

Lexi objęła się ramionami i przez moment biegła w miejscu.

— Och, jestem taka zdenerwowana, taka podniecona! Przejdź do frontowych drzwi. Chciałabym, żebyś zobaczyła to tak jak zwykły klient.

Wróciła do sklepu, a Clare obeszła budynek.

Lexi otworzyła szeroko frontowe drzwi:

— Ta da!

Clare weszła do środka i otworzyła szeroko usta.

— A niech mnie...

Wnętrze sklepu wyglądało jak letni raj z sennych marzeń. Ściany były pokryte kolorowymi pejzażami, przedstawiającymi turkusowe morze, złoty piasek i błękitne niebo. Pod sufitem wisiały dzwoneczki wietrzne i kolorowe muszle, które kołysały się leniwie w bryzie wpadającej przez drzwi. Na półkach zawieszonych wzdłuż dwóch dłuższych ścian leżały ubrania w różnych odcieniach błękitu, zaś pośrodku sklepu stały półkoliste gabloty, w których pyszniła się lśniąca biżuteria. Na wysokim wiklinowym regale znalazło się miejsce dla pashmin, jedwabnych chust, torebek, pasków i akcesoriów do włosów. Na ścianach wisiały zdjęcia plaż w złotych ramach, przy czym na każdym piasek miał inny odcień złota lub bieli. Na plaży stała samotna kobieta okryta luźną, romantyczną szatą z błękitnego jedwabiu.

Clare przyłożyła dłoń do piersi.

— Lexi! To jest bajeczne! Magiczne!

— Cieszę się, że właśnie tak to odbierasz! Chciałam, żeby wydawało się magiczne. Ach, i spójrz na to!

Sięgnęła za ladę przy wejściu i wyjęła zza niej szyld, deskę w kształcie wydłużonej spirali. Na kremowym tle widniały złote litery ułożone w napis:

„Księżycowa Plaża”.

— Strasznie ciężkie. Muszę poprosić Jessego, żeby to zawiesił.

— Księżycowa Plaża? — Clare zmarszczyła brwi.

— Tak! Cudowne, prawda? Wszystko tu jest częścią Księżycowej Plaży, wszystkie ubrania — sarongi, bluzki, krótkie spódniczki, długie spódnice, wszystko. Wszystkie są w kolorach morza, nieba i plaży, a do tego... zobacz sama, co wymyśliłam! — Podniosła turkusową spódnicę okrytą chustą z lawendowej gazy o brzegach obszytych maleńkimi srebrnymi muszelkami. — Na każdym ubraniu w tym sklepie jest gdzieś srebrna muszelka. — Sięgnęła po koronkową haleczkę leżącą na wiklinowym regale. Do lewego ramiączka była przyszyta wąska jedwabna wstążka z maleńką srebrną muszelką.

Clare, oszołomiona, dotknęła metki z ceną przyczepioną do halki.

— Sto pięćdziesiąt dolarów? — jęknęła.

Lexi starannie złożyła ubranie i odłożyła na regał.

— Tak, wszystko tu jest wyjątkowe, Clare. Uszyte z najlepszych materiałów, w większości ręcznie. No i te srebrne muszelki...

Clare zdjęła z wieszaka błękitny kaftan, wyszywany bogato srebrną nicią, zdobiony na brzegach kolorowymi paciorkami, kamieniami i muszelkami. Cena kaftana wynosiła równy tysiąc dolarów.

— Chyba żartujesz...

— Clare, większość kobiet, które przyjeżdżają tutaj latem, może zapłacić takie pieniądze. A dla innych mam drobniejsze, tańsze rzeczy — ta torba plażowa kosztuje tylko pięćdziesiąt dolarów. A za trzydzieści możesz kupić małe pudełeczko ze srebrnego jedwabiu, ze srebrną muszelką na wierzchu. Wydaje mi się, że to nie jest wygórowana cena za ładną pamiątkę, którą można zabrać do domu, albo podarować przyjaciółom.

Clare spojrzała na maleńkie pudełeczko. Przeciągając palcami po wyszywanej koralikami koszuli w arabskim stylu, powiedziała:

— Nie mogę uwierzyć, że nazwałaś sklep Księżycowa Plaża. — Spojrzała gniewnie. — Gówniany pomysł.

Lexi wyglądała tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek, — Nie podoba ci się?

— Lexi, to była nasza plaża. Nasze sekretne miejsce z czasów dzieciństwa. To była nasza nazwa, twoja i moja. — Pokręciła ze złością głową. — Po prostu nie mogę uwierzyć, że sobie ją przywłaszczyłaś.

— Ależ Clare, nie rozumiesz? To miał być... rodzaj hołdu złożony naszej przyjaźni. Naszym cudownym słonecznym latom, wolności i szczęściu!

Clare miała ochotę powiedzieć Lexi, gdzie może sobie wsadzić ten hołd.

— To ty nic nie rozumiesz, Lexi. Czuję się okradziona, skrzywdzona.

Zabrałaś coś cennego, coś osobistego i wykorzystałaś to jako chwyt reklamowy! I po co? Dla pieniędzy! Och, co za perfidia, co za podłość!

Oczy Lexi były pełne łez.

— Clare, nie chciałam, żebyś tak to odebrała. Myślałam, że będziesz zadowolona. Naprawdę, byłam o tym przekonana.

Clare zgromiła ją wzrokiem.

— Zadowolona, że zarabiasz na czyichś wspomnieniach z dzieciństwa.

— To także moje wspomnienia!

— Jasne. Cóż, Lexi, teraz to już tylko twoje wspomnienie. Powodzenia.

Clare obróciła się na pięcie i wypadła ze sklepu. Drżącymi rękami otworzyła drzwi frontowe swojego lokalu, jej małego sklepiku, który sąsiadował z pieprzoną Księżycową Plażą, sklepiku, w którym przeciętna transakcja nie przekraczała trzydziestu dolarów. Lexi mogła zarobić na jednym kaftanie więcej niż Clare przez cały dzień. Jednak nie to najbardziej jej dopiekło, większy ból sprawiła jej sama idea sklepu Lexi. Przywłaszczyła sobie jedno z jej najcenniejszych wspomnień; zupełnie jakby ukradła jej sporą część dzieciństwa.

Wyszła do kuchni. Z trudem hamowała łzy. Zaczęła przygotowywać się do pracy, umyła ręce, wyjęła cukier. Spojrzała na recepturę, którą ostatnio udoskonaliła, nie mogła się jednak skupić, nie mogła opanować drżenia rąk.

Księżycowa Plaża.

Znieruchomiała, tknięta nagłą myślą. Właściwie to był genialny pomysł.

Ten sklep stanowił kompletny, zamknięty świat. Każdy, kto do niego wchodził, czuł się tak, jakby zrobił sobie na moment wakacje od rzeczywistości. Dlaczego zareagowała tak dziecinnie? No dobrze, przyznała przed sobą, może po prostu zszokowała ją niezwykła kreatywność Lexi. Na pewno zaskoczyła niezwykła atmosfera sklepu. Czowała zazdrość? Nie, raczej onieśmienie. Te ubrania były drogie, poza jej zasięgiem. Ale nie chodziło tylko o pieniądze. Lexi ją skrzywdziła, przywłaszczając sobie ich sekretną nazwę. Choć przecież nie można rościć sobie praw własności do wspomnienia.

Zirytowana własnymi myślami, sięgnęła po telefon i wybrała numer Penny. Gdy

przyjaciółka odebrała, Clare rzuciła do słuchawki:

— Cześć, dzwonię tak tylko pogadać. Jak tam Mikey?

— Och, Clare, nie mogę rozmawiać, za chwilę wychodzimy na zajęcia grupy teatralnej.

— W tle było słycać gaworzenie Mikeya.

— Grupy teatralnej? On może grać? Przecież ma dopiero osiem miesięcy!

— Głównie wszyscy leżą na kocach i gapią się na siebie, ale Mikey uwielbia przebywać w towarzystwie innych maluchów. Jest tam też pewna dziewczynka, wyciąga do niego rękę i dotyka go, a on wrzeszczy z radości, gdy tylko ją zobaczy. Dobra, zadzwonię później. — Penny zakończyła rozmowę.

Clare zmusiła się do pracy. Próbowwała dojść do równowagi, szukała wytchnienia w znajomych ruchach, nalewaniu i mieszaniu, wciąż jednak czuła się roztrzęsiona i zła na samą siebie. Szczerze się ucieszyła, gdy na dole trzasnęły drzwi, a na schodach rozległy się kroki Marlene.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Cześć! — Marlene wtoczyła się do kuchni, wnosząc ze sobą powiew świeżego powietrza i porcję radosnej energii. — Hej, co się dzieje? Jesteś przeziębiona?

Clare przeczesła dłonią włosy i podrapała się po głowie, próbując wrócić na dobre do rzeczywistości.

— Cześć, Marlene. Nic mi nie jest. Mam tylko jakieś małe zaciemnienie umysłu.

Marlene powiesiła kurtkę i umyła ręce w zlewie.

— No dobrze, więc co mamy dziś w planie?

— Na początek trufle. — Spróbowała skupić się na pracy. Tym razem pomogła jej obecność Marlene. Wspólnie zabrały się do przyrządzania masy czekoladowej.

Przez kilka godzin Clare pochłonięta była bez reszty pracą, lecz późnym popołudniem czuła się dziwnie podminowana i niespokojna, jakby dręczyła ją gorączka. Kilka razy zerkała na Marlene i zastanawiała się, czy nie pogadać z nią o wszystkim, co ją gryzło, lecz jej pomocnica była urodzoną plotkarką, wkrótce całe miasteczko wiedziałoby o jej rozterkach.

— Skończymy na dzisiaj — powiedziała. — Możesz iść do domu, ja pozmywam.

— Na pewno?

— Tak, dam sobie radę. Zobaczymy się jutro.

— Super, dzięki! Dziś taki ładny dzień, że już nie mogę się doczekać, kiedy wyjdę na zewnątrz.

Ładny dzień? Clare uświadomiła sobie, że była zbyt zaabsorbowana swoimi myślami, by choć raz wyrzucić za okno. Teraz to zrobiła i przekonała się, że świat rzeczywiście wygląda pięknie. Włożyła sweter i wyszła prosto w słoneczne popołudnie. Przystanęła przy drzwiach do sklepu Lexi.

Księżycowa Plaża. Ten sklep był światem ze snów.

Wcisnęła ręce w kieszenie spodni i ruszyła powoli w stronę plaży. Próbowwała po raz kolejny tego dnia przeanalizować i zrozumieć swoje emocje.

Czuła się tak, jakby Lexi coś jej ukradła. Jakby ich wspólna, dziecięca fantazja znaczyła dla niej tak mało, że gotowa była sprzedać ją światu. Jednak to właśnie ona, Clare, dorosła przed laty pierwsza i odeszła z ich sekretnego zakątka.

Dotarła do molo, przystanęła na chwilę i rozejrzała się dokoła. Na horyzoncie było widać kilka żaglówek, jakiś rybak płynął motorówką w stronę przystani. Z warsztatu szkutniczego Trisa Chandlera dochodziły jakieś głosy i warkot silników. Tris. Miała nadzieję, że jednak żyje. Cuda się zdarzają, ludzie odzyskują pamięć albo wybudzają się ze śpiączki. Niewykluczone, że został ranny, kiedy tonęła jego łódź, i leżał teraz w szpitalu, gdzie powoli wracał do zdrowia. Clare odmówiła szeptem krótką modlitwę za Trisa i za Jewel.

Jewel Chandler siedziała na skraju molo, drobna, dzielna dziewczynka o płomiennorudych włosach Lexi siedziała obok niej — grały w karty. Jewel krzyknęła triumfalnie, a Lexi roześmiała się. To było naprawdę miłe z jej strony, że spędzała tyle czasu z dziewczynką. Kiedy Clare pomyślała o tym, ogarnął ją nagle smutek. Dlaczego Lexi to robiła? Dlaczego siedziała na molo z dzieckiem i czekała na niemożliwe, na człowieka, który niemal z całą pewnością zginął na morzu? Czy Lexi była od niej po prostu lepsza?

Czy też miała w sobie więcej wiary i nadziei?

Ruszyła przed siebie, zatopiona w niewesołych rozmyślaniach. Lexi musiała się wykazać sporą odwagą, by opuścić wyspę i wyjść za Eda Hardina, a jeszcze większą, by tu wrócić i otworzyć własny interes. Zupełnie jakby odpływała od bezpiecznego brzegu, wypuszczała się na morze w nadziei, że prąd nie wciągnie jej pod wodę, że fale poniosą ją ze sobą, dostarczą tych fenomenalnych, zapierających dech w piersiach wrażeń, których nie można doświadczyć nigdzie indziej. Takie całkowite zawierzenie, oddanie się falom zawsze było ryzykowne.

Lexi jakoś potrafiła się na to zdobyć. A ona?

Czy ona była w stanie odejść od Jessego?

Miał wrodzony wdzięk, którego nic nie mogło go pozbawić. Clare naprawdę go kochała. Jednak w ciągu ostatnich kilku lat ta miłość się zmieniła. Jesse stał się dla niej wyzwaniem, nieustanną walką. Kiedy spał z kimś innym, czuła się zdradzona, przegrywała. Kiedy wracał, triumfowała. Jakie to smutne. Nie chciała spędzić w ten sposób reszty życia.

Miała prawie trzydzieści lat. Zainwestowała już tyle czasu, emocji i cierpliwości w seksownego Jessego Graya, a oboje przecież nie stawali się młodszy. Już czas, by się ustatkowali i dochowali się dzieci. Dziecko Jessego byłoby chyba najśłodszym bobasem na świecie! Pragnęła stabilizacji, pragnęła zostać mamą, jak większość jej przyjaciółek w tym wieku, i była już tak blisko poślubienia Jessego, tak blisko macierzyństwa — czy naprawdę, mogła z tego zrezygnować?

Nie chciała zranić Jessego. Lecz w głębi duszy przypuszczała, że nawet jeśli go opuści, Jesse jakoś sobie z tym poradzi. Po dramatycznych oświadczeniach, od których upłynęły już prawie dwa lata, nie wspominał ani razu o dacie ślubu i niemal dostawał wysypki na każdą wzmiankę o dzieciach.

Miał w sobie dużo z dziecka, tylko dzięki jej opiece wiódł przykładne i uczciwe życie. Była treserem zwierzaka uwięzionego w klatce; nawet jeśli mruczał rozkosznie pod jej łagodnym dotykiem, to czy nie pragnął wyrwać się na wolność? Co byłoby najlepszym rozwiązaniem dla Jessego?

I Adam. Będąc z Jessem, zawsze czuła się niespokojna, próbowała odgadnąć z wyprzedzeniem, co sprawi mu przyjemność, co zatrzyma go przy niej. Przy Adamie odzyskiwała spokój, jakby wróciła po długiej podróży do domu.

Czy to dlatego, że był jej pierwszą, dziecięcą miłością? Czy ożywiała stare uczucia i emocje?

Nie. Sposób, w jaki jej ciało reagowało na jego widok, na jego głos i dotyk, który dosłownie zapierał jej dech w piersiach — to nie wspomnienie z dzieciństwa. Wszystko to działo się tu i teraz, było całkowicie rzeczywiste i porażające.

Clare spojrzała na wody przystani lśniące w popołudniowym słońcu.

Pomyślała, że kiedy jest z Adamem, czuje takie samo fizyczne przyciąganie, jakiego musi doświadczać ocean przyciągany przez księżyc. Lecz czuła również coś jeszcze. Adam był nie tylko zmysłową siłą pływów, ale też bezpieczeństwem gościnnego brzegu.

Jesse z kolei był czaplą, pięknym wolnym ptakiem, zbyt dzikim, by zatrzymać się na dłużej na ładzie, zbyt niespokojnym, by zamieszkać w jednym miejscu.

Być może Adam jej nie kochał. A może jednak coś do niej czuł, ona zaś mogła uwolnić Jessego i samą siebie.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Jesse złożył serwetkę, rozsiadł się wygodniej na krześle i poklepał po brzuchu.

— Kochanie, twój stek jest bezkonkurencyjny.

Przeciągnął się z rozkoszą, podniósł nogi, oparł je na sąsiednim krześle i ziewnął.

Clare uśmiechnęła się pod nosem. Czuła się przedziwnie w ciągu ostatnich dwóch godzin, jedząc kolację z tym człowiekiem, i wiedziała, że kiedy już nic nie zostanie na talerzach, powie właśnie to:

— Dziękuję, Jesse. Cieszę się, że ci smakowało. Mam ci coś do powiedzenia i chciałabym, żebyś czuł się... swobodnie podczas tej rozmowy.

— O kurczę... — Spojrzał na nią nieufnie. — O co znowu chodzi?

Drżały jej ręce. Po powrocie z plaży chciała zrobić to od razu — czuła się niemal tak, jakby już to zrobiła i gotowa była uczynić następny krok, lecz Jessemu należała się odrobina szacunku i poważna, uczciwa rozmowa.

Ojciec siedział przed telewizorem, drzwi do salonu były zamknięte, a Ralphie leżała przy stole. Clare zsunęła z palca pierścioneł i położyła go na blacie.

— Jesse, zrywam nasze zaręczyny.

Patrzył na nią tak, jakby włożyła sobie toster na głowę.

— Zrywam z tobą, Jesse. Na dobre. Nie chcę za ciebie wychodzić i nie chcę być twoją narzeczoną. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, ale...

Z hukiem opuścił nogi na podłogę.

— Clare! O czym ty mówisz? Nie zdradziłem cię, odkąd się zaręczyliśmy!

Odpowiedziała cicho:

— Kochanie, nie chodzi o twoje wysoki. Chodzi o mnie i o to, co do ciebie czuję. Jesse, kocham cię...

— Więc w czym problem?

— ...ale uświadomiłam sobie, że ta miłość się zmieniła, kocham cię, jakbyś był moim bratem albo przyjacielem.

— Przyjacielem, przy którym krzyczysz w łóżku z rozkoszy.

— Tak, to prawda. Ale oczekuję od małżeństwa czegoś więcej, Jesse.

Pragnę miłego, stabilnego, nudnego małżeństwa z dwójką dzieci i bez żadnych dramatów. A ty, cóż, przede wszystkim chcesz podróżować.

— Jasne, rozumiem. Rozmawiałaś z Lexi. — Zgniół serwetkę w kulkę i rzucił na stół. — Namieszała ci w głowie.

— Jesse, to nie ma nic wspólnego z Lexi. Sam powiedziałeś, że nie chcesz psa, bo to utrudni podróżowanie.

— Och, daj spokój, Clare, człowiek może sobie czasem pomarzyć, prawda?

— Oczywiście, i chcę, żebyś miał swoje marzenia, Jesse. Żebyś podróżował. Ale ja chcę zostać tutaj, wyjść za mąż i mieć dzieci. A ty o tym nie marzysz. Nigdy o tym nie marzyłeś.

Zmarszczył brwi i potarł czoło.

— Clare... — Milczał przez chwilę, szukając właściwych słów. — Kocham cię. Jesteśmy ze sobą przez całe nasze dorosłe życie.

Skinęła głową.

— To prawda. Jeśli nie liczyć tygodni — miesięcy — kiedy sypiałeś z kimś innym.

— To już zamknięty rozdział. Wiesz o tym. Myślałem, że to zrozumiałaś. Nie wiem, co mam zrobić, żeby cię przekonać, Clare. Nie mogę wymazać przeszłości. Nie mogę cofnąć tego, co zrobiłem. Nie mogę... — Zaciskał mocno dłonie, poruszony.

— Uspokój się. Nie mówię o przeszłości. Nie mówię nawet o seksie.

Mówię o tym, czego chcę od życia. Czego chcę na resztę mojego życia.

Stanowczy ton, jakim wypowiedziała te słowa, sprawił, że Jesse wziął głęboki oddech.

— Znaczy, że ja nie jestem tym, czego chcesz na resztę życia.

Wyglądał teraz jak mały chłopiec, słodki, niewinny, wrażliwy chłopiec, który nie może zrozumieć, dlaczego rodzice nie chcą kupić mu szczeniaka.

— Tak, Jesse. Właśnie to mam na myśli. Nie jesteś tym, czego chcę na resztę życia. Nie chcę za ciebie wychodzić.

— Nie chcesz mieć ze mną dzieci.

Clare wciągnęła głośno powietrze. Oczywiście Jesse znał jej słaby punkt. Gdzieś w głębi jej umysłu pojawił się obraz ślicznego, niebieskookiego dziecka Jessego, marzenie, które pielęgnowała od lat.

— Och, Jesse. — Z tym najtrudniej było jej się rozstać, z obrazem samej siebie trzymającej na rękach synka lub córeczkę Jessego. Łzy napłynęły jej do oczu.

Jesse zerwał się z krzesła, podszedł do Clare, uklęknął przy niej i objął ją mocno. Ralpie usiadła prosto, czujna i zaniepokojona. Obserwowała Clare wielkimi, psimi ślepiami.

— Clare... — Zdesperowany, niemal nią potrząsnął. — Clare. Posłuchaj, chodźmy do sypialni i zrobmy to dziecko już teraz, od razu.

Clare przełknęła ciężko.

— Jesse, skarbie, nie. — Czuła się tak, jakby tłumaczyła podstawy matematyki dwulatkowi. — Gdybyśmy chcieli mieć dziecko, pobrać się i żyć razem, już dawno byśmy to zrobili. A nie zrobiliśmy.

— Bo odkładaliśmy pieniądze!

Mówiła dalej, jakby go nie słyszała.

— I dobrze, że tak się stało, bardzo dobrze, bo kochamy się, zależy nam na sobie, ale nie powinniśmy się pobierać.

Jesse wstał i zaczął chodzić nerwowo po kuchni, tupiąc przy tym głośno.

— Powiedziałaś właśnie, że się kochamy!

— Tak, Jesse, kochamy się. Ale to nie znaczy, że chcemy być małżeństwem. Pomyśl o tym tylko, proszę. Pomyśl.

— Wiesz, co ja myślę, Clare? Że oszalałaś.

Wydmuchała nos, odgarnęła włosy z twarzy, odsunęła krzesło i wstała.

Położyła dłonie na ramionach Jessego i spojrzała mu prosto w oczy.

— Popatrz na mnie, Jesse. Jestem trzeźwa i jestem zdrowa na umyśle.

Kocham cię jak najdroższego, najwspanialszego przyjaciela. Ale wiem, że nie jestem

kobietą, którą powinieneś poślubić, a ty nie jesteś mężczyzną, który powinien zostać moim mężem.

Przyglądał się jej w milczeniu. Skupiał się wyłącznie na niej. W jego niebieskich oczach pojawiły się łzy.

—Do diabła, Clare, to okropne. To takie... zagmatwane.

Pogładziła go czule po twarzy, wiedząc, że prawdopodobnie po raz ostatni dotyka go w tak intymny sposób.

— Wiem, kochanie. Ale zrozumiesz to. I poradzisz sobie z tym. Oboje sobie poradzimy. Będzie dobrze. Lepiej niż dobrze. Kiedy jutro się obudzisz, poczujesz się wolny.

Pokręcił głową, a potem przechylił tak, że jego usta dotykały jej dłoni.

Pocałował ją. Pozwoliła na to. Patrzyła na niego ze słodko—gorzką czułością.

— Chcesz pójść do łóżka? — spytał.

Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

— Jesse, jesteś beznadziejny!

— To znaczy, że nie chcesz iść do łóżka?

Odsunęła się od niego, wciąż uśmiechając się pod nosem.

— Nie chcę iść do łóżka.

Oparł dłonie na biodrach i zmierzył ją gniewnym spojrzeniem.

— Sypiasz z kimś innym.

— Nie, Jesse. Przysięgam.

— Cholera...

Clare aż podskoczyła, zszokowana, gdy odwrócił się nagle i walnął pięścią w ścianę. Filiżanki i łyżeczki w kuchni zabrzęczały głośno, jakby dając wyraz oburzeniu.

— Co my teraz zrobimy, Clare?

Wzruszyła ramionami.

— Pójdiesz do swojego domu, ja zostanę tutaj. Położymy się spać. Jutro możesz przyjść pod moją nieobecność i zabrać swoje rzeczy. Będę pracować. Ty też będziesz pracować. Jeszcze przed wieczorem ustawi się do ciebie kolejka piętnastu kobiet pragnących cię pocieszać w łóżku.

— Nie chcę piętnastu innych kobiet, Clare. Chcę ciebie.

— Wiem, że tak teraz myślisz, Jesse. Ale daj sobie trochę czasu. To dobre rozwiązanie dla nas obojga. Z pewnością dla mnie.

Pies deptał jej po piętach, zdenerwowany, gdy pchała Jessego do drzwi.

Wcześniej przypuszczała, że będzie po tej rozmowie wykończona, tymczasem czuła się dziwnie podekscytowana, naładowana energią. Teraz, gdy już zerwała z Jessem, chciała jak najszybciej otworzyć nowy rozdział swojego życia. Chciała, by już poszedł.

— Zadzwoń do ciebie jutro, sprawdzę, czy nie zmieniłaś zdania.

— Nie zmienię zdania. — Niemal musiała wypchnąć go siłą za drzwi.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Telefon zadzwonił, gdy Lexi wyszła spod prysznica. Zastanawiała się przez moment, czy odbierać. Było już późno, a ona czuła się wykończona.

Mimo wszystko... Podniosła słuchawkę.

— Cześć, Lexi, mogę wpaść do ciebie? Mam ciekawą wiadomość. — Głos Clare wydawał się ciepły, przyjazny, wręcz radosny.

Lexi była zdezorientowana.

— Cóż, nie wiem, co powiedzieć, Clare...

— Och, Lexi, strasznie cię przepraszam za tę poranną scenę, to niewybaczalne z mojej strony, choć oczywiście mam nadzieję, że jednak mi wybaczysz. Posłuchaj, bardzo mi się podoba nazwa twojego sklepu. Ale nie o tym chciałam pogadać.

— A o czym chciałaś pogadać? — spytała Lexi nieufnie.

— Och, Lexi, pozwól mi wpaść do ciebie!

— Dobra, przychodź. Zaparzę kawę.

— Nie. Ja przyniosę szampana.

— Jesteś w ciąży.

— Ha! Pudło. — Clare roześmiała się melodyjnie.

— Pobraliście się z Jessem w tajemnicy. — Lexi uśmiechała się mimowolnie, zarażona entuzjazmem Clare. Ta rozmowa przypominała jej dzieciństwo, gdy miały sobie tyle do powiedzenia, że nie mogły odłożyć słuchawek, by spotkać się gdzie indziej.

— Zimno. Coraz zimniej. Koniec ze zgadywaniem. Już do ciebie idę!

Lexi włożyła białą koszulkę z długim rękawem i kraciaste męskie bokserki. Przez chwilę próbowała doprowadzić do porządku swoje mieszkanie/biuro/magazyn, ale poprzestała na zdjęciu pudeł z wieszakami z foteli przy oknie. Na zewnątrz zapadła już ciemność, gwiazdy lśniły na niebie niczym latarnie na niewyobrażalnie olbrzymim oceanie. Nie miała pojęcia, co chce powiedzieć jej Clare, lecz radość bijąca z jej głosu była naprawdę zaraźliwa.

Zobaczyła, jak furgonetka Clare zatrzymuje się na ulicy i zbiegła na dół, do tylnego wyjścia. W tym samym momencie usłyszała pukanie.

Otworzyła szeroko drzwi.

— Wchodź.

Przyjaciółka nawet nie spojrzała na sklep, lecz popędziła prosto na górę, do mieszkania Lexi. W rękę trzymała butelkę szampana.

— Kieliszki?

Lexi ogarnęła szerokim gestem zagracony pokój.

— Muszą nam wystarczyć szklanki na sok. Jeszcze nie rozpakowałam pudeł ze szkłem.

— Świetnie. Doskonale.

Clare wyjęła korek i przytrzymała butelkę nad zlewem, gdy wypłynął spieniony płyn.

Lexi gapiła się na nią ze zdumieniem. Gdyby nie widywała już Clare wcześniej w takim stanie, martwiłaby się o jej zdrowie psychiczne. W milczeniu podała jej szklanki i czekała.

Clare naląła szampana i podniosła szklankę do toastu.

— Zerwałam z Jessem.

Lexi omal nie padła z wrażenia.

— Nie wierzę.

— Uwierz. Zrobiłam to. I wiesz co... Czuję się taka szczęśliwa! Taka wolna!

Lexi przygryzła wargę.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Nie wiem, Lexi. Złożyło się na to sporo różnych rzeczy. Na pewno Adam: i przysięgam na wszystkie świętości, że jeśli wspomnisz o tym Adamowi, nie odezwę się do ciebie do końca życia. Cokolwiek zajdzie między mną i Adamem, nie wolno ci się do tego wtrącać,

rozumiesz?

Lexi oparła się o blat kuchenny.

— Oczywiście. Nic mu nie powiem.

— No dobrze, więc wracając do tematu, po pierwsze, chodzi chyba o Adama. Kiedy jestem przy nim, czuję się cudownie, doświadczam jakichś niezwykłych emocji, czystych i przyjemnych. Może nic się między nami nie wydarzy, ale dzięki Adamowi uświadomiłam sobie, jak trudny i męczący jest mój związek z Jessem. Jak bardzo boli mnie dusza od tego ciągłego napięcia, od utrzymywania Jessego na jakiejś niewidzialnej smyczy. To nie było dobre ani dla mnie, ani dla niego. — Clare nie mogła ustać w miejscu.

Gestykulowała wolną ręką, chodziła po pokoju. — Po drugie, wpłynął na moją decyzję także twój powrót. Nie wiem, może kiedy dowiedziałam się, że odeszłaś od męża, i zobaczyłam, że jesteś szczęśliwa i pełna optymizmu, że zaczynasz wszystko od nowa, że zdajesz się na łaskę losu... Pomyślałam, że ja też mogę to zrobić! Że chcę to zrobić!

— Możesz zostać sama — ostrzegła ją Lexi.

— Wiem o tym. Ale nie będę przez całe życie zmuszać Jessego do odgrywania roli, której wcale nie chce odgrywać.

— Więc powiedziałaś mu?

— Dziś wieczorem. Po kolacji.

— Jak to przyjął?

— Był zaskoczony, oczywiście. Zdezorientowany, trochę zły. Ciągłe myślał, że podejrzewam go o sypianie z kimś innym.

Lexi pochyliła się, by podnieść kawałek foli z podłogi.

— A rzeczywiście z kimś sypia? — Ze wstydem pomyślała o pocałunkach Jessego i swojej reakcji.

— Przysięga, że nie, ale to nie ma teraz znaczenia. Nie dlatego z nim zerwałam.

Lexi wyprostowała się i spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

— Clare, wiesz, jaki jest Jesse. Jak się będziesz czuć, gdy rzeczywiście zaczniesz sypiać z innymi? Kiedy zaręczy się z kimś innym? Kiedy ożeni się z jakąś inną kobietą, a wszyscy będziecie mieszkać na tej samej wyspie i widywać się codziennie? — A jeśli Jesse i ja zwiążemy się ze sobą — dodała w duchu, szybko jednak odsunęła od siebie tę myśl. To nie była właściwa pora na takie rozważania.

Clare niemal unosiła się nad podłogą.

— Lexi, naprawdę nie mam z tym żadnego problemu. Trudno mi to wytłumaczyć, czuję się tak, jakby ktoś nagle zdjął mi z oczu ciemne okulary albo raczej zdjął z ramion ogromny ciężar. Chcę, żeby Jesse był szczęśliwy.

Nie mam do niego żalu, nie życzę mu źle. Wiem, że znajdzie kogoś innego i pewnie ożeni się z kimś innym, ale jeśli nawet miałabym zostać starą panną, mieszkać tylko ze swoim psem i obżerać się czekoladkami, wolałabym takie życie niż małżeństwo z Jessem.

— Stare panny mieszkają z kotami — przypomniała Lexi.

— Słusznie! — Clare podniosła kieliszek. — Co znaczy, że pewnie jednak nie będę starą panną.

— Nie. — Lexi mówiła powoli, starannie dobierając słowa. — Może powinnaś poczekać jeszcze parę dni ze świętowaniem. Ochłonąć z emocji.

Może zrozumiesz, jak bardzo ci go brakuje. Jak bardzo go kochasz.

—Dobrze wiem, jak się czuję! Jestem szczęśliwa. Jestem wolna. Zaczynam od początku.

- To bardzo odważne posunięcie. Ale działaj powoli — radziła Lexi.
- Ostatnio wydajesz się zbyt... wybuchowa.
- Och, Lexi! — Tupnęła nogą, zniecierpliwiona. — Napij się ze mną.
- Stuknęła w jej szklanę. — Za przyszłość.
- Za przeszłość — powtórzyła cicho Lexi.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Obudziła się z lekkim kacem. Było już dobrze po północy, gdy Clare wreszcie ją zostawiła, zeszła roześmiana po schodach i zniknęła w ciemnościach nocy. Lexi padła na łóżko w ubraniu i natychmiast zasnęła. Teraz słońce zaglądało do okien niczym jakiś rozgniewany stróż. Minęła już dziesiąta. Zwlokła się z łóżka i wzięła długi, gorący prysznic, pozwalając, by woda wybiła jej z głowy dokuczliwy ból. Rozmyślała też o wizycie Clare.

Przyjaciółka była szczęśliwa, niemal znudzona tematem Jessego, wróciły więc do wspomnień z dzieciństwa i śmiały się jak małe dziewczynki, gdy opróżniły już butelkę.

Pamiętasz, jak udawałyśmy, że jesteśmy z CIA i zostawiałyśmy sobie wiadomości w książkach w bibliotece? A pamiętasz, jak zakleiliśmy Harsh Marsh szufladę w biurku?

Wyszła spod prysznica, wytarła się i osuszyła ręcznikiem włosy. Wypiła dwie filiżanki mocnej kawy i zjadła tost z masłem orzechowym. Wiedziała, że nie uda się otworzyć tego dnia sklepu; zostało jeszcze zbyt wiele rzeczy do zrobienia. Odszukała listę i przejrzała ją szybko. W kabinach trzeba zamocować wieszaki — po cztery w każdej — i drążki na zasłony. Uda jej się zrobić to samodzielnie? W domu gotowa byłaby się podjąć takiego zadania, ale w sklepie wszystko miało być zrobione idealnie. Musiała też zamocować szyld nad frontowymi drzwiami, a z tym nie poradzi sobie sama. Jesse mówił, że wróci dokończyć pracę... Powinna do niego zadzwonić? Będzie pewnie zakładał, że Clare powiedziała jej o rozstaniu...

Uzmysłowiła sobie, że stoi beczynn timer i wpatruje się w przestrzeń. Miała jeszcze milion innych rzeczy do zrobienia. Nie będzie tracić czasu na rozmyślanie o Jessem Grayu.

Przez cały dzień rozpakowywała paczki z ubraniami, uzupełniała spis towaru, prasowała, szyła i układała. Od czasu do czasu widziała przez okno ludzi wchodzących do Sweet Hart's i uśmiechała się pod nosem, wyobrażając sobie, jak Clare fruwa po sklepie, uskrzydłona nagłym przyływem energii.

Nawet nie myślała o Jessem, kiedy zadzwonił telefon, a Jesse powiedział:

— Jestem na dole, pod twoimi drzwiami.

Było późne popołudnie. Wyglądał na zmęczonego, miał przepoconą koszulę, buty oblepione wiórami i podkrążone oczy. Lexi wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, że powinna skupić się na sklepie, a nie na sprawach osobistych.

— Och, dzięki, że wpadłeś. Trzeba zawiesić szyld, przymocować haczyki i drążki na zasłony. Sporo roboty.

Skinął tylko głową i przeszedł na tył sklepu. Wcześniej oznaczył już miejsca, w których należało zamocować haczyki, uporał się więc z tym w ciągu kilku minut. Potem zajął się drążkami na zasłony, a na koniec wyszedł przed sklep i zawiesił nad drzwiami szyld z napisem „Księżycowa Plaża”.

Stanęli obok siebie na ulicy i spojrzeli na kremową tablicę.

— Wygląda nieźle — burknął Jesse.

— Całkiem nieźle — zgodziła się Lexi. Była to dla niej naprawdę wielka chwila, czuła się jednak zakłopotana, że zamiast skupiać się wyłącznie na sklepie, zerka nieustannie na przystojnego mężczyznę u jej boku. Ten facet po prostu emanował seksem. To musiała być kwestia jakiejś chemicznej substancji.

— Chcesz wznieść ze mną toast? — spytała lekkim tonem, choć po ostatnim wieczorze wzdrygała się na samą myśl o alkoholu.

Pokręcił głową.

— Ale dziękuję za propozycję.

Wrócił do sklepu i zabrał swój pas z narzędziami.

— Muszę ci jeszcze zapłacić.

— Przyślę rachunek.

— Tak, jasne, oczywiście. — Lexi pomachała bezradnie rękami. — Jesse... Clare mówiła mi, że się rozeszliście.

— Na pewno — odparł powoli Jesse, nie patrząc na nią.

— Pomyślałam tylko, że gdybyś kiedykolwiek... — Nie wiedziała sama, co właściwie chce mu zaofiarować. Pocieszenie? Oczyszczającą rozmowę?

Seks?

— Muszę iść, Lexi. — Ruszył do wyjścia, ocierając po drodze ramieniem o jej ramię.

Po jego wyjściu w sklepie zapadła cisza. Lexi wyszła na ulicę i spojrzała na szyld. Sweet Hart's był już pusty, na drzwiach wisiała plakietka z napisem „Zamknięte”. Oficjalne otwarcie Księżycowej Plaży miało nastąpić za dwa dni, w sobotę — w lokalnej gazecie pojawiło się już ogłoszenie z tą datą — ale Lexi zamierzała otworzyć sklep już nazajutrz, w piątek. Pomyślała, że rano będzie miała dość czasu, by zawiesić lawendowe i błękitne zasłony z jedwabiu, które miały zastąpić drzwi w przy— mierzalniach.

Przeszła przez sklep i znów wyszła na zewnątrz, tym razem tylnymi drzwiami.

Przez chwilę stała nieruchomo, wpatrzona w przystań. W mocnym, popołudniowym świetle woda wydawała się ciemniejsza, podniósł się też wiatr, gnał fale na piaszczysty brzeg. Mewy unosiły się nad molo, gdzie zrzucały muszle i kraby, by potem wydziobać ze środka miękkie mięso. Zastanawiała się, co robi Clare. I Jesse. Zobaczyła Jewel, która siedziała na skraju molo, w pełnym słońcu.

Zabrała ze sobą tubkę kremu z filtrem przeciwsłonecznym, zamknęła drzwi i przeszła przez plażę.

— Cześć, Jewel.

Twarz dziewczynki rozpromieniła się w uśmiechu.

— Dzień dobry, pani Laney!

— Mogę się przysiąść?

— Pewnie!

Lexi opadła na wygrzane słońcem deski obok dziewczynki.

— Przyniosłam ci coś. — Pokazała jej krem.

— Dziękuję, pani Laney, ale mam kapelusz. — Postukała palcem w słomiany kapelusz z opadającym rondem, który tkwił na czubku jej głowy.

— Jasne, ale co z rękami i nogami?

Nie zamierzała wygłaszać wykładu o raku skóry. Zakładała, że Bonnie Frost co rano smaruje córkę odpowiednim kremem. Lexi robiła to tylko na wszelki wypadek.

Jewel spojrzała na swoje chude nogi wystające z żółtych szortów. Były brązowe, lekko

przypieczone na krawędzi goleni.

— Tak, to chyba niegłupi pomysł. Dziękuję. — Wzięła od Lexi tubkę i posmarowała kremem nogi. — Przyjemne — stwierdziła. — Chłodne.

Lexi rozsiadła się wygodniej.

— Może warto też nasmarować ręce.

Jewel zastosowała się do jej rady.

— Pani nie jest za bardzo opalona.

— To prawda. Ciągłe pracuję. Nie mam czasu na odpoczynek i zabawę.

— Moja mama mówiła to samo o tacie.

Lexi uśmiechnęła się ukradkiem. Dziewczynka chciała porozmawiać o swoim ojcu.

— Znałam twojego tatę, kiedy chodziłam do szkoły średniej. Jestem od niego młodsza o dwa lata, więc nie znaliśmy się zbyt dobrze. Był taki dorosły i obyty.

Znów się uśmiechnęła. Z perspektywy lat nastoletni chłopiec nie wydawał jej się już ani dorosły, ani obyty, ale właśnie tak go wtedy postrzegła.

Jewel pokiwała głową ze zrozumieniem. Z jej punktu widzenia nasto— iatkowie rzeczywiście byli niezwykłymi, tajemniczymi istotami.

— Twój tata przyjaźnił się z moim bratem, Adamem Laneyem, no wiesz, weterynarzem. Byli najfajniejszymi facetami w szkole, nigdy nie zadzierali nosa ani nie robili nikomu krzywdy. Latem pracowali, ale kiedy mieli wolne, szli na plażę z innymi chłopakami. — Lexi zamknęła oczy, przypominając sobie te dawno minione czasy, letni upał i spienione fale.

Dziewczęta też chodziły na plażę, rozkładały na piasku wielkie prążkowane ręczniki, na tyle blisko chłopców, by obserwować, jak pływają w morzu lub rzucają frisbee. Starsze koleżanki w bikini przechadzały się w pobliżu i przyjmowały różne pozy, które miały przyciągać chłopców — i przyciągały, bez dwóch zdań. Chłopcy wołali za nimi albo ścigali je po plaży i w oceanie, opaleni na brąz i zwinni jak foki.

— Wszyscy uważali, że twój tata jest naprawdę przystojny. Gdy tylko mógł, pływał z moim bratem na łódce. Uwielbiali ją przewracać do góry dnem... — Umilkła na moment, zastanawiając się, czy nie wystraszy dziewczynki tą opowieścią, potem jednak kontynuowała: — Uważali, że to świetna zabawa. Czasami naprawdę zachowywali się w wodzie jak idioci.

Rodzice wpadali w szal, kiedy się o tym dowiadawali, ale Tris i Adam byli naprawdę świetnymi pływakami, pływali nie gorzej od delfinów.

Przypomniała sobie, jak obserwowała ich poczynania z brzegu. Wrzeszczeli i śmiali się jak opętani. Gdy dopłynęli do miejskiego moła, opadali plecami na wodę i chlapani na wszystkie strony, jak pijane wieloryby. Potem wychodzili na plażę, zgrabni i muskularni na podobieństwo młodych bogów, wyciągali łódkę na brzeg i zabierali ze sobą ster i żagiel.

— Wiem. — Jewel skinęła głową. — Woda to drugi dom mojego taty.

Wiem, że żyje i że wróci do domu.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. — Lexi objęła dziewczynkę ramieniem i przytuliła do siebie. Uświadomiła sobie nagle, że nie przyszła tu po to, by pomóc Jewel, przyszła tu, by pomóc sobie. Jewel naprawdę potrafiła żyć nadzieją, a ona też chciała się tego nauczyć.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Pod koniec dnia Clare pozbyła się wreszcie uporczywego bólu głowy.

Gdy wróciła do domu po zamknięciu sklepu, czuła się dziwnie oczyszczona i lekka. W Sweet Hart's panował tego dnia spory ruch, znalazła jednak dość czasu, by porozmawiać z kilkoma turystami i właścicielami domków letniskowych, których darzyła sympatią. Podśpiewując cicho, przygotowała makaron z sałatką dla siebie i ojca. Po kolacji zadzwoniła do Penny, by podzielić się z nią najnowszymi wieściami. Miała ochotę porozmawiać z rozsądną przyjaciółką o uczuciach, którymi darzyła Adama, lecz mały Mikey był troszkę przeziębiony. Penny zapewniła ją, że to nic groźnego, ale na dodatek wyrzynały mu się dwa zęby, więc był wyjątkowo marudny.

Przekrzykując rozkapryszone dziecko, Penny powiedziała:

— Dobrze zrobiłaś, zrywając z Jessem. Jestem z ciebie dumna! — Mikey kichnął głośno. — Muszę iść!

Po niebie pełzały jeszcze resztki słonecznego blasku, powietrze było świeże i wonne, a Clare nie mogła usiedzieć na miejscu. Przypięła więc smycz do obroży Ralphie i wyprowadziła ją na spacer. Czuła się jak nowo narodzona, inteligentna i silna. Szła powoli ulicą, pozwalając, by Ralph zatrzymywała się przy każdym krzaczku. Jednocześnie zastanawiała się, kiedy powinna powiedzieć Adamowi, że zerwała z Jessem.

Poczucie przyzwoitości nakazywało, by po zerwaniu z jednym mężczyzną nie wiązać się z następnym co najmniej przez dwa tygodnie, prawda?

Z drugiej strony powiedziała już Marlene, że rozstała się z Jessem, mogła więc być pewna, że wkrótce będzie o tym wiedziała cała wyspa. Czy nie lepiej, by Adam usłyszał o tym właśnie od niej, a nie od jakiejś rozplot— kowanej znajomej? Może jutro rano zabierze Ralphie na spacer po plaży i jeśli spotka tam Adama...

Nagle zrozumiała, że nie może czekać ani chwili dłużej.

— Ralphie, biegniemy!

Zawróciła raptownie w miejscu, szarpnęła smycz i popędziła co sił w nogach do domu. Ralphie galopowała obok niej z wywieszonym językiem i uśmiechem na psim pysku. Podobała jej się ta zabawa.

W domu Clare wypięła smycz i wprowadziła psa do salonu.

— Tutaj, siad, dobra sunia. — Zdjęła z półki skórzaną kość i podała ją Ralphie, która ułożyła się na podłodze, wzięła kość między przednie łapy i wgryzła się w nią z rozkoszą. — Tato, być może nie wrócę dzisiaj na noc.

Pamiętaj, żeby wieczorem wyprowadzić Ralphie na spacer, dobrze?

Ojciec oglądał właśnie jakiś teleturniej, skinął jednak głową.

— Dzięki. — Clare ucałowała go w czubek łysej głowy, a potem pochwyciła torebkę i popędziła do samochodu. Przy akompaniamencie ogłuszającej muzyki przejechała w szalonym tempie przez miasteczko, wyjechała na Madaket Road, a potem na Crooked Lane.

Zatrzymała się przed domem Adama i natychmiast wyskoczyła z samochodu, omal nie zapominając o wyłączeniu silnika. Gdy tylko pod jej stopami zachręściły białe muszelki na podjeździe przed domem, rozległo się szalone ujadanie psów. Na werandzie zapaliło się światło, a nim Clare zdążyła zapukać, w otwartych drzwiach stanął Adam.

Był bosy, ubrany tylko w dżinsy i flanelową koszulę. Miał rozczochrane włosy, a w dłoni trzymał puszkę piwa.

— Clare? — zdziwił się.

— Adam. — Serce biło jej jak szalone, bała się, że łąda moment zemdleje. — Mogę wejść? Muszę ci coś powiedzieć.

— Jasne — odparł, jeszcze bardziej zdumiony. Odsunął się od drzwi, wpuszczając ją do środka.

Weszła do domu. Lucky i Bella natychmiast zaczęły kręcić się wokół niej, wymachiwać ogonami i domagać się pieśczołot.

— Co się dzieje? — spytał Adam.

— To — odparła Clare i rzuciła się na niego.

Ujęła jego twarz w obie dłonie, przyciągnęła do siebie i wpiła się w jego usta. Stracili równowagę i odzyskali dopiero, gdy Adam opadł plecami na ścianę. Clare napała na niego całym ciałem.

Odchylił głowę do tyłu.

— Hej, hej, chwileczkę, Clare. Jesteś zaręczona z Jessem!

— Już nie. I nigdy więcej.

Odsunął ją od siebie na długość rąk i spojrzał jej w twarz.

— Poważnie?

— Poważnie. — Przesuwała dłońmi po jego barkach, ramionach i klatce piersiowej.

Chciała dotykać go całego. Przyłgnęła do niego, napała biodrami i wyczuła twarde zgrubienie pod warstwą dżinsowego materiału. — Och, Adam, chcę iść z tobą do łóżka.

Spojrzał na nią z rezerwą.

— Co to ma być, seks na pocieszenie? — Nim jednak zdążyła mu odpowiedzieć, dodał:

— A zresztą, co mnie to obchodzi? — Po czym wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Objęła go za szyję i całowała po twarzy, gdy przechodzili przez pokój.

Opadł wraz z nią na łóżko i położył dłonie na jej ramionach.

— Zwolnij. Zwolnij.

— Nie mogę — wydyszała, próbując rozpiąć mu spodnie. — Muszę...

Przez chwilę szamotali się oboje na łóżku. Ściągając koszulkę przez głowę, Clare uderzyła go łokciem w nos. Adam zerwał z niej spodnie i majteczki, po czym sam zdjął szybko dzinsy i bokserki. Clare zrzuciła ze stóp klapki, które uderzyły głośno o ścianę.

Zaniepokojone psy kręciły się wokół łóżka. Adam wysunął się na moment z objęć Clare i przeszedł szybko przez pokój. Clare spojrzała na jego pobudzony penis i omal nie zemdląła.

— Wnocha. — Wskazał psom drzwi, a te posłusznie podreptały na korytarz. Zatrzasnął za nimi drzwi, podszedł do łóżka i przystanął na moment, obejmując spojrzeniem Clare, która leżała naga na kołdrze. — Boże, jesteś piękna.

Błyskawicznie podniosła się na kolana. Przywarła do Adama, przytuliła twarz do jego brzucha, wodziła dłońmi po jego muskularnych udach.

Jęknął, ujął Clare za mamiona i położył na łóżku. Potem kolanem rozsunął jej nogi.

Przesunął dłonią wzdłuż ciała, od ramion, przez piersi, do lędźwi. Zamknął dłoń na jej kroczu i wsunął palce we włosy między jej nogami.

Clare pochwyliła go za ramiona, całowała po szyi i obojczyku. Potem wszedł w nią delikatnie, ona odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, sycąc się jego gorącym, wypełniającym dotykiem. Objęła go nogami w pasie i zarzuciła mu ręce na szyję, wtuliła głowę w jego ramię i pojękiwała cicho.

Nie mogli zwolnić. Poruszał się gwałtownie, szybko, mocno, niemal sprawiał jej ból, lecz ona zachowywała się podobnie, wyrzucała biodra do przodu, obejmowała go z całych sił, jakby tonęła i tylko on mógł ją uratować. Zadrżał, bliski spełnienia, ona również przeżyła orgazm tak intensywny, że czuła się jak zwierzę, jak morskie stworzenie, które wpełza z muszli i wchodzi w świat zupełnie nowych doznań.

— O Boże... — Adam opadł obok niej na posłanie, dysząc ciężko.

Obróciła się na bok i ułożyła głowę na jego piersi, wciągając w nozdrza mocny, cudownie

męski zapach. Chciała być z nim jeszcze bliżej, więc ułożyła się na nim, przycisnęła nogi do jego nóg, by mogła czuć każdy ruch.

Przywarła ustami do szyi. Adam objął ją w pól i przytulił mocno. Leżeli tak, złączeni, zlanii potem, oszołomieni i szczęśliwi.

O drugiej w nocy Adam i Clare siedzieli w kuchni i pożerali łąpczywie kanapki z bekonem, pomidorami i majonezem. Oboje byli nadzy. Kochali się wiele razy, aż opadli z sił. Teraz pochłaniali jedzenie i popijali je piwem, uzupełniając zapasy paliwa, które znacznie uszczuplili w ciągu ostatnich godzin.

Clare skończyła jeść i oblizwała palce.

Adam podał jej papierową serwetkę.

— Jeszcze jedną?

Pokręciła głową.

— Było pyszne, ale wystarczy, dzięki.

Wziął ją za rękę i podniósł z krzesła.

— Wracajmy do łóżka. — Roześmiał się, ujrawszy jej minę. — Muszę się trochę przespać, zanim pójdę do pracy, to wszystko.

Przytulili się mocno do siebie, nasyceni, okryci ciepłą kołdrą. Bella i Lucky umościły się wygodnie na dywaniku przy łóżku i wkrótce zaczęły smacznie chrapać.

— To było coś niesamowitego, czułem się jak człowiek pierwotny. — Adam odgarniał delikatnie jej włosy, by nie łaskotały go w nos.

Clare zachichotała.

— Zgadza się.

Leżała odwrócona do niego plecami, wciśnięta w jego ciało niczym łyżeczka w łyżeczkę.

— Chcesz pogadać?

Zamknęła oczy.

— Jeśli dam radę. Strasznie mi się chce spać.

— Więc śpij. Możemy pogadać rano.

* * *

Lecz rano, gdy obudzili się obok siebie nadzy i wypoczęci, znów zaczęli się kochać, a potem musieli wziąć prysznic i pędzić do pracy.

To był cudowny dzień. Clare otworzyła Sweet Hart's i przeszła się po sklepie, podniosła rolety, uporządkowała kasę, przygotowała się do kolejnego dnia pracy. Miała wrażenie, że unosi się nad ziemię, wykonywała wszystkie czynności, nawet o nich nie myśląc. Miała tysiąc rzeczy do zrobienia, lecz zamiast się nimi zająć, usiadła na stołku za ladą, oparła brodę na dłoniach i myślała o Adamie.

Zadzwoił telefon.

— Cześć — powiedział Adam. — Tęsknię za tobą.

— Ja za tobą też.

— Zapraszam cię dziś wieczorem na kolację.

— Mam lepszy pomysł. Urządzmy sobie piknik na plaży.

— Świetnie. Zabierzemy psy?

— Jasne.

Ustalili dokładne miejsce i czas, Adam powiedział, że musi zająć się pierwszym pacjentem, kotem z nadwagą, Clare parsknęła śmiechem, po czym pożegnali się czule.

Pomyślała, że nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

TRZYDZIEŚCI

Księżycowa Plaża została otwarta. W pierwszy dzień do sklepu zajrzało kilka kobiet, które z ciekawością przyglądały się towarom. Niektóre krzywiły się na widok cen, zerkwały z ukosa na Lexi i wychodziły, lecz więcej uśmiechało się, gdy dotykały delikatnych ubrań, przykładały je do siebie i przeglądały się w lustrze. Nazajutrz odbyło się uroczyste otwarcie. Clare przyniosła ogromny bukiet lili zwanych can— tedeskiami oraz strelicji.

Adam i jej rodzice przysłali wielki wazon z czerwonymi różami. W powietrzu unosił się upojny zapach kwiatów. Lexi częstowała klientki lampką szampana lub szklanką wody selder—skiej. Popijały, oglądały i kupowały, czasami tak zachwycone chustą lub bransoletą, że wkładały ją zaraz po wyjściu. Potem, gdy wieść o otwarciu rozeszła się po mieście, do sklepu zaczęło ścigać coraz więcej ludzi, a Lexi nie miała czasu na nic prócz pracy.

Widziała, że Clare również jest zajęta, o czym świadczyła liczba klientów wychodzących z jej sklepu. Wcześniej zakładała, że codziennie znajdzie trochę czasu, by usiąść z Clare na zapleczu, napić się kawy i pogawędzić, teraz jednak przekonała się, że nie może opuścić sklepu ani na chwilę.

Po prostu miała za dużo do zrobienia.

Pod koniec tygodnia zamknęła drzwi Księżycowej Plaży tuż przed piątą i popędziła do Sweet Hart's.

— Clare, możesz poświęcić mi chwilę? Potrzebuję twojej rady.

Clare była zaczerwieniona i rozczochrana, kręciła się w amoku po sklepie.

— Chodźmy na górę, przy okazji pomożesz mi składać pudełka. — Ona również zamknęła drzwi na klucz, wystawiła planszę z napisem „Zamknięte” i wyszła na piętro. Opadła ciężko na krzesło i machnęła ręką w stronę lodówki. — Cola bez cukru albo woda — zaproponowała.

— Co u ciebie? — spytała Lexi. Przyciągnęła krzesło, zdjęła z niego stertę kartonów, z których należało złożyć pudełka, i usiadła.

— Jestem strasznie zajęta. I dobrze. Nie mam nawet czasu na myślenie.

Co roku zapominam, że latem można tu oszaleć.

— Więc nie widziałaś się z Jessem?

— Nie. — Na twarzy Clare pojawił się uśmiech. — Ale widziałam się z Adamem.

Lexi otworzyła szeroko oczy.

— Chyba żartujesz!

Clare objęła się ramionami.

— Och, Lexi, to wszystko jest takie nowe, a ja jestem tak bardzo zakochana, że aż się boję. Ale staramy się zachowywać jak dorośli, nie śpieszyć się z tym...

— Dziwne, że jeszcze od nikogo o tym nie słyszałam. Przynajmniej rodzice powinni mi byli coś powiedzieć.

Clare pokręciła głową.

— Nie wychodziliśmy jeszcze razem z domu. — Zaczerwieniła się jak piwonia. — Prawdę mówiąc, nie wychodziliśmy z łóżka.

— Rozmawialiście już o małżeństwie?

— Nie, Lexi, spokojnie! Nie rozmawialiśmy jeszcze nawet o wspólnym wyjściu do kina.

Czuję się teraz jak nastolatka, która zakochała się po raz pierwszy w życiu.

— I słusznie, bo Adam był przecież twoją pierwszą miłością.

— Wiem. Ale to wszystko jest takie szalone... Trochę się boję, Lexi. Nie wiem, czy mogę zaufać swoim emocjom. — Wzdrygnęła się. — Porozmawiajmy o czymś innym. Co u ciebie? Jak w sklepie?

— Świetnie. Idzie mi naprawdę nieźle. Ale ledwie sobie z tym radzę. A wczoraj mnie okradziono!

— Co się stało?

— Jakaś klientka poprosiła, żebym pokazała jej drogi naszyjnik z gabloty, obie przymierzalnie były zajęte, a po sklepie kręciło się mnóstwo ludzi.

Zerknęłam w stronę regału i zobaczyłam, że stoi tam jakaś elegancka starsza pani, trzymając w dłoni hiacyntową chustę. Wyjęłam naszyjnik i podałam go klientce, a kiedy znowu spojrzałam na regał, nie było tam ani tej kobiety, ani chustki.

— Tak, to zawsze trwa sekundę — Clare pokiwała głową. — Będziesz musiała kogoś zatrudnić.

— Ale mój sklep jest taki mały! No i będę musiała komuś płacić...

— A twoja matka nie chce u ciebie pracować? Ma doświadczenie.

— Nie, nie chcę jej nawet pytać. Dobrze jej na emeryturze.

— Więc najmiej kogoś na część etatu. Inaczej co jakiś czas będziesz się musiała pożegnać z towarem. Ile kosztowała ta chusta?

— Czteryście pięćdziesiąt. — Lexi uśmiechnęła się przepraszająco, wiedziała bowiem, jak drażliwym tematem są dla Clare pieniądze.

— Au... — Clare spojrzała na nią z powagą. — Musisz zadzwonić do Stowarzyszenia Kupców i poprosić, żeby dodali twój numer do listy. Jeśli jakiś kupiec zauważy złodzieja sklepowego, natychmiast dzwoni do trzech innych i opisuje tego człowieka, a oni dzwonią do kolejnych trzech i tak dalej. Dzięki temu wkrótce wszyscy wiedzą, na kogo mają uważać.

— Nie mogę uwierzyć, że ludzie, którzy przyjeżdżają do Nantucket na wakacje, kradną.

— Dlaczego? Bo są bogaci? — parsknęła Clare. — A jak twoim zdaniem doszli do takich majątków? Najlepszy przykład to twój były mąż. — Pokręciła głową. — Przepraszam, Lex, to było podłe.

Lexi uśmiechnęła się lekko.

— Owszem, podłe... ale prawdziwe. — Postukała palcami w blat stołu, zastanawiając się. — No dobrze, jak mogę znaleźć jakiegoś dobrego pracownika na część etatu?

— Możesz dać ogłoszenie, ale nie musisz. Na wyspie jest grupa Rosjanek, pracowitych, uczciwych, z dobrym angielskim. Wszystkie są naprawdę ładne. Idealnie pasowałyby do twojego sklepu. Wiem, że szukają pracy.

Znasz Sopię z Codgon Pharmacy? Pogadaj z nią, ona zna tutaj wszystkich.

Dwa dni później Lexi zatrudniła swoją pierwszą pracownicę, Oksanę Wolnapową.

Dziewczyna miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, kasztanowe włosy i zielone, lekko skośne oczy, przypominające ślepia kota. Lexi nie mogła wymarzyć sobie kogoś, kto bardziej pasowałby do Księżycowej Plaży.

— To będzie dla pani idealne — mówiła, podając klientkom ubrania.

Każda wierzyła jej bez zastrzeżeń, bo Oksana wyglądała tak, jakby właśnie przyjechała z Pałacu Zimowego, w którym mieszkała ze swoim kochankiem, carem.

Rzeczywistość nie była jednak różowa. Gdy Lexi zapytała Rosjankę, czym zajmują się jej rodzice, odparła:

— Mama jest pielęgniarką, a tata szewcem. Tam, gdzie mieszkam, nikt nie wyrzuca

butów.

Lecz Oksana nie budziła w Lexi wyrzutów sumienia związanych z niesprawiedliwością społeczną czy konsumpcyjnym stylem życia. Nowa pracownica uwielbiała ciuchy, podziwiała kreacje Lexi i wiedziała, jak je zaprezentować. Codziennie nosiła ubrania sprzedawane w sklepie; była doskonałą, chodzącą reklamą, smukłą, pełną wdzięku i uderzająco piękną.

Chwaliła ubrania Lexi, pocierała tkaninę między palcami i kiwała głową, mówiąc:

— Bardzo ładne, naprawdę piękne.

Czasami, gdy jakaś szczególnie wymagająca klientka zdjęła z regału wszystkie chusty i pashminy tylko po to, by porzucić je w innej części sklepu, Oksana mruczała pod nosem „dura”, albo „durak”, jeśli wyjątkowo był to mężczyzna. Kiedy Lexi spytała ją, co znaczy to słowo, wyjaśniła, że „głupia” lub „głupi”. Od tej pory, gdy jakaś klientka zirytowała Lexi, ta mruczała pod nosem „dura” i wymieniała porozumiewawcze uśmiechy z Oksaną.

Od czasu do czasu do sklepu zaglądała Myrna Laney. Lexi robiła sobie wtedy krótką przerwę i wychodziła na zewnątrz, by zaczerpnąć oddechu.

Nie rozmawiała z matką o Adamie i Clare. Ich rozmowy dotyczyły niezobowiązujących, swobodnych tematów, takich jak pogoda czy miejscowe plotki. Wiedziały, że w każdej chwili może im przeszkodzić jakaś klientka i tak się zwykle działo. Czasami Lexi odwiedzała wieczorem rodziców i jadła pyszną kolację, którą Myrna przygotowywała specjalnie dla niej. Rozmawiali wtedy o jej sklepie, ale często odpoczywali po prostu przed telewizorem, oglądając mecz Red Sox. Z każdym dniem Lexi czuła się lepiej na wyspie, jak u siebie w domu.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Deszcz stukał miarowo o dach albo uderzał w okna, niesiony silniejszym podmuchem wiatru. Przez cały dzień w Księżycowej Plaży kłębił się tłum klientek, które w większości przychodziły tam tylko z nudów, a nie na zakupy. Lexi i Oksana uwijały się jak w ukropie, podawały ubrania, ścierały z podłogi wodę i błoto nanoszone przez klientki. Nie miały czasu na posiłek, ledwie znajdowały wolną chwilę, by wyjść do toalety.

Późnym popołudniem chmury rozpięchły się i wreszcie zaświeciło słońce. Wieczór był jasny, czysty i ciepły. Nagle w sklepie zrobiło się pusto. Wszyscy poszli nacieszyć się słońcem, a Lexi odetchnęła z ulgą. Miała okazję posprzątać w sklepie, uzupełnić towar na półkach i wieszakach.

Oksana śpiewała przy pracy jakąś rosyjską piosenkę ludową. Lexi nie rozumiała słów, ale melodia była wesoła. O siódmej zamknęła sklep i zgasiła światła. Oksana poszła na spotkanie z przyjaciółkami, a Lexi na górę, do swojego mieszkania, by trochę odsapnąć. Była cały dzień na nogach i choć miała ochotę rzucić się na łóżko i nie wstawać do rana, taki wieczór był zbyt piękny, by go zmarnować. Zdjęła sukienkę i położyła ją na łóżko, po czym włożyła szorty, koszulkę i klapki. Zabrała też torbę plażową, wrzuciła do niej butelkę czerwonego wina, kieliszek, korkociąg, paczkę krakersów, kawałek cheddara i jabłko. Potem zbiegła na dół, wyszła ze sklepu tylnymi drzwiami i wsiadła do samochodu.

Właściwie nie miała pojęcia, dokąd chce się wybrać. Wiedziała jedynie, że musi odetchnąć od miasta i tłumów ludzi. Potrzebowała odrobiny samotności, piasku, morza i nieba. Pojechała na plażę Surfside Beach po południowej stronie wyspy. Przypuszczała, że ze względu na niedawny sztorm nie będzie tam dużo ludzi.

Na parkingu stało już kilka samochodów. Wyszła na szczyt wzgórza, rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że plaża po zachodniej stronie jest pusta.

Ruszyła w dół, między wydmy, a potem skręciła, oddalając się od kilku zbieraczy muszelek, którzy spacerowali wzdłuż plaży. Fale uderzały z hukiem o brzeg, białe grzebienie piany lśniły w blasku słońca. Lexi wciągnęła w płuca haust świeżego słonego powietrza. Czowała się ożywiona, podekscytowana. Miała ochotę wbiec prosto w morze, tańczyć w fałach, pozwalając, by ją przewróciły, wciągnęły głębiej. Wiedziała jednak, że tutejsze prądy podwodne są bardzo niebezpieczne, oparła się więc pokusie.

Po wodzie sunął samotny surfer, jego szkarłatno—czarna pianka na przemian chowała się za falami i wynurzała niczym latająca ryba. Lexi znalazła zaciszny zakątek między wydrami, rozłożyła koc i usiadła, by obserwować śmiałka na desce surfingowej. Sama nigdy nie surfowała, za bardzo się bała, szczególnie tutaj, gdzie prądy były wyjątkowo silne, uwielbiała jednak przyglądać się, jak inni ujeżdżają fale, niczym mityczne stworzenia, pół—ludzie, pół—ryby.

Usiadła po turecku, otworzyła wino i napełniła kieliszek. Oprócz szumu fal było słycać jedynie krzyki mew unoszących się nad falami. Lexi czuła, jak powoli rozluźniają się jej ramiona, a serce zwalnia rytm.

Wtedy z wody wyszedł samotny surfer z deską pod pachą, a serce podskoczyło jej jak delfin, bo pływakiem zmierzającym w jej stronę był Jesse.

— Cześć. Przypuszczałem, że to ty.

Jasne wilgotne włosy kleiły mu się do twarzy, obcisła pianka podkreślała muskularną sylwetkę.

Zauważył, że nie może oderwać od niego oczu?

— Cześć, Jesse. Dobra fala?

Skinął głową.

— Najlepsza. Wiatr wiał dzisiaj we właściwym kierunku.

Nagle Lexi ogarnęła przedziwna radość, czuła się jak Alicja w Krainie Czarów, jakby wypijała jakiś magiczny napój i przeszła na drugą stronę lustra, do innego świata. Ten świat składał się tylko z letniego błękitnego nieba i morza, plaży i Jessego, wilgotnego i pociągającego.

— Poczłstowalabym cię winem, ale mam tylko jeden kieliszek.

— Nie szkodzi, napiję się z butelki. Poczłkaj, przebiorę się tylko. — Skinął głową na wschód. — Przyniosę swoje rzeczy.

Odłożył deskę na piasek i popędził przez plażę, wyrzucając spod stóp fontanny piachu.

Wrócił po chwili z ręcznikiem i bluzą w ręce.

— Co za dzień. — Westchnął, rozpinając piankę. Lexi nie mogła oderwać spojrzenia od jego szczupłego ciała, patrzyła, jak z kombinezonu wysuwa się jedna ręka, potem druga, plecy i muskularny tors porośnięty krótkimi blond włosami, które ciągnęły się w dół, do pępka i niżej, za brzeg kąpielówek. Odrzucił piankę jak pustą skorupę, naciągnął bluzę przez głowę i opadł na piasek, obok Lexi.

— Można? — Wskazał głową na butelkę.

— Człstuj się.

Obecność Jessego ją przytłaczała. Jego muskularne nogi i stopy oblepione piaskiem wydawały jej się niezwykle męskie, wręcz zwierzęce.

Pociągnął łyk wina, a potem wziął od niej ser i krakersy, którymi go pocłstowała.

— Dziłki. Człsto tu przychodzisz?

Oboje parsknęli śmiechem, bo zabrzmiało to jak pocłątek sztubackiego podrywu.

— Prawdę mówiąc, nie. Jestem tak zapracowana, że brakuje mi czasu na przyjemności.

— Wiem, co masz na myśli. Wszycy, którzy pracują tu latem, dobrze to wiedzą. Ale ja

już dawno temu postanowiłem, że mimo wszystko będę się dobrze bawić.

— Ciekawe, czemu mnie to nie dziwi — mruknęła Lexi sarkastycznie.

— Hej... — Jesse trącił ją lekko w ramię.

— Au. — Lexi odruchowo pochwyciła jego pięść.

Jesse rozłożył dłoni i splótł jej palce ze swoimi.

— Życie jest krótkie — powiedział. — Nie chcę, żeby kręciło się tylko wokół pieniędzy.

— Oczywiście, że nie. — Cieszyła się w duchu, że w ogóle może wydobyć głos z gardła.

— Byłaś bardzo dzielna, Lex. Żyłaś pełnią życia.

Zaczęła drżeć. Cofnęła szybko rękę, wysuwając ją z uścisku Jessego.

— Masz na myśli moje małżeństwo z Edem? Cóż, sporo wtedy podróżowałam, to prawda. Ale nie powiedziałabym, że to było prawdziwe życie.

— Dlaczego? — Znów podniósł butelkę. Lexi obserwowała, jak jego usta obejmują szyjkę, a grdyka przesuwana się miarowo, gdy wlewał do gardła wino.

— Bo nie kochałam Eda. A on nie kochał mnie.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

— To możliwe, żeby jakikolwiek mężczyzna nie mógł cię pokochać?

Czuła na sobie jego spojrzenie. Serce zabiło jej jeszcze szybciej.

— Cóż, miłość to skomplikowana sprawa.

— A ja zawsze myślałam, że bardzo prosta — odparł cicho.

— Prosta — powtórzyła. To, czego chciała, było tak samo nieskomplikowane jak jej sny.

— Całe życie może kręcić się tylko wokół tej chwili — powiedział. — Wokół tu i teraz.

Plaży i słońca na twojej skórze.

—Prawdziwie filozoficzna myśl. Rozumiem, że chciałbyś trochę podyskutować i poznać lepiej tajniki mojego umysłu. — Lexi próbowała żartować.

— Nie. Wręcz przeciwnie. Chciałbym poznać tajniki twojego ciała.

Jednym silnym ruchem wbił butelkę głęboko w piasek. Wziął od Lexi kieliszek i włożył go do koszyka, obok krakersów i sera. Potem pochwycił ją za ramiona i przycisnął mocno do ziemi. Czuła, jak pod jej ciałem przesuwana się piasek, czuła dotyk koca na skórze. Starannie odgarnął Lexi włosy z twarzy, jakby chciał zrobić sztuczne oddychanie, a potem powoli przysunął usta do jej ust. Miał słodki oddech i lekko spękane wargi, łaskotał ją włosami po twarzy. Pocałunek był słodki, a język słony. Podniósł się na rękach, by mogła go objąć, a potem przesunął dłonią po jej twarzy, brodzie i szyi, aż dotknął piersi.

Jęknęła cicho i wygięła ciało w łuk. Palce Jessego sięgnęły do zamka jej szortów. Słońce zniżało się powoli nad horyzontem, cień wydmy okrył ich głębokim błękitem. Jesse zdjął jej szorty. Powoli wodził palcami po jej brodzie i szyi, przesunął je na obojczyk i piersi.

Potem sięgnął niżej, przesunął dłoń po brzuchu i przez włosy łonowe.

Przeniknęła ją fala rozkoszy, jakiej nie doznała nigdy wcześniej. Nie wyobrażała sobie, że mężczyzna może być taki subtelny. Czuła się tak, jakby Jesse ją hipnotyzował, jego pieszczoty budziły w niej coś, co do tej pory pozostawało w ukryciu i czekało na tę właśnie chwilę uniesienia.

Wydmy otaczały ich ciasnym kręgiem, osłaniały przed światem, blask słońca powoli przygasał, a piasek pod Lexi przybierał kształt jej ciała, gdy Jesse z niezwykłą czułością i delikatnością pieścił jedwab jej skóry. Po chwili niczym iluzjonista wyczarował między jej nogami gęsty krem, którego nigdy wcześniej tam nie było. Rozłożyła nogi i wypchnęła w górę biodra, a Jesse przesunął się i położył na niej.

Wszedł w nią powoli. Poczwała nacisk, delikatny głęboki ruch, jakby w jej wnętrzu rozlewał się płynny jedwab. Twarz Jessego była tuż obok jej twarzy, czuła na policzku jego ciepły oddech. Podniósł się na rękach i wsunął jeszcze głębiej. Zamknęła oczy, oddając się całkowicie temu doznaniu, a jej ciało stało się naczyniem wypełnionym po brzegi rozkoszą. Wciąż napierał na nią, sięgał mocniej i głębiej. Coś w niej pękło, coś się otworzyło i uwolniło. Niepohamowana słodycz opłynęła ją niczym spieniona fala, pochłonęła bez reszty.

Jesse zsunął się z niej. Drżała, a on okrył ją ręcznikiem i ułożył swoją bluzę na jej nogach. Leżąc na boku, przygarnął Lexi do siebie, tulił mocno, głaskał po włosach i powtarzał:

— Tss, już dobrze...

Lecz łzy wciąż napływały jej do oczu, spływały strumieniem po policzkach, nie mogła ich powstrzymać. Śmiejąc się, wyłkała z trudem:

— Sama nie wiem, dlaczego płaczę.

Pocałował ją w czoło.

— To nieważne — powiedział czule. — Czasami dobrze jest popłakać.

— Och, Jesse. — Obróciła się na bok i wtułiła twarz w jego pierś.

Przygarnął ją do siebie. Czuła, jak ich serca powoli się uspokajają, zwalniają tempo. Krew wypełniała jej żyły ciepłą mgiełką, otulała ją jakimś niezwykłym rodzajem radości, którego dotąd nie zaznała. Być może zapadła w płytki, przyjemny sen.

Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na Jessego.

— Możemy to powtórzyć?

— Oczywiście.

Robiło się ciemno. Od morza ciągnęła chłodna, rześka bryza, ubrali się więc i przytulili do siebie, okrywając nogi ręcznikiem. Siedzeli po turecku, ramię przy ramieniu i patrzyli w stronę oceanu. Choć nie widzieli już wody, słyszeli miarowy, kojący szum fal.

Ciało Lexi było przyjemnie ociężałe, oszołomione i nasycone, lecz jej umysł zaczął się budzić.

— Clare — mruknęła.

Jesse parsknął.

— Zastanawiałem się, kiedy to powiesz.

— Byłeś z nią zaręczony. Jestem jedną z jej najlepszych przyjaciółek.

— Wiem, kochanie. Masz rację.

— Och, Jesse... — Przeciągnęła dłonią po włosach. — Czuję się teraz okropnie.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

— Hej, przecież to nie koniec świata. — Przysunął usta do jej głowy, a gdy mówił, czuła na skórze ciepło jego oddechu. — Moim zdaniem nie zrobiliśmy nic złego, wręcz przeciwnie, to było coś wspaniałego.

Podniosła głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Naprawdę tak uważasz?

— A co, myślisz, że jestem lowelase, który rzuca się na każdą ładną dziewczynę? — Wciąż tulił ją do siebie, ale w jego głosie pobrzmiwały nutki gniewu.

— Ja... sama nie wiem, co myślałam, Jesse. — Podniosła rękę, delikatnie przesunęła palcami po jego twarzy i uśmiechnęła się. — Prawdę mówiąc, chyba w ogóle nie myślałam.

On także się uśmiechnął i pochylił ku niej głowę.

— Dobrana z nas para, co? — Pocałował czubek jej nosa, policzki, brodę, usta. — Mam nadzieję, że to, co zaszło teraz między nami, to tylko początek. Chcę znacznie, znacznie więcej.

Jego słowa przejęły Lexi dreszczem.

Odsunął się nieco, by mógł spojrzeć jej prosto w oczy.

— I oczywiście powinnaś o tym powiedzieć Clare. Nie będzie miała nic przeciwko.

Zerwała ze mną, pamiętasz? I jeśli wierzyć plotkom, to kręci z twoim bratem.

— Na tej wysepce niczego nie da się utrzymać w tajemnicy, prawda? — Lexi westchnęła.

— Po prostu powiedz o tym Clare i nie rozmawiajmy o niej więcej. Nie chcę, żeby to, co jest między nami, miało z nią cokolwiek wspólnego.

Lexi była zaskoczona, bo sama zamierzała to powiedzieć. Czyżby zakładała, że nie jest tak wrażliwy jak ona, że jego uczucia pozbawione są prawdziwej głębi?

— Wiem — zgodziła się z nim. — Masz całkowitą rację.

Wziął ją za rękę.

— Chodź. Robi się zimno, a jutro oboje musimy pracować.

Włożyła butelkę po winie do kosza i przerzuciła koc przez ramię. Fale wzdychały cicho niczym jakieś olbrzymie, żywe stworzenie, gdy szli plażą w stronę parkingu.

Jesse podszedł do jej range rovera niczym dżentelmen odprowadzający panią swojego serca do domu. Począł, aż włoży kosz do bagażnika, a potem otworzył jej drzwi i patrzył, jak siada za kierownicą.

— Zadzwoń do ciebie — obiecał. — Nie wiem kiedy, ale zadzwonię.

Lexi skinęła głową. Zamknął drzwi i poszedł w stronę swojego pikapa.

Gdy uruchomiła silnik i wyjechała na Surfside Road, uświadomiła sobie, że drży. Od morza ciągnęła chłodna bryza, lecz temperatura nie była jedynym powodem dreszczy. Włączyła ogrzewanie, a do samochodu wpłynął podmuch ciepłego powietrza. Czują... wszystko po trochu. Była szczęśliwa, ale miała wyrzuty sumienia. Była zadziwiona i wystraszona. Pełna nadziei i niepewna. Chciała choćby na chwilę odepchnąć od siebie wszystkie te myśli, choć na moment poddać się czystej, bezwarunkowej radości. Seks z Jessem był rewelacyjny. Jego usta, jego ramiona, jego ciało — omal nie zjechała do rowu, wspominając te chwile.

TRZYDZIEŚCI DWA

Marlene poszła do dentysty, więc Clare pracowała sama. Rankami w sklepie zwykle nie było dużego ruchu, miała więc nadzieję, że zrealizuje w tym czasie kilka specjalnych zamówień. Kiedy zadzwonił telefon, sięgnęła odruchowo po słuchawkę, szukając jednocześnie pod ladą ulubionego długopisu.

— Clare? — rozległ się w słuchawce głos Lexi.

— Lexi, posłuchaj, jestem zajęta...

— Wiem, ale musimy porozmawiać. — Głos Lexi drżał, — Zaraz przyjdę do ciebie.

Clare nie zdążyła nawet odpowiedzieć, nim przyjaciółka się rozłączyła.

Do Sweet Hart's weszła młoda mama z małym chłopcem. Dziecko otworzyło szeroko oczy, ujrawszy czekoladowego wieloryba.

— Co tylko zechcesz, Forest — powiedziała matka, przyglądając się z rozmarzeniem czekoladowym smakołykom.

Lexi wpadła do sklepu jak burza. Była ubrana w złotą koszulkę na ramiączkach i półprzezroczystą spódnicę zdobioną koralikami. Włosy ściągnęła w długi, gruby kucyk, a na jej nadgarstkach błyszczały złote bransolety. Wyglądała jak bogini.

— Clare! Posłuchaj, muszę... — Przerwała raptownie, zauważywszy kobietę z dzieckiem. Chłopiec podniósł czekoladowego wieloryba owiniętego w folię, podczas gdy matka oglądała pudełko z ciastem czekoladowo—migdałowym.

— Posłuchaj, Clare — zaczęła mówić Lexi, już nieco spokojniej — nie mogę tu zostać, muszę otworzyć sklep, ale chciałam, żebyś dowiedziała się ode mnie, nie od kogoś innego.

Clare urządziła sklep tak, by dzieci nie mogły wyrządzić w nim szkód, ale chłopiec sięgnął po kolejnego wieloryba i po jeszcze jednego, podczas gdy matka beztrudnie przechadzała się po sklepie.

— Dowiedziała się o czym? — Clare słuchała przyjaciółki jednym uchem.

Lexi wsunęła się za kontuar i stanęła obok niej.

— Clare. — Dotknęła jej ramienia, nachyliła się bliżej i wyszeptwała: — Wczoraj przespałam się z Jessem.

— Co? — Clare spojrzała na nią tak, jakby nigdy w życiu nie słyszała większej bzdury.

— Na plaży. Spotkałam go przypadkiem. Surfował. Miałam ze sobą trochę wina. No i... I jakoś tak wyszło. I może... może znów się z nim spotkam...

— Świetnie!

Chłopczyk upuścił wieloryby na podłogę, gdy zauważył czekoladowe monety owinięte złotą folią. Stanął na palcach, lecz nie mógł ich sięgnąć, podskoczył więc i stracił piramidę trufli w małych papierowych pudełkach.

— Ostrożnie — ostrzegła Clare, wychodząc zza lady. Wzięła chłopczyka za rękę i łagodnie odciągnęła do tyłu. — Uważaj, żebyś nie nadepnął na któreś z tych pudełek.

Matka chłopczyka odwróciła się i spojrzała na bałagan, którego narobiło jej dziecko.

— Och, Forest, upuściłeś swoje wieloryby. Teraz nie są już takie ładne.

Niemądry chłopiec. — Ujęła synka za rękę i wyprowadziła ze sklepu.

— Ludzie mają tupet — mruknęła Lexi i omal nie uderzyła w głowę Clare, gdy obie pochyliły się, by pozbierać czekoladki. — Wygląda, że pudełka są nieuszkodzone.

— Dzięki, Lexi. — Clare odłożyła czekoladki na półkę. Skupiała się na przedmiotach materialnych, z którymi radziła sobie lepiej niż z emocjami kłębiącymi się w jej wnętrzu.

— Nie chcę, żebyś była na mnie wściekła, Clare. — Lexi nerwowo zaciskała dłonie.

— Nie jestem wściekła, Lexi. — Przyłożyła rękę do czoła. — Właściwie sama nie wiem, jaka teraz jestem.

— Więc przestań bawić się tymi pudełkami i spójrz na mnie — błagała Lexi. — Jeśli nie chcesz, żebym widywała się z Jessem, powiedz od razu.

Clare zmarszczyła brwi.

— Widywała się?

— Wiesz, co mam na myśli...

— Nie jestem pewna. Mówisz o spotykaniu się z Jessem? O sypianiu z nim? O poważnym związku?

— Chyba tak. Znaczy, o tym wszystkim. Sama jeszcze nie wiem, Clare.

Nie jestem pewna swoich uczuć, zresztą nie mam pojęcia, co właściwie czuje Jesse. — Przynęła się bliżej i położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki. — Ale wiem, że nie chcę znów stracić twojej przyjaźni. Więc jeśli wolisz, żebym nie spotykała się z Jessem, nie będę tego robić.

— Nie mogłabym żądać tego od ciebie, Lexi. Powinnaś robić to, co chcesz. Ja już skończyłam z Jessem, więc nie musisz się tym przejmować.

Ale mimo wszystko, wydaje mi się to takie... dziwne. To znaczy, jeśli rzeczywiście nadal będziecie się „widywać”, nie chciałabym poznać żadnych szczegółów.

Do sklepu weszły dwie roześmiane kobiety w luźnych kwiecistych spodniach, z wielkimi

torbami plażowymi na ramionach. Przystanęły przed wystawą, wydając okrzyki zachwyty.

— Możemy porozmawiać później? — spytała Lexi.

— Jasne — odparła Clare i odwróciła się do klientek, westchnąwszy z ulgą.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Cześć, ślicznoko.

— Cześć, Jesse. — Lexi włożyła słuchawkę między ramię i ucho. Pakowała właśnie sarong dla klientki i przyglądała się uważnie parze rozchichotanych nastolatek, które postanowiły pobawić się w jej sklepie w przebieranki. — Co u ciebie?

— Dużo pracy. A u ciebie?

— Ja... — Próbowwała objąć uwagę kilka rzeczy naraz. Chciała sycić się zmysłowym głosem Jessego, ale nie mogła też spuścić z oka nastolatek — już przesuwały się w stronę wyjścia. Jedna miała na szyi jedwabny szal.

— Poczekaj, Jesse — Odłożyła słuchawkę na kontuar. — Dziewczyny!

Nastolatki nie zwracały na nią uwagi. Widać uważały, że bogactwo daje im prawo do grubiańskiego zachowania. Lexi nie chciała ich jednak obrazić, bo wyglądały, jakby mogły wydać w jej sklepie sporo pieniędzy.

Dogoniła je kilkoma długimi krokami i położyła dłoń na szalu.

— Chyba zapomniałaś to zdjąć.

Delikatnie zdjęła szal z szyi nastolatki.

— Och, merde! — dziewczyny zachichotały, szturchnęły się i podreptały do wyjścia.

Lexi wróciła za ladę i podniosła słuchawkę.

— Przepraszam, Jesse. Klientki.

— Zjemy dziś razem kolację?

— Tak, bardzo chętnie!

— Będę u ciebie o ósmej. I nie martw się, mogę jeść wszystko. Do zobaczenia.

Lexi wpatrywała się w telefon ze zdumieniem. Była pewna, że Jesse chce zabrać ją gdzieś na kolację.

Gdy tylko miała wolną chwilę, Lexi wychodziła tylnymi drzwiami na świeże powietrze. Teraz także stanęła za sklepem i powiodła wzrokiem po oceanie, podziwiając nowe jachty w przystani. Potem zatrzymała spojrzenie na Jewel Chandler, która przycupnęła pod drewnianym słupkiem balustrady na molo. Siedziała po turecku, z pochyloną głową, a Lexi była pewna, że odmawia właśnie modlitwę. Od czasu do czasu podnosiła głowę i spoglądała na wejście do przystani.

Lexi zastanawiała się, gdzie jest Tris. Miała nadzieję, że żyje, i że jest bezpieczny. Często się za niego modliła. Dobrze pamiętała swoje pierwsze zauroczenie.

A teraz? Czy była tylko zauroczona Jessem? Czy kochała go? Czy on kochał ją? Czy kiedyś się pobiorą, dochowają dzieci? Będą żyć na wyspie długo i szczęśliwie? Nie umiała sobie tego wyobrazić. Wciąż nie do końca docierało do jej świadomości, że naprawdę wróciła na wyspę, że tak wiele łączy ją z mieszkańcami. Uświadomiła sobie jednak wreszcie, jak wypaczony był związek z Edem. Pusty. Żadnej namiętności przez tyle lat.

Zamknęła sklep o piątej. Pomyślała, że może wpadnie do niej Clare, potem jednak zobaczyła, że przyjaciółka wsiada na rower i odjeżdża. Lexi ziewnęła, przeciągnęła się i poszła na piętro, do swojego zagraconego mieszkania. Znów praca. I to już, od zaraz. Szybko rozpakowała towar dostarczony tego dnia. Wyprasowała nowe ubrania i przypięła do nich metki z cenami. Przerzuciła je przez ramię i zniosła do sklepu, uważając, by nie nastąpić na delikatną tkaninę. Następnie wróciła na górę, przygotowała kolejną partię towaru, a gdy już skończyła, zgmiotła pudełka, wyniosła je na zewnątrz i wcisnęła za porośnięty różami płotek, skrywający kubły na śmieci.

Wróciła jeszcze do sklepu, by sprawdzić, czy ułożyła wszystko, jak należy, i czy na żadnym nowym ubraniu nie ma jakichś niedoróbek, zagięć czy wystających nitek. Było to żmudne i absorbujące zajęcie, co właściwie ją cieszyło; dzięki temu nie musiała myśleć o Jessem i Clare. Właściwie gdy zapukał do drzwi, zastanawiała się przez moment, kto to.

— Cześć, ślicznotko.

Brał niedawno prysznic, jego włosy lśniły jeszcze wilgocią.

— Och, Jesse! — spojrzała na zegarek. — Straciłam zupełnie poczucie czasu. Wejdz.

Poszli na górę, do mieszkania. Przecisnął się między pudłami i stanął przy oknie wychodzącym na przystań.

— Ładny widok.

Lexi przyglądała mu się ukradkiem, analizując swoje odczucia wywołane jego obecnością. Bez wątpienia był niesamowicie przystojny. Bez trudu potrafiła wyobrazić sobie jego ciało ukryte pod džinsami i koszulą zapinaną na guziki, doceniała też, że ładnie się dla niej ubrał.

Odwrócił się i spojrzał na nią, a Lexi poczuła nagły przypływ pożądania.

— Wina? — zaproponowała. — Nie mam piwa.

— Może być wino. — Usiadł w fotelu.

Napełniła kieliszki, podała jeden Jessemu i usiadła w fotelu naprzeciwko.

— Jesse, powiedziałam Clare, że... się widujemy.

— Tak? — rzucił lekkim tonem, ale opuścił wzrok.

— Nie była zła ani smutna, ale wydaje mi się, że czuje się z tym trochę dziwnie.

— Ja też — przyznał szczerze Jesse.

Łyknęli wina w tej samej chwili i śmiali się, rozbawieni swoim skrępowaniem.

— Nie ma się czym przejmować. — Lexi wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Gdy tylko go dotknęła, zrobiło jej się gorąco, czuła, jak rumieniec przesuwają się po jej szyi i wypełza na policzki. — Nie musimy być poważni, Jesse. Nie musimy rozmawiać o miłości i przyszłości.

— A może nie będziemy rozmawiać w ogóle...

Odstawił kieliszek na stół i wstał. Podeszedł do niej i przyciągnął ją do siebie. Całowali się powoli, Lexi dotknęła twarzy Jessego, a on przesuwając dłońmi po jej plecach i niżej, za pasek, dotykał pośladków. Przeszli do łóżka, zdjęli ubrania i położyli się obok siebie. Kochali się powoli, jakby w zamyśleniu, niemal melancholijnie. Co jakiś czas nieruchomieli, by spojrzeć na siebie, jakby chcieli sobie udowodnić, że dobrze wiedzą, z kim są, że to sprawa osobista, a nie tylko kwestia fizycznego pożądania.

Potem leżeli nieruchomo, obserwując, jak z nieba powoli znikają ostatnie smugi światła. Jessemu zaburczało w brzuchu.

— Muszę coś zjeść.

Leżeli obok siebie, na plecach. Lexi podniosła się na łokciach.

— Mam pustą lodówkę. Moglibyśmy gdzieś pójść.

Milczał przez chwilę.

— Nie. Myślę, że nie powinniśmy jeszcze pokazywać się publicznie.

Znasz to miasteczko. Uważam, że jestem to winien Clare, tobie i sobie też; powinniśmy poczekać, nim pokażemy się gdziekolwiek jako para.

— Masz rację. — Wstała z łóżka i podeszła do lodówki. — Mam trochę starego brie i krakersy...

— Chyba pójdę do domu, Lex. Mama zawsze ma dla mnie jakieś danie do podgrzania.

— W porządku. — Żałowała jednak, że nie pomyślał też o niej, o jej potrzebach i głodzie. Ubrał się i na chwilę ją przytulił.

— Zadzwoń jutro. Nie wiem kiedy, pracuję jakieś osiemnaście godzin dziennie.

— Nie przejmuj się, Jesse — odparła, a potem uśmiechnęła się do siebie. Nie sądziła, by Jesse kiedykolwiek się nią przejmował!

CZEŚĆ CZWARTA

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Trwało lato. Dni były gorące i wilgotne, noce chłodniejsze, w powietrzu unosiła się wieczorna mgiełka. Lexi zawsze się śpieszyła, nigdy nie miała czasu, by porządnie zjeść i wyspać się, była zbyt zajęta, by myśleć o miłości. To prawda — jeśli jesteś właścicielem sklepu w Nantucket, latem musisz zapomnieć o życiu osobistym.

Wszystkie sklepy były otwarte do dziesiątej, by po kolacji lub obejrzeniu filmu ludzie mogli jeszcze pochodzić trochę po mieście i kupić sobie chustę lub bransoletę. Zaglądali rozbawieni do sklepu, zostawiali pieniądze i szli dalej.

Dwa lub trzy razy w tygodniu Myrna zapraszała ją na kolację, a Lexi chętnie korzystała z okazji, by zjeść porządny domowy posiłek. Miała nadzieję, że zobaczy się z Adamem, a może nawet z Adamem i Clare, ale nigdy go tam nie było. Gdy próbowała nakłonić rodziców do rozmowy o życiu uczuciowym brata, zwykle sprytnie unikali tematu, przechodząc do polityki albo lokalnych wiadomości.

Spała nie więcej niż pięć godzin na dobę. Poza tym niemal nieustannie biegała w górę i w dół schodów, żeby rozpakowywać paczki z towarem, lub pędziła do banku, by wpłacić zarobione pieniądze na konto.

O dziesiątej zamykała sklep, przez godzinę sprzątała, układała, czyściła okna i gabloty. Dorzuciła też kilka godzin Oksanie — pracowała teraz codziennie od pierwszej do dziewiątej, a w niedzielę miała wolne. Lexi nie miała wolnego.

Była bardzo zadowolona z Oksany. Rosjanka poruszała się po sklepie zwinnie i lekko, łąpała rzeczy upuszczane przez klientki, nim jeszcze dotknęły podłogi, a potem odkładała je na wieszaki. Była też szczególnie wyczulona na złodziei sklepowych. Lexi zawsze wiedziała, że coś się święci, gdy tylko Oksana przechodziła do drzwi wyjściowych. Mówiła szorstkim, ostrym głosem, niczym domina odziana w skórę, lecz kiedy śpiewała, jej głos zmieniał się nie do poznania, stawał się słodki i łagodny. Gdy padał deszcz, a sklep był pusty, wyśpiewywała

egzotyczne rosyjskie pieśni ludowe.

Jesse także harował w pocie czoła. Potrafił pracować po osiemnaście godzin dziennie, padał ze zmęczenia, ale z przyjemnością obserwował, jak na jego koncie pojawiają się kolejne cyfry. Dzwonił do Lexi codziennie, czasami mogła z nim rozmawiać, a czasami musiała powiedzieć: „Przepraszam. Jestem zajęta. Później”, i odłożyć słuchawkę. Wiedziała, że Jesse doskonale to rozumiał.

Gdy na zewnątrz szalał sztorm, przychodził do sklepu okryty żółtym płaszczem przeciwdeszczowym. Właśnie w deszczowe dni mieli najwięcej czasu dla siebie. Niewielu klientów opuszczało przytulne wnętrza domów lub restauracji, by włączyć się po sklepach. Kiedy krople deszczu bębniły o szyby, a wiatr pędził po przystani spienione fale, Oksana, Lexi i Jesse mogli się rozluźnić i pogawędzić swobodnie. Spora część tych rozmów dotyczyła trudności z poruszaniem się po wyspie samochodem; wąskie drogi Nantucket, wytyczone niegdyś z myślą o wozach kwarków, teraz zatłoczone były hummerami i najdroższymi modelami SUV—ów. Ludzie wrzeszczeli na siebie na skrzyżowaniach, na parkingach przy supermarketach zawsze brakowało miejsc, a klienci krążyli bez końca wokół sklepu, aż puszczały im nerwy i gotowi byli zostawić auto na środku drogi. W sklepowych alejkach nie mieściły się wózki; tłumy turystów schodziły z wąskich chodników na ulicę. Bez ustanku trąbiły klaksony. Letnie dni były długie i gorące, a cierpliwość ludzka ograniczona.

Mniej więcej raz na tydzień Jesse spędzał noc u Lexi, w jej mieszkaniu nad sklepem. Kochali się albo uprawiali seks, bo Lexi wciąż nie wiedziała, jak to nazwać, i nawet nie chciała się nad tym zastanawiać, nie teraz. Wychowała się na wyspie i dzięki temu wiedziała, że nigdy nie należy tu podejmować ważnych decyzji w lipcu lub sierpniu. Nikt nie jest wtedy całkiem normalny. Poza tym życie z Jessem tylko tu i teraz było łatwe. Kojące.

Żadnych napięć. Żadnej przyszłości. Tylko dziś.

Wiedziała, że w Sweet Hart's też mają mnóstwo pracy. Gdy spotykała Clare na ulicy, wymieniały przyjazne uśmiechy i kilka słów: „Jak interesy?”, „Cudownie”, „Wiem, u mnie też!”. Lexi wyczuwała jednak, że Clare otoczyła się swego rodzaju murem. Nie chciała rozmawiać o Jessem i nie chciała nic wiedzieć o ich związku. Na razie Lexi odpowiadał taki układ.

Nie potrafiłaby odpowiedzieć, co właściwie łączy ją z byłym narzeczonym najlepszej przyjaciółki.

Codziennie rano widziała, jak Clare zajeżdża rowerem na tył budynku, a potem otwiera sklep. Klienci ze stopami oblepionymi piaskiem i przypalonymi na słońcu nosami wędrowali od lokalu Lexi do Clare i z powrotem.

Od czasu do czasu Marlene wpadała do Księżycowej Plaży, błagając o drobne. Pucułowata Marlene i smukła Oksana wkrótce się zaprzyjaźniły, a podczas nielicznych chwil spokoju lub krótkich przerw siadały razem na wale nadmorskim i popijały mrożoną kawę. Niemal codziennie Marlene pytała Oksanę i Lexi, czy nie chcą kanapki, bo wybiera się właśnie po lunch.

Po jakimś czasie zaczęła im też przynosić czekoladki, „żeby nie zabrakło im sił”, jak mówiła.

Lexi nigdy nie widziała, by Adam przyszedł na wybrzeże i zajrzał do sklepu Clare. Właściwie wcale się temu nie dziwiła. Lecznica weterynaryjna leżała w innej części miasta, a turystów z pupilami nie brakowało, na pewno miał pełne ręce roboty.

Gdy tylko było to możliwe, Lexi zostawiała sklep pod opieką Oksany i szła na molo, by odwiedzić Jewel. Dziewczynka przychodziła tu co dnia, siadała na skraju pomostu i patrzyła na otwarte morze. Przynosiła lunch w plastikowym pudełku, a w plecaku miała zawsze parę książek, kredki i papier. Była przedziwnym, samotnym dzieckiem. Zawsze starała się tak pokierować

rozmową, by wiązała się jakoś z jej ojcem. Lexi mogła mówić o pingwinach lub Harrym Potterze, a Jewel i tak znalazła sposób, by odnieść to jakoś do swojego taty. Lexi nie miała nic przeciwko temu. Lubiła słuchać opowieści o Tristramie. Lubiła mówić Jewel, jak zapamiętała go z czasów dzieciństwa. Mała często ją o to prosiła, a kiedy Lexi przypominała jej, że kiedyś już o tym mówiła, dziewczynka, niezrażona, odpowiadała: „Ale chcę usłyszeć to jeszcze raz”. Powoli zamieniało się to w swojego rodzaju rytuał, magiczny obrzęd, zaklęcie. Lexi współczuła Jewel, ale także ogromnie ją podziwiała. Nieraz myślała, że gdyby były w tym samym wieku, z pewnością zostałyby przyjaciółkami.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Dobry Boże... — wyszeptała Marlene. — Przecież to lalki Barbie. Nie zajrzały tu ani razu, odkąd otworzyłaś sklep, a to już ładnych parę lat. Powinnaś częściej zmieniać kochanków.

— Przestań. — Clare roześmiała się. Mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie zmienię kochanka, dodała w myślach.

— Cześć, Clare!

— Czeeeeść!

Spring Macmillan i Amber Young, niegdyś szkolne piękności i wciąż nierozłączne przyjaciółki, weszły rozchichotane do sklepu. Obie były już mężatkami i wciąż mogły uchodzić za całkiem atrakcyjne. Jedna była brunetką, druga blondynką, odznaczały się słodką, lalkowatą urodą, którą podkreślały pastelowymi barwami i ubraniami nie do końca już odpowiednimi do ich wieku.

— Cześć, Spring. Cześć, Amber. — Clare skinęła głową na Marlene, dając jej w ten sposób znać, by zajęła się układaniem towaru, przy którym właśnie pracowała.

Zdawała sobie sprawę, że te dwie nie przyszły tu oglądać czekoladek, lecz właśnie ją.

— Nie mogę uwierzyć, że jeszcze nigdy nie byliśmy u ciebie w sklepie, jest naprawdę prześliczny! — szczebiotała Spring.

— Już dawno zamierzałam — mizdrzyła się Amber. — Ale ciągle jestem na diecie. Staram się zachować dziewczęcą figurę.

— Obie wyglądacie na dziewiętnaście lat — odparła Clare zgodnie z ich oczekiwaniami.

— Ty też! — zawołała Amber. — Chyba jeszcze nigdy nie wyglądałaś tak dobrze, Clare.

— Dzięki. — Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wiedziała, że to prawda. Szczęście dodawało jej urody.

— Chyba wezmę parę tych truflí. — Spring wskazała na czekoladki, a potem pisnęła: — Och, nie wiedziałam, że są takie drogie! Poproszę tylko jedną.

— Zapakować? — spytała Clare.

Spring zerknęła na nią z ukosa, jakby chciała sprawdzić, czy sobie z niej nie kpi.

— Nie, nie, zjem na miejscu.

Zapłaciła za czekoladkę i pogryzała ją powoli, rozglądając się po sklepie.

— A ja wezmę te czekoladowe jagody — zdecydowała Amber. Gdy Clare wzięła od niej pieniądze i wręczyła jej papierową torebkę w kropki, Amber rzuciła od niechcienia: — Na mieście mówią, że rozstaliście się z Jessem.

— Mówią prawdę — przyznała Clare z uśmiechem.

Obie od razu podeszły do niej bliżej.

— I spotykasz się z Adamem Laneyem? — spytała Spring.

— Owszem.

— Och, to naprawdę niezła partia — stwierdziła Amber. — Masz szczęście. —

Przekrzywiła lekko głowę, przybierając niewinną minę. — A co z Jessem?

Clare wiedziała, o co im chodzi. Były ciekawskie i uparte, gotowe dręczyć ją, dopóki wszystkiego nie wyśpiewa.

— Wydaje mi się, że Jesse spotyka się z Lexi. Wiecie, ona ma sklep obok mojego.

Powinnyście tam zajrzeć. Księżycowa Plaża. Jest naprawdę fantastyczny.

To zbiło je z tropu. Niemal widziała trybiki kręcące się w ich głowach.

Czy Clare polecałaby sklep Lexi, gdyby ta odbiła jej Jessego? Czy Clare i Lexi nadal były przyjaciółkami? Kto odszedł od kogo, czy Jesse zostawił Clare dla Lexi, czy Clare Jessego dla Adama? Spring i Amber dosłownie się śliniły, i to wcale nie do czekoladek. Clare jednak nie miała im tego za złe. Była ostatnio tak szczęśliwa, że patrzyła na wszystko z wyjątkową wyrozumiałością.

— A... ten... Często widzisz się z Lexi? — Spring nie miała dość odwagi, by zapytać Clare, czy jest wściekła na przyjaciółkę za to, że ta spotyka się z Jessem; jeśli, oczywiście, Jesse rzeczywiście był z Lexi.

— Trudno się z nią nie widywać — odparła Clare wymijająco. — Nasze sklepy są przecież obok siebie. Naprawdę, powinnyście zobaczyć ubrania, które tam sprzedaje. Są boskie.

— Jasne, dzięki...

Spring i Amber pomachały do Clare paluszkami i wyszły.

Clare słyszała, jak wchodzi do Księżycowej Plaży. Ściana tłumiała ich głosy, więc nie rozróżniała poszczególnych słów, ale ich bezmyślny chichot był aż nadto wyraźny. Potem doszedł ją ostry głos Oksany. Zastanawiała się przez moment, gdzie się podziewa Lexi.

Czasami podczas krótkich okresów wychnienia, Clare wychodziła na zewnątrz, by popatrzeć na ocean i zrelaksować się. Słyszała wówczas rozmowy dobiegające z sąsiedniego sklepu, znajomy głos Lexi i szorstką angielszczyznę Oksany, a potem ich melodyjny śmiech. Czuła wtedy zazdrość i ciekawość. Z czego się śmiały? Lubiła Marlene, która była sympatyczna i pracowita, ale nie miała takiego wyczucia stylu ani takiego poczucia humoru jak Lexi.

Czasami, w deszczowe dni widziała Jessego idącego nabrzeżem. Wchodził do Księżycowej Plaży, Oksana wrzeszczała „Tylko nie nachlap na ubrania!”, a po chwili wszyscy troje śmiali się głośno.

Co ciekawe, bardziej brakowało jej towarzystwa Lexi niż Jessego, lecz gdy ci dwoje byli razem, czuła się wykluczona. Gdy była z Adamem, nigdy nie myślała o Jessem, lecz gdy zostawała sama lub pracowała w sklepie, zastanawiała się, czy jej odnowiona przyjaźń z Lexi przetrwa, jeśli jej związek z Jessem przerodzi się w coś poważniejszego. Jak czułaby się, gdyby Lexi opowiadała jej z zachwytem o seksie z Jessem? Jak czułaby się, gdyby Lexi zaręczyła się z Jessem!? A gdyby się pobrali? Tylko czy chciała, by Jesse złamał Lexi serce?

Bonnie Frost wmaszerowała do Sweet Hart's z małym Frankiem w nosidelku na plecach.

— Och, jaki słodziaczek! — Clare wyszła zza lady, by pogłaskać aksamitny policzek dziecka. — Jak się miewasz, Bonnie?

— Dobrze. — Wydawała się zmęczona, ale wciąż wyglądała bardzo ładnie. — Właściwie chciałam się widzieć z twoją przyjaciółką.

— Z moją przyjaciółką?

Bonnie podeszła do okna wychodzącego na przystań.

— Z Lexi. Tam. Siedzi z Jewel. Chcę, żebyś ją powstrzymała, Clare.

Clare podeszła do niej i wyrzała na zewnątrz. Na skraju pomostu siedziała Jewel, a obok

niej Lexi. Pochylały się ku sobie.

— Lexi dała Jewel zestaw do składania biżuterii — poinformowała ją Bonnie. — Wiesz, paciorki, żyłki i tak dalej. Robią razem jakąś bransoletkę.

— I co w tym złego, Bonnie?

— To w tym złego, że Lexi daje mojej córce fałszywą nadzieję! — W oczach Bonnie błysnęły nagle łzy. — Jewel i tak bardzo trudno będzie pogodzić się ze stratą Trisa. Na miłość boską, morze wyrzuciło szczątki jego łodzi w Maine! Jewel musi spojrzeć prawdzie w oczy!

— Lexi na pewno nie mówi Jewel, że Tris żyje — odparła cicho Clare.

— Przypuszczam, że po prostu pozwala jej mówić o Trisie. To dobry sposób, by pozwolić mu odejść.

— Ale ona nie pozwala mu odejść! Inaczej nie przesiadywałaby całymi dniami na tym cholernym moło! Kiedy Lexi do niej przychodzi, Jewel tylko utwierdza się w przekonaniu, że to normalne! Powinna się bawić z przyjaciółkami, jak inne dzieci!

Clare cofnęła się, zaskoczona tym wybuchem gniewu.

— Właściwie powinnaś porozmawiać o tym z Lexi, nie ze mną.

— Jasne. — Bonnie uśmiechnęła się szyderczo. — Jasne. I wcześniej czy później Lexi powie Jewel, że to przeze mnie nie może do niej dłużej przychodzić, a wtedy Jewel będzie mieć pretensję do mnie, że nie pozwalam jej spotykać się z tymi, których kocha. — Wyjęła chusteczkę z kieszeni szortów i wysiąkała nos. — Jewel zawsze najbardziej kochała ojca. W obecności Kena zachowuje się jak wcielony diabeł, nie daje mu najmniejszej szansy. Jest po prostu nieznośna.

— Jest dzieckiem — zauważyła Clare.

— Jasne, jasne, rób ze mnie potwora. I tak wszyscy tak uważają, bo zostawiłam świętego Trisa. Ale musiałam! Ani trochę tego nie żałuję! Wychowałam się tutaj, Clare, wiesz, jak to jest, gdy człowiek czuje się wieśniakiem pośród samych arystokratów! Tris wracał do domu ze smarem na rękach, nie mogłam doprać jego ubrań...

— Bonnie rozłożyła wymownie ręce. — Ty masz swój sklep, na pewno zarabiasz mnóstwo pieniędzy. A Lexi? Lexi dopiero się obłowila, wychodząc za Eda Hardina. Nosi się teraz jak królowa, a ja wyglądam jak łachudra!

Clare stanęła w obronie Lexi.

— Lexi ciężko pracuje, Bonnie. Wiem, bo codziennie ją widzę. Pracuje siedem dni w tygodniu...

— Tak, a widziałaś, co sprzedaje? Nie stać mnie na takie ubrania, a ciebie? Pozwoli Jewel zasmakować życia, jakiego Ken i ja nigdy nie będziemy mogli jej dać.

— Lexi daje Jewel jakieś drogie prezenty? Bonnie, zbита z tropu, cofnęła się o krok.

— Nie. Tylko ten zestaw. I parę książek. Och, proszę, Clare, porozmawiaj z Lexi w moim imieniu, dobrze? — Nagle jej twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie. — A może już z nią nie rozmawiasz?

O Boże... — jęknęła w duchu Clare i położyła dłonie na biodrach. Czy Bonnie odegrała całą tę scenę tylko po to, żeby poznać najnowsze plotki?

Nigdy się nie przyjaźniły. Bonnie zawsze była zbikowana, zrzędliva i zepsuta.

— Powinnaś podzielić się tymi wątpliwościami z Lexi — powiedziała chłodnym tonem. — A teraz, jeśli pozwolisz, wróć do pracy.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Clare czuła się przy Adamie jak zupełnie inna, nowa osoba.

Adam był wyższy, bardziej barczysty i masywniejszy niż Jesse. Czuła się przy nim drobna i jakby młodsza, delikatniejsza. Adam dotykał jej częściej niż Jesse — całował ją namiętnie rano, wieczorem masował jej stopy, czym sprawiał jej niezwykłą przyjemność, a gdy oglądali razem telewizję, przyciągał ją do siebie i tulił.

Częściej z nią rozmawiał. Miał wyrobione zdanie w kwestiach politycznych, na skalę miasta i kraju. Raczył ją niezliczonymi anegdotami o swoich futrzastych i pierzastych pacjentach. Pytał, jak minął dzień, i słuchał jej z uwagą, zapamiętywał. Mówił: „Czy te koszyczki z czekoladkami sprzedawały się tak dobrze, jak oczekiwałaś?”. Clare była zachwycona, że ma mężczyznę, którego naprawdę interesuje, co ona robi i mówi.

Spędzał niemal każdą noc w jej domu. Ojciec go lubił, Ralphie uwielbiała, a Clare była szczęśliwa, gdy siedział przy jej stole. Czasami przynosił jedzenie na wynos, więc nie musiała gotować; nigdy nie oczekiwał tego od niej. Od czasu do czasu przynosił jej drobne prezenty — róże albo butelkę dobrego wina albo jakąś błyskotkę, która wpadła mu w oko, gdy przechodził obok sklepu z biżuterią.

Kiedy szli do łóżka, zapominała o zmęczeniu i troskach. Uwielbiała, gdy poznawali nawzajem swoje ciała, gdy duże dłonie Adama uczyły się jej krągłość— ci i konturów, wyszukiwały szczególnie wrażliwych i delikatnych miejsc. Jej dłonie także odkrywały nowe światy, gdy przeciągała nimi przez gęste włosy na jego piersiach, sięgała w dół, do samych łądzwi. Klęczała nad nim w gorące letnie noce, przeciągała językiem po jego muskularnych plecach i długich nogach, jej usta poznawały jego mięśnie, więzadła, ścięgna, knykcie, płatki uszu, poduszki palców i dłoni, twarde węzły żył. Chciała go połknąć. Chciała wciągnąć go całego w siebie. Potem on przewracał ją na plecy i wchodził w nią, wypełniał, a ona leżała nieruchomo, nie ruszała się, by nie dotarli zbyt prędko do eksplozji rozkoszy; nie ruszała się, niemal wstrzymywała oddech, sycąc się jego ciepłem, jego delikatną twardością, która wypełniała ją tak szczelnie, że niemal sprawiała ból.

Potem zaczynała powoli poruszać biodrami. Wtedy on wchodził jeszcze głębiej i oboje zapominali na moment o całym świecie.

Mijały kolejne dni lata. Stali klienci, którzy w tym czasie mieszkali na wyspie, przychodzili po swoje codzienne porcje smakołyków. Nie brakowało też przypadkowych przechodniów — zaglądali do sklepu i zachwyceni wychodzili z torbami pełnymi zakupów.

Od czasu do czasu wstąpił ktoś znajomy, częstował się jagodami w czekoladzie i pytał:

— Jak się miewa Jesse?

— Spotygam się z kimś innym — odpowiadała. — Z kimś bardzo różnym od Jessego, mężczyzną z wyspy. .. Ale to wszystko bardzo świeża sprawa, nie chcę jeszcze o tym rozmawiać.

Nawet tych kilka słów na temat Adama sprawiało, że oddalała się od świata zamętu, jakim było jej życie z Jessem, i wkraczała w słoneczną krainę szczęścia.

Zwykle Adam spał u niej. Clare wtulała się w niego niczym niedźwiedziątko w potężnego rodzica. Leżeli spleceni w czułym uścisku, odpoczywali po seksie. Clare trzymała w dłoni miękkiego, zmęczonego penisa Adama. Nie mogła go nie dotykać.

Pewnej nocy Adam wyszeptał jej do ucha:

— Wydaje mi się, że zawsze byłem w tobie trochę zakochany.

Serce Clare zabiło mocniej. Miłość. Takie potężne słowo. Wiedziała, że i ona kocha Adama. Lecz czym było w takim razie uczucie, którym darzyła Jessego? Odsunęła się nieco, by mogła na niego patrzeć. Z tej pozycji widziała na jego brodzie włoski, które pominął przy porannym goleniu.

— Nawet kiedy byłam niezdolną smarkulą?
Przesunął dłonią po jej plecach i biodrze.
— Byłaś śliczną dziewczynką.
— Och, daj spokój, w ogóle mnie nie zauważałeś. Lexi i ja zawsze szpiegowaliśmy cię i twoich przyjaciół. Interesowała was tylko piłka, baseball, pływanie i łowienie ryb.

— Więc ty mnie zauważałaś.
— Och, Adam, zawsze byłam w tobie zadurzona. — Przysunęła się bliżej, pocałowała jego pierś, biceps, szyję. — A teraz... — Chciała mu powiedzieć, że go kocha, ale czy uwierzyłby jej? Tak niedawno rozstała się przecież z Jessem.
Adam oszczędził jej rozterek.
— Nie musisz tego mówić. A ja nie muszę tego słyszeć. To lato i tak było wystarczająco dziwne i dramatyczne. Nie chcę, byś składała mi jakiegokolwiek obietnice, dopóki nie będziesz pewna, że możesz ich dotrzymać.
Wystarczy mi na razie to, co jest.
— Wiem, wiem — mruknęła, ocierając się o niego.
— Ale kiedyś będziemy musieli porozmawiać o przyszłości...
— Jeśli nie przestaniesz tego robić, za chwilę w ogóle nie będę w stanie mówić — odparł Adam, po czym przewrócił ją na plecy i pochylił się nad nią.

Wyspa prażyła się w bezlitosnym sierpniowym słońcu. Wszyscy mieli poparzone nosy i ramiona albo pokrywali je grubą warstwą kremu, a kobiety nie wychodziły z domu bez kapelusza. W sklepie wszystkie dni wyglądały podobnie. Rano ruch panował duży, bo kobiety chodziły po mieście, organizując się na resztę dnia, kupowały czekoladki dla gości lub na przyjęcia urodzinowe, zamawiały specjalne zestawy na rocznice. W porze lunchu robiło się spokojnie. Było zbyt gorąco, by chodzić po sklepach, kto mógł, leżał na plaży albo w hamaku pod drzewem. Około czwartej, umyjni, odświeżeni i przygotowani do długiego letniego wieczoru, znów wychodzili do miasta, gotowi wydawać pieniądze na smakowite czekoladki i piękne ubrania.

Ojciec Clare powoli dochodził do siebie. Codziennie był ogolony, czysty i ubrany, przy kolacji rozmawiał z Adamem, oglądał z nim mecze, a czasami zabierali razem Ralphie na spacer. Clare nie mogła zrozumieć przyczyn tej odmiany. Czy ojciec odetchnął z ulgą, gdy z ich życia zniknął Jesse? Wiedziała, że nigdy szczególnie za nim nie przepadała i rozumiała to.

Jak rodzic mógł ufać człowiekowi, który tyle razy doprowadzał jego córkę do płaczu? A może ojciec był szczęśliwy, bo sama Clare była ogromnie szczęśliwa, a życie wydawało się takie pozytywne, takie radosne. Bez względu na przyczynę tego stanu rzeczy, Clare była wdzięczna losowi.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Przy południowym brzegu kontynentu rodziły się huragany, wznosiły nad ziemią wirujące upiorne zwoje niczym mityczne furie. Czasami na wyspie zrywał się silny wiatr, podnosił papiery na ulicach i stukał gałęziami drzew w okna. Piach sypał dzieciom w oczy i siekł po nogach, a ludzie zamiast na plażę chodzili do sklepów. Sprzedaż czekolady szła w górę, każdy szukał spokoju i szczęścia w substancjach chemicznych, które zawiera kakao.

Clare przychodziła do pracy bardzo wcześnie. Zawsze miała dużo do zrobienia. Właśnie

włożyła do gabloty nową tacę z Nantucket Nuggats i zasunęła szybę, gdy zadzwonił telefon. Jedną ręką chwyciła za słuchawkę, a drugą otworzyła kolejną gablotę.

— Sweet Hart's.

— Clare, to ja, Lexi.

— Och, Lexi, jestem strasznie zajęta.

— Ja też. Ale muszę z tobą pogadać. Możesz spotkać się dziś ze mną na Księżycowej Plaży? Po dziesiątej wieczorem?

—Lexi...

— Clare, to nie może czekać.

— No dobrze, ale dlaczego musimy iść aż na Księżycową Plażę? Jesteśmy dorosłe.

Możemy się po prostu napić.

— Zrozumiesz, kiedy ci powiem. Naprawdę muszę powiedzieć ci to na Księżycowej Plaży.

— Proszę pani? — Dwie kobiety wysunęły głowy zza drzwi. — Już otwarte?

— Dobra — rzuciła Clare do słuchawki. — Dziesiąta piętnaście.

Kiedy Clare wjechała na moczary okalające plażę, rangę rover Lexi stał już przy drodze. Odszukała ścieżkę i zaczęła przeciskać się przez leśny gąszcz. Wcześniej zadzwoniła do Adama i powiedziała mu, że nie będą mogli się spotkać tego wieczoru, była rozczarowana i zirytowana, a do tego okropnie zmęczona. Odpychała na boki gałęzie i liście, bezceremonialnie deptała trawy i mchy. Gdy wreszcie dotarła na plażę, zobaczyła Lexi, która przechadzała się nerwowo wzdłuż brzegu.

Blask księżyca i światła łodzi zacumowanych w przystani oblewały ich plażę chłodną niebieską poświatą. Lekka bryza marszczyła powierzchnię wody, drobne fale uderzały z chlupotem o brzeg.

Lexi ściągnęła włosy do tyłu, niemal na czubek głowy, i unieruchomiła je spinką. Była ubrana w białą koszulkę z krótkimi rękawami i powiewną, brzoskwiniową spódnicę.

—Clare! Dziękuję, że przyszłaś. To naprawdę miłe z twojej strony. Na pewno jesteś bardzo zmęczona...

— Tak, jestem bardzo zmęczona. Ty też. Więc o co chodzi?

Lexi wydawała się nie tylko zmęczona, ale też udręczona. Westchnęła ciężko i pomachała rękami w geście, który Clare znała od dzieciństwa.

— No mówże, Lexi! — warknęła, zniecierpliwiona.

— Jestem w ciąży! — odpowiedziała podobnym tonem Lexi.

Clare rozdziawiła usta ze zdumienia.

—Co?

— Minął dopiero miesiąc, ale musiałam ci powiedzieć.

— To dziecko Jessego?

Lexi skinęła głową.

— Cholera, nie używałaś jakichś środków zapobiegawczych?

Kiedy Jesse był z Clare, miał obsesję na punkcie antykoncepcji. Przez długie lata zażywała pigułki. Skoro Lexi zaszła w ciążę, to Jesse musiał być w niej zakochany do nieprzytomności albo tak bardzo dał się ponieść namiętności, że zapomniał o kondomie.

Lexi odwróciła wzrok, zakłopotana.

— Nie za pierwszym razem.

To zabolalo. Jakby uciekając przed swoimi emocjami, przeszła obok Lexi i zatrzymała się nad samą wodą. Niewielka chmura zasłoniła na moment tarczę księżyca, ich cienie zachwiały się, a potem zniknęły. Próbowwała uspokoić rozszalałe serce. Pomyślała o Adamie. Poskutkowało.

Pomyślała o Lexi i jej ciąży. Odwróciła się i zapytała:

— Co zamierzasz z tym zrobić?

Lexi odpowiedziała cicho:

— Posłuchaj. Kiedy byłam z Edem, trzy razy zachodziłam w ciążę. I trzy razy poroniłam.

Clare przyłożyła dłoń do serca.

— Och, Lexi, tak mi przykro...

— Chcę urodzić to dziecko.

Dziecko Jessego, pomyślała Clare. Jej wymarzone dziecko. W ramionach Lexi. Nagle ogarnęła ją panika.

— Lexi, nie mogę.

— Clare...

— Przykro mi. Nie kocham już Jessego i naprawdę dobrze ci życzę, ale po prostu nie mogę... nie mogę tu teraz być.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę ścieżki.

— Clare! — zawołała Lexi, idąc za nią. — Clare, proszę.

Clare szła dalej, nie zważając na ostre żdźbła traw, które siekły ją po gołej skórze.

Lexi zawołała:

— Clare, stój. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, zawsze byłaś. Potrzebuję cię teraz.

Przystanęła. Odwróciła się.

Lexi stała z rękami opartymi na biodrach.

— Clare — powtórzyła cicho. — Dziecko.

Clare przypomniała sobie czasy, gdy obie były jeszcze małymi dziewczynkami, nosiły w ramionach lalki owinięte w koce, pieściły je i kołysały, z powagą rozprawiając o pieluszkach i karmieniu butelką. Pomyślała o dziecku Penny, Mikeyu. O jego ufnych oczach i radosnym śmiechu. Czują, jak zbiera jej się na płacz.

— Boże, Lexi, będzie przepiękne.

W oczach Lexi również lśniły łzy.

— Tak myślisz?

Clare podeszła do niej i położyła dłoń na jej brzuchu. Przez moment obie stały nieruchomo, słuchając, czekając. W końcu Clare roześmiała się.

— Płaski jak deska, jak zawsze.

Przeszły razem na środek plaży, usiadły i opłoty kolana ramionami, wpatrzone w wodę.

— Jesse wie? — spytała Clare.

— Nie, nie powiedziałam mu jeszcze. Nie powiedziałam nikomu prócz ciebie. Chcę poczekać jeszcze co najmniej miesiąc. Poprzednie traciłam w pierwszym albo drugim miesiącu.

— Może winne było nasienie Eda, a nie ty — zasugerowała Clare.

— Mam nadzieję. — Lexi odchyliła się do tyłu i oparła dłonie o piasek.

— Nie wiem, co zrobi Jesse. Nie wiem nawet, czego od niego oczekuję.

— Nie jest wzorem odpowiedzialności.

— Wiem. Może się wkurzyć.

— Albo nie. Może jest w tobie zakochany.

— Nie sędzę.

— A ty? Kochasz go?

Lexi milczała przez chwilę.

— Pociąga mnie. Bawi. Mówią, że kobieta powinna wyjść za faceta, który potrafi ją

rozbawić.

— Rozmawialiście o małżeństwie?

— Chyba żartujesz. Jesse jest nieszczęśliwy, kiedy musi się zobowiązać do przyścia na kolację.

— Zawsze taki był — mruknęła Clare.

— Więc wiem, że nie mogę na niego liczyć. Ale mam rodziców.

Clare wzięła głęboki oddech.

— I masz mnie. — Objęła Lexi ramieniem. — Nie mówię, że będzie to dla mnie łatwe, Lexi. Przez długie lata marzyłam o dziecku Jessego. Ślicznym niemowlęciu o jasnych włosach i niebieskich oczach. Ale to ty je masz. Bez względu na to, co jeszcze wydarzy się w moim życiu, ty będziesz miała dziecko Jessego. A ja sama jeszcze nie wiem, jak to przyjmę. Więc daj mi trochę czasu, dobrze?

— Mamy dużo czasu — odparła Lexi.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Niektóre dni sierpnia lśniły czystym złotem: Poziom wilgotności podnosił się wówczas tylko nieznacznie, więc niebo było błękitniejsze, powietrze czystsze, a nastroje lepsze. Kupcy powiększali stan swoich kont, dzięki czemu mogli ze spokojem myśleć o następnej zimie. Interesy szły na tyle dobrze, że mogli nawet zaplanować zimowe wakacje na Kostaryce albo rozbudowę domu. Miejscowe instytucje — biblioteka, towarzystwo historyczne, muzeum nauki — również bogaciły się dzięki darowiznom zadowolonych z życia miliarderów wypoczywających na wyspie. W ciągu dnia po wodach oceanu sunęły kolorowe żagłówki, a wieczorami restauracje wypełniały się do ostatniego miejsca, przy zarezerwowanych wcześniej stołach siadali zrelaksowani, opaleni i szczęśliwi turyści, którzy raczyli się owocami morza lub wymyślnymi deserami.

W miarę jak zbliżał się wrzesień, do Księżycowej Plaży zaglądało coraz więcej kobiet, które chciały kupić jakąś pamiątkę z wakacji, zabrać do domu część blasku i egzotyki ubrań Lexi, jakby mogły w ten sposób zapakować do walizek odrobinę słońca, by cieszyć się nim podczas długiej jesieni i zimy.

Rankiem Lexi była zbyt zajęta, żeby myśleć o czymkolwiek innym niż praca. W południe mogła trochę odetchnąć.

— Oksana, muszę iść do banku. Kupię po drodze lunch, chcesz coś?

Oksana była w przymierzalniach, zbierała ubrania. Wyszła z kabiny i zaciągnęła zasłonę.

— Makaron z Even Keel i mrożoną kawę. Dzięki.

Gdy Lexi szła wzdłuż Main Street, czuła się lepiej niż ostatnio, nie dokuczały jej już nudności, miała więcej sił. Dotyk słońca na odsłoniętych ramionach rozluźniał ją, poprawiał humor. Wiedziała, że świetnie wygląda w kakaowej krótkiej sukience i sandałach zdobionych paciorkami. Czy może zaufać swojemu żołądkowi na tyle, by wypić dużą pyszną kawę z lodem? To mogłoby rozjaśnić jej umysł. Może potrafiłaby wtedy sięgnąć myślą dalej niż godzinę do przodu. Może zrozumiałaby wreszcie, co właściwie łączy ją z Jesseem.

— Cześć Lexi — zawołała Mimi z księgarni.

Lexi uśmiechnęła się i pomachała do niej. Była przecież w domu. Z pewnością wiele razy w życiu znajdowała się już w znacznie gorszej sytuacji. Teraz mogła patrzeć w przyszłość z optymizmem.

Ktoś pochwycił ją mocno za ramię i obrócił z taką siłą, że omal nie straciła równowagi.
— Muszę z tobą porozmawiać — oświadczyła Bonnie Frost. Wydawała się zdenerwowana, spięta. W nosidełku siedział jej synek, który obgryzał właśnie własną piąstkę, cały zaśliniony i czerwony.

— Cześć, Bonnie! Cześć maluszkę! — Lexi podniosła rękę, by pogłaskać dziecko po policzku, lecz Bonnie odsunęła się gwałtownie, jakby bała się ukąszenia. Twarz miała pociemniałą z gniewu.

— Dałam ci chyba wyraźnie do zrozumienia, że nie chcę, żebyś odwiedzała Jewel na molo!

Lexi wzięła głęboki oddech i starała się mówić spokojnym, pojednawczym tonem.

— Posłuchaj, Bonnie, ja nie każę jej tam siedzieć. Nie zachęcam jej do tego. Po prostu dotrzymuję jej towarzystwa. Wydaje się okropnie samotna.

— Nie wtrącaj się w życie mojego dziecka! Nie masz pojęcia, co jest dla niej najlepsze! To ja jestem jej matką. Wiem, co się z nią dzieje i zamartwiam się na śmierć.

Bonnie nie zdawała sobie sprawy, że krzyczy. Niektórzy przechodnie skrywali uśmiechy zakłopotania, inni przystawali na chodniku i gapił się na nie, jakby były jeszcze jedną atrakcją Nantucket.

— Bonnie, usiądźmy. — Lexi położyła dłoń na ramieniu kobiety, chcąc zaprowadzić ją na pobliską ławkę.

Bonnie strąciła jej rękę.

— Nie dotykaj mnie! I pamiętaj, ja nie żartuję. Jeśli nie będziesz trzymać się z daleka od Jewel, pójdę do sądu i załatwię odpowiedni nakaz.

Lexi nie wierzyła własnym uszom.

— Bonnie, chyba przesadzasz! Przecież nie robię jej krzywdy.

— Dajesz Jewel nadzieję, że jej ojciec żyje!

— Bo może żyje! — odgryzła się Lexi. — Może nie umarł tylko dlatego, że tobie to pasuje!

Bonnie wymierzyła jej siarczysty policzek.

Lexi wciągnęła gwałtownie powietrze. Przyłożyła dłoń do policzka, a jej oczy wypełniły się łzami.

— Nie masz prawa mnie oceniać — syknęła Bonnie. — Próbuję chronić Jewel przed cierpieniem większym niż to, które musi znosić już teraz. Nie masz prawa dawać jej nadziei na niemożliwe!

Lexi poczuła się nagle, jakby jej świadomość weszła na wyższy poziom postrzegania, jakby tkwiła jednocześnie w swoim ciele i poza nim, spoglądała z góry na samą siebie i na rozjuszoną Bonnie, na tłum gapiów, którzy przyglądali się im z niepokojem i zaciekawieniem.

Widziała, jak synek Bonnie chwyta jej włosy i próbuje włożyć je sobie do ust.

Wyczuwała obecność własnego dziecka, unoszącego się spokojnie w jej brzuchu.

— Bonnie — powiedziała cicho. — Czasami dobrze jest wierzyć w niemożliwe. Czasami cuda się zdarzają.

— Nie zachowuj się jak idiotka — warknęła Bonnie. — Tris nie żyje, a ja powtarzam ci po raz ostatni, głupia dziwko, żebyś zostawiła moje dziecko w spokoju. — Obdarzyła ją jeszcze jednym wściekłym spojrzeniem i odeszła w swoją stronę.

Do wieczora wszyscy mieszkańcy miasteczka wiedzieli już o tym, że Bonnie Frost spoliczkowała Lexi. Każdy miał swoje zdanie na ten temat, rozmawiano o tym przez telefon, przed telewizorem, przy kolacji. Niektórzy uważali, że Lexi wtrąca się w nie swoje sprawy. Inni mówili, że Bonnie zaniedbuje Jewel, odkąd związała się z Kenem Frostem, i dobrze, że ktoś wreszcie zajął się tym dzieckiem.

Gdy Clare obsługiwała klientów w sklepie, słyszała różne dyskusje na ten temat, sama jednak nie zabierała głosu. Wydawało jej się, że Lexi nie robi nic złego. Jewel była dobrym dzieckiem, nad wiek rozwiniętym, niezależnym, co z pewnością nie ułatwiało jej życia. Do tego miała naturę samotnika — gdyby Clare i Lexi były w tym samym wieku co ona, z pewnością by się z nią zaprzyjaźniły. Tymczasem Bonnie i Ken myśleli tylko o pieniądzach. Clare stała po stronie Jewel i Lexi.

Potem przypomniała sobie, że Lexi jest w ciąży z Jessem. Ogarnęła ją zazdrość. Może będzie to mała dziewczynka podobna do Lexi. Albo chłopiec podobny do Jessego. Zacisnęła mocno powieki, odganiając ból. Nie teraz. Nie teraz. Musiała pracować. Bogu niech będą dzięki za pracę.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Niedzielny poranek okazał się wyjątkowo gorący i parny, wydawało się, że cały świat pogrążył się w letargu. Woda w przystani była płaska jak stół, ledwie kilka łodzi podniosło żagle i próbowało odplynąć od brzegu.

Lexi podkręciła klimatyzację. Upał otępił ją i przyprawiał o mdłości, a chłodne powietrze z klimatyzatora nieco łagodziło dolegliwości. Rano wymiotowała, a teraz jej żołądek domagał się jedzenia.

Przespacerowała się po sklepie, poprawiając towary na wieszakach i półkach. Jakaś rozgorączkowana klientka wpadła po dziesięć małych pudełek na prezenty dla przyjaciół. Tuż po niej pojawił się mężczyzna — chciał kupić naszyjnik dla swojej dziewczyny. Gdy Lexi pakowała prezent do ozdobnego pudełka, do sklepu weszło pięć rozgadanych kobiet, które objęły się o gabloty, podnosiły szale i chusty, a potem opuszczały je bezceremonialnie gdzie popadnie. Zerknęła na zegarek. Gdzie podziewała się Oksana?

Wreszcie sklep opustoszał. Zastanawiała się, czy zdąży wyjść na górę i wziąć sobie brzoskwinię.

Znów otworzyły się drzwi.

— Duży ruch? — spytała matka, wchodząc do środka. Myrna świetnie ostatnio wyglądała, była opalona i wypoczęta. Tego dnia włożyła zgrabne białe rybaczki i prążkowaną bluzkę.

— Dosyć. Oksany jeszcze nie ma, a ja umieram z głodu.

— No to pewnie się ucieszysz z mojej wizyty. — Wyjęła z koszyka termos i pudełko. — Mrożona kawa z tiramisu i babeczki z jagodami domowej roboty. Pomyślałam, że chętnie coś przegryziesz.

— Cudownie, mamu, dzięki!

Pochwyliła babeczkę i wgrzyzła się w nią łapczywie. Jak dobrze mieć taką mamę. Zamierzała powiedzieć jej, że jest w ciąży, ale jeszcze nie czuła się na to gotowa. Poza tym to nie

było dobre miejsce ani czas, w każdej chwili do sklepu mogły wejść klientki.

— Pyszne.

— Cieszę się. — Myrna rozejrzała się po sklepie. — Pamiętam, że kiedy my prowadziliśmy sklep, latem pomagali nam zwykle studenci z college'u.

W soboty wieczorami zawsze imprezowali do późnej nocy, a w niedzielę przychodzili spóźnieni i skacowani.

— Oksana taka nie jest. — Lexi ostrożnie pociągnęła łyk mrożonej kawy. Wydawało się, że jej żołądek gotów był to przyjąć. — Nigdy dotąd jej się to nie zdarzyło. Mam nadzieję, że nie zachorowała.

Zadzwonił telefon.

— To pewnie ona — stwierdziła Myrna.

— Księżycowa Plaża, Lexi przy telefonie.

— Cześć, Lexi — mruknął jakiś mężczyzna. — Mówi— Clyde Thompson. Widziałaś dzisiaj Jessego?

— Nie... — Nie przyszedł do pracy. Brakuje mi ludzi.

Poprzedniego wieczoru Jesse zadzwonił do Lexi i powiedział jej, że spędzi noc u rodziców, bo jest bardzo zmęczony, ale Clyde Thompson nie musiał tego wiedzieć.

— Dobrze, zadzwonię do ciebie, gdy tylko będę miała od niego jakieś wiadomości... — Nagle serce zamarło jej w piersiach. — Och, Clyde...

Wypuściła z dłoni telefon i oparła się o ladę, by nie stracić równowagi.

— Co się dzieje? — Matka pochwyciła telefon. — Halo? Mówi Myrna Laney. W czym mogę pomóc?

— Cześć, Myrna, tu Clyde Thompson. Szukam Jessego. Nie przyszedł do pracy.

— Rozumiem. — Myrna przyjrzała się uważniej Lexi.

— Czy stało się coś, o czym powinienem wiedzieć? — spytał przedsiębiorca budowlany.

— Nie wiem, Clyde.

Lexi podniosła głowę.

— Powiedz mu, że zadzwonię, gdy tylko będę coś wiedzieć.

CZTERDZIEŚCI

Lexi pomyślała, że zaraz zemdleje. Przełknęła ciężko i wzięła kilka głębokich oddechów. Potem przemówiła chrapliwym głosem:

— Mamo, popilnujesz sklepu? Pójdę do apteki, wiesz, tam gdzie pracują Rosjanki. Może wiedzą coś o Oksanie.

— Oczywiście. — Myrna skinęła głową. — Idź. Nie musisz się spieszyć. Poradzę sobie.

— Dzięki. Postaram się jak najszybciej wrócić.

Idąc w stronę centrum, potykała się na bruku i zataczała, jakby była pijana. Nie czuła chłodnego cienia drzew, nie widziała wspaniałych towarów na wystawach mijanych sklepów. Umysł nie był w stanie sformułować jednoznacznie jej obaw, kręcił się tylko wokół jednej myśli, którą Lexi powtarzała pod nosem:

— Nie zrobiłby tego, nie zrobiłby... nie odszedłby bez słowa...

Turyści przyglądali jej się ze zdumieniem, lecz nie. zwracała na to uwagi, skupiała się

jedynie na biciu własnego serca i stukocie butów. Wpadła do apteki, otwierając drzwi na całą szerokość, niczym matka, która wchodzi do pokoju dziecka i przyłapuje je na paleniu trawy.

Za ladą stała śliczna wysoka blondynka, Sophia. Lexi podeszła do niej, drżąc na całym ciele.

— Czym mogę służyć? — spytała uprzejmie farma— ceutka.

— Sophio, poznałyśmy się już kiedyś. Jestem Lexi Laney, właścicielka Księżycowej Plaży, gdzie pracuje Oksana — mówiła szybko, jakby chciała mieć to już za sobą. — Przepraszam, że cię niepokoję, ale muszę wiedzieć, co się stało. Jesteś przyjaciółką Oksany, a ona nie przyszła dzisiaj do pracy.

Może ty wiesz, gdzie się podziewa.

Sophie uśmiechnęła się nerwowo.

— Tak, mam coś dla ciebie.

Lexi miała wrażenie, że w aptece zapadła nagle cisza, że wszyscy sprzedawcy i klienci umilkli i nadstawiają ciekawie uszu.

Sophia sięgnęła pod ladę.

— Oksana zostawiła to dla ciebie.

Lexi wzięła od niej niepozorną białą kopertę z odręcznym napisem „Lexi”. Serce biło jej jak szalone, dłonie pociły się nerwowo.

— Dziękuję, Sophio — powiedziała cicho.

Udało jej się jakoś wyjść z apteki i dotrzeć o własnych siłach do sklepu.

Sierpniowe słońce paliło niemiłosiernie, lecz od wewnątrz przenikał ją zimny strach.

Nie weszła do Księżycowej Plaży frontowymi drzwiami, okrążyła budynek i usiadła na wale nadmorskim. Fale uderzały miarowo o brzeg, na horyzoncie przesuwały się kolorowe żagle, w górze krzychały mewy. Lexi otworzyła kopertę.

W środku leżały dwie kartki papieru. Rozłożyła obie.

Pierwsza wiadomość była bardzo krótka, składała się tylko z trzech zdań: „Lexi, przepraszam. Wybac mi. Zakochałam się”.

Druga, sporządzona pochyłym, ledwie czytelnym pismem Jessego, była dłuższa:

„Lexi, przepraszam, ale myślę, że mnie zrozumiesz. Oksana i ja wyjeżdżamy z wyspy. Pobierzemy się, gdy tylko będzie to możliwe, a potem pojedziemy do jej rodzinnego miasta, Łabińska — możesz znaleźć je na mapie Rosji. Będę mógł podróżować wszędzie. Za moje oszczędności kupimy mały sklep. Wiem, że takie odejście bez słowa pożegnania może wydawać się okropne, ale prawdę mówiąc, to zupełnie jak w „Czarnoksiężniku z Krainy Oz”, gdzie czarno—biały świat zamienia się nagle w Technicolor. Po raz pierwszy w życiu wiem, co chcę robić. Nigdy nie chciałem ciebie skrzywdzić. Ale ty mnie nie kochasz, nie naprawdę. Spędziliśmy razem parę przyjemnych chwil. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa, tak jak ja. Serdeczności, Jesse”.

Serdeczności? Bezosobowość tego słowa mocno zabolowała Lexi. Zgniotła oba listy w dłoniach, jakby mogła w ten sposób unicestwić zapisane na nich myśli i uczucia.

— Lexi? — Myrna wysunęła głowę zza tylnych drzwi. — Masz klienta.

— Dzięki, mam. — Nie mogła się teraz załamać. Nie mogła sobie na to pozwolić. Wstała i weszła do sklepu. Podążyła zgniecione listy matce.

Wnętrze Księżycowej Plaży było chłodne, suche, spokojne i pachnące, cudowna oaza w świecie letniego upału. Przy półkach stała jakaś kobieta w sukience do tenisa, która trzymała w dłoni kaftan. Lexi miała pracę, i to pozwalało jej mocno trzymać się ziemi. Wzięła głęboki

oddech.

— Czym mogę służyć? — spytała.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Dzień dobry, drogie panie.

Clare wciąż była pogrążona w cudownym błogostanie. Gdy poruszała się po sklepie — uzupełniała towar na półkach i poprawiała kokardki na pudełkach — jej letnia sukienka wirowała wokół niej lekko, a zdobione koralikami bransolety brzęczały melodyjnie. Była tak bardzo zakochana, że nawet ucieszyła się na widok lalek Barbie wchodzących do sklepu.

— Chciałyśmy tylko popatrzeć — zaszczebiotała Amber. — Moja teściowa ma w przyszłym tygodniu urodziny...

Clare zerknęła na nie z ukosa. Czowała, że chodzi o coś więcej niż urodziny teściowej.

— Co powiecie na tę bombonierkę? Czekoladki w różnych smakach.

Amber i Spring przyglądały jej się badawczo, jakby próbowały czytać jej w myślach.

— Hejże! — Clare roześmiała się pobłaźliwie. — Co się z wami dzieje?

— Rozmawiałaś dziś z Lexi? — spytała Amber.

— Nie — odparła Clare niepewnie.

— Ale numer... — Spring zachichotała. — Sąsiadujecie z sobą przez ścianę, a ty o niczym nie wiesz.

— O czym nie wiem? — Miała ochotę potrząsnąć nimi z całej siły.

Wiedziała, że uwielbiają się droczyć, i że jedyny sposób, by z nich coś wyciągnąć, to udawać kompletny brak zainteresowania. Odwróciła się więc do nich plecami i zaczęła czyścić szybę gabloty.

Amber nie wytrzymała:

— Jesse zniknął. Oksana też.

Clare znieruchomiała.

—Co?

— Mój brat Hank był dziś rano w aptece, kiedy weszła tam Lexi — mówiła Spring, wyrzucając z siebie słowa niczym kule z karabinu maszynowego. — Słyszała, jak Lexi mówi Sophie, że Oksana nie przysłała do pracy, i widział, jak Sophia daje Lexi list od Oksany.

Amber także chciała mieć swój udział w przekazywaniu sensacyjnych wieści, weszła więc Spring w słowo i kontynuowała, podniecona:

— Hank wie, że Jesse spotykał się z Lexi, więc zadzwonił do Gordiego Evansa, budowlańca, a Gordie zadzwonił do Clyde'a Thompsona, u którego pracuje Jesse, no i Clyde powiedział, że Jesse też nie zjawił się w pracy.

— Dwa dodać dwa równa się cztery... — zakończyła Spring z triumfalną miną.

Tak wiele emocji wypełniło nagle głowę Clare, że musiała przygryźć wargę, by jakoś się opanować. Z udawaną obojętnością powiedziała:

— Może Jesse zachorował.

— Oksana też? — Amber uśmiechnęła się znacząco. — I zamiast zadzwonić do swojej szefowej, zostawiła jej list?

Otworzyły się drzwi sklepu. Do środka weszło stadko starszych kobiet, które obstały gabloty i przyglądały się czekoladkom.

— Pogadamy później, co? — powiedziała Clare do lalek Barbie z fałszywą słodyczą. — Czym mogę paniom służyć?

Gdy tylko Spring i Amber opuściły sklep, Clare zadzwoniła do rodziców Jessego. Przez długie lata chronili syna i wysłuchali tylu żalów porzuconych kobiet, które przelewały na nich smutek i gniew, że uodpornili się na tego rodzaju rozmowy. Zdradzali niewiele i nigdy nie okazywali emocji.

Lecz dziś, gdy matka Jessego odebrała telefon, mówiła dziwnie zdławionym głosem, jakby płakała.

— Phyllis? Tu Clare.

Matka Jessego chlipnęła głośno, po czym bez żadnych wstępów wyznała:

— Tak, Clare, tak, to prawda, Jesse wyjechał, opuścił naszą wyspę na zawsze, będzie mieszkał w Rosji, w jakimś zapadłym miasteczku. Och, Clare, już nigdy go nie zobaczymy!

Clare słyszała, jak ojciec Jessego mruczy coś w tle.

— Nigdy nie przypuszczaliśmy, że spotka nas coś takiego — łkała Phyllis Gray. — Nigdy nie sądziliśmy, że on opuści wyspę na dobre! Ma tu tylu przyjaciół! Rodzinę! A jeśli będzie miał wnuki? Nigdy nie zobaczymy naszych wnuków!

Cóż, jednego zobaczycie... — pomyślała Clare. Lecz to nie ona powinna zdradzić im ten sekret. Zastanawiała się, czy rodzice Jessego w ogóle wiedzą, że ich syn spotykał się z Lexi.

— Przykro mi, Phyllis.

Gdy odłożyła telefon, do Sweet Hart's wróciły rozpromienione lalki Barbie.

— Księżycowa Plaża jest zamknięta! — oznajmiły radośnie.

— Co? — zdumiała się Clare.

— Wyjdź na zewnątrz, sama zobacz! Zamknęła sklep w środku dnia!

Clare wyszła na zewnątrz. Lale miały rację.

— Cóż. Pewnie nie chce, żeby ktoś się na nią gapił i cieszył z jej nieszczęścia.

— A ty się nie cieszysz, Clare? — odparowała Amber, urażona.

Clare przewróciła tylko oczami i wróciła do sklepu. Wreszcie Amber i Spring wyszły. Szybko wybrała numer domowy Lexi, lecz odezwała się automatyczna sekretarka.

— Lexi — zaczęła — mówi Clare. Słyszałam o Jessem i Oksanie. Zadzwon... Bardzo mi przykro. Chcę ci pomóc. Pozwól mi pomóc.

Przez cały dzień wyspiarze zbierali się w Sweet Hart's, by wymieniać plotki i sprawdzać na mniej lub bardziej wyszukane sposoby, czy Clare nie wie czegoś więcej. Przynajmniej wszyscy kupowali czekoladki, więc utarg tego dnia był wyjątkowo duży.

Gdy zamknęła sklep, była wyczerpana. Jesse odszedł, naprawdę odszedł.

A więc podróżował. Spełniało się jego największe marzenie.

Lexi na pewno czuła się zraniona, zawstydzona, ale nie zrozpaczona. Bo choć nie miała Jessego, miała jego dziecko. Jesse, choć nieświadomie, dał jej najcenniejszy skarb na świecie.

CZTERDZIEŚCI DWA

Tego dnia zamknęła Księżycową Plażę wcześniej niż zwykle. Nie mogła czekać aż do dziesiątej. Była zbyt zmęczona. Musiała coś zjeść. Musiała odpocząć. Musiała zostać na chwilę sama ze swoimi myślami.

Zamknęła drzwi na klucz. Cisza i bezruch nieco ją uspokoiły. Przez godzinę chodziła po sklepie, porządkowała chusty, wieszala sarongi według rozmiaru, poprawiała zasłony w przebieralniach, by układały się w harmonijne linie. Pod jej dotykiem lśniąca tkanina poruszała się lekko, jakby wypływały z niej ukryte pośród fałd dźwięki. Śmiech Jessego. Piosenki Oksany.

— Dura — powiedziała Lexi głośno. Głupia. — Jak mogłam być taka dura?

Jesse i Oksana zakochali się w sobie pod jej nosem, a ona nawet tego nie zauważyła.

Zapadał zmrok, ludzie przechadzali się po mieście. Niektórzy sprawdzali, czy drzwi Księżycowej Plaży są otwarte, potem szli dalej. Gdy zrobiło się ciemno, Lexi zauważyła, że blask wypływający z okien Sweet Hart's kładzie się na ulicy jasnymi kwadratami.

Jedna kwestia praktyczna: nie mogła prowadzić sklepu sama. Musiała znaleźć nową pracownicę. Przeszła do swojego mieszkania na piętrze, nie zapalała jednak światła. Nie chciała, by ktokolwiek pomyślał, że ukrywa się właśnie tutaj, użala nad sobą i szlocha w samotności. Była głodna, ale nie miała dość sił, by coś sobie ugotować, a nawet zamówić jakieś gotowe danie. Chciała poszukać miejscowej gazety z ogłoszeniami drobnymi, wiedziała, że leży gdzieś na jej biurku. Nim tam jednak dotarła, padła na łóżko i zwinęła się w kłębek.

Na telefonie stacjonarnym, który stał przy łóżku, bez ustanku migotała lampka automatycznej sekretarki. Telefon komórkowy Lexi dzwonił dziś tyle razy, że w końcu go wyłączyła. Wcześniej zapewniła swoją matkę, że doskonale poradzi sobie sama, Myrna poszła więc do domu z czystym sumieniem, właśnie tak, jak chciała tego Lexi. Zasługiwała na spokojne życie, wolne od trosk wywołanych licznymi błędami jej córki. Lexi odtworzyła wiadomości. Matka nie dzwoniła, ale dzwoniли Adam, Clare, lalki Barbie — dwukrotnie — a nawet Brittany Phelps, która została psychoterapeutką i namawiała Lexi słodkim głosem, by przyszła z nią porozmawiać, jeśli ma jakieś problemy.

— Problemy! — parsknęła Lexi. — Mój problem polega na tym, że jestem skończoną idiotką!

Chciała się wyplakać, lecz zamiast żalu czuła tylko pustkę. Ukryła twarz w poduszce.

— Dura — powiedziała głośno. — Prawdziwa dura.

Nagle z dołu dobiegło łomotanie. Podniosła głowę.

— Co tam znowu? — burknęła. Ktoś dobijał się do tylnych drzwi. Na pewno nie była to klientka, te wchodziły od frontu. Tylko jej rodzina korzystała z tylnego wejścia. Jej rodzina i Clare.

Zwlokła się z łóżka, poczłapała na dół i otworzyła drzwi.

Clare podniosła dwie torebki, z których wypływały smakowite zapachy.

— Racje żywnościowe. Z Anney's Health Foods.

— Skąd wiedziałas, że tutaj jestem?

— Hm, pomyślmy... Może dlatego, że znam cię przez całe życie? — Ruszyła w górę schodów. — Dobry Boże, twoje mieszkanie wygląda gorzej od mojego.

— Ty masz dom, do którego możesz wrócić — przypomniała jej Lexi.

Clare postawiła torby z jedzeniem na stercie katalogów zalegających na stole do kawy.

— Siadaj — rozkazała. — Przyniosę sztuce i coś do picia. Na co masz ochotę?

— Whisky. — Lexi opadła na fotel. — Wódkę. Gin. Wszystko po kolei.

Albo razem, zmieszane.

— Ciężarnym nie wolno pić, odpada.

Clare kręciła się przez chwilę po kuchni, znalazła dwie szklanki i karton soku pomarańczowego. Postawiła wszystko na stole i poszła po talerze, sztuce i serwetki.

Lexi otworzyła torby. Powietrze wypełniło się smakowitym aromatem.

Burczało jej w brzuchu. Smażony ryż z grochem i szpinakiem. Makaron z tuńczykiem i parmezanem. Grillowany łosoś z sosem śliwkowym. Sałatka cesarska. Spaghetti z grzybami i szczypiorem.

— Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

Clare usiadła naprzeciwko i nałożyła sobie jedzenie na talerz.

— Cieszę się, że mogę ci pomóc. Adam próbował się do ciebie dodzwonić. — Przyglądała się przez chwilę Lexi, gdy ta pożerała łapczywie makaron. — Chyba mogę mu powiedzieć, że apetyt ci dopisuje.

— Wiem — wybełkotała Lexi z ustami pełnymi jedzenia. — Dziwne, co?

Przez chwilę obie jadły w milczeniu. Wreszcie Lexi odsunęła talerz.

— O tak, tego mi było trzeba. — Spojrzała na Clare. — Czuję się jak największa idiotka na planecie Ziemi.

— Dobrze wiem, jak się czujesz.

Lexi miała już zaprotestować, ale jednak uśmiechnęła się szeroko.

— Tak, chyba masz rację. — Sięgnęła po ziarno grochu i włożyła je do ust. — Nie wiem, dlaczego jestem taka zaskoczona. Nie kochałam Jessego ani on nie kochał mnie. Właściwie nie potrafię nawet powiedzieć, dlaczego z nim sypiałam.

Clare parsknęła.

— Daj spokój... Dobrze wiesz, dlaczego z nim sypiałeś. Jemu nie można się oprzeć.

— Mimo wszystko. Ja powinnam była się oprzeć.

— Posłuchaj, gdy Jesse naprawdę napali się na jakąś dziewczynę, żadna mu się nie oprze. Nawet Matka Teresa nie dałaby rady.

— Myślisz, że zrobił to z zemsty? Bo go rzuciłaś? A może po prostu chciał uzupełnić listę, a ja byłam ostatnią dziewczyną ze szkoły średniej, która jeszcze z nim nie spała? — Nagle zaczął się z niej wylewać cały żal, który tłumiała do tej pory. — Nigdy nie wierzyłam, że mnie kocha. Nigdy tego nie powiedział. Ja zresztą też. Nigdy nie sądziłam, że czeka nas wspólna przyszłość. Nie chciałam wspólnej przyszłości z Jessem. Pochodziliśmy z zupełnie innych planet. Potem, gdy wiedziałam już, że jestem w ciąży, zaczęłam sobie wyobrażać... choć nie rozmawiałam z nim o tym, więc... Ożeniłby się ze mną, gdyby wiedział, że jestem w ciąży? Ale nawet gdyby to zrobił, i tak miałby ciągle kogoś na boku, prawda? Wiesz, to taki facet wieczny optymista, następna zawsze będzie lepsza od tej, z którą właśnie jest...

— Posłuchaj...

Lexi śmiała się przez łzy.

— A może po prostu brakuje mu pewności siebie i...

Clare wyrzuciła ręce w górę.

— Lexi, nie będziemy tu analizować psychiki Jessego Graya! Przez większość dorosłego życia próbowałam dobrać się do niego jak jakaś walnięta wiewiórka do orzecha, próbowałam go zrozumieć, wyjaśnić jego zachowanie. Usprawiedliwić go. On po prostu taki jest, i tyle.

Choć wiedziała, że sama się w ten sposób upokarza, Lexi musiała zapytać:

— Myślisz, że zostanie z Oksaną?

Clare prychnęła.

— Kiedy ma całą Europę do pobicia? Och, wątpię.

Lexi uśmiechnęła się mimowolnie. Wysiadała nos, otarła twarz i wzięła głęboki oddech. Potem podniosła głowę i spojrzała z powagą na przyjaciółkę.

— Clare, ja chcę mieć to dziecko.

— Wiem, Lexi. I możesz je mieć.

— Boże, będę samotną matką!

Wybuchnęły śmiechem.

— Teraz nikt się już tym nie przejmuje.

— Moi rodzice mogą się przejąć.

— Twój rodzice będą szczęśliwi, że mają wnuka — Masz rację. Będą. — Lexi spojrzała na swój płaski brzuch. — Na razie nie mówiłam o tym nikomu prócz ciebie. Rodzicom powiem, kiedy będę w dwunastym tygodniu, ale tylko im. Inni dowiedzą się dopiero wtedy, gdy będzie widać. — Przesunęła dłońmi przez włosy. — Wciąż jestem strasznie zmęczona, Clare. Czuję się jak nacpana.

— Słyszałam, że to normalne. Dasz radę prowadzić sklep?

— Będę musiała. Och... — Machnęła ręką. — Wiem, że rodzice pozwoliliby mi mieszkać w domu i opiekowaliby się mną, ale pracowali ciężko przez całe życie, więc nie chcę sprawiać im kłopotu ani się od nich uzależniać. Interesy idą całkiem nieźle, a poza tym lubię pracować w sklepie, przynajmniej zawsze lubiałam. — Pochyliła się do przodu, myśląc intensywnie.

— Dziecko urodzi się w kwietniu, więc dopiero na początku przyszłego roku zrobię się gruba. Będę mogła prowadzić sklep co najmniej do Bożego Narodzenia, może i dłużej. Do tego czasu na pewno znajdę jakąś odpowiedzialną pracownicę, kogoś takiego jak twoja Marlene.

— Powinnaś już dać ogłoszenie. Będziesz potrzebowała pomocy na resztę wakacji. Poza tym musisz trochę zadbać o siebie i częściej odpoczywać.

Oczy Lexi znów wypełniły się łzami. Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Clare.

— Och, jesteś wielkoduszna! Naprawdę, bardzo ci dziękuję.

Clare uścisnęła jej dłoń.

— Łatwo mi być miłą, kiedy jestem szczęśliwa z Adamem. — Nagle ziewnęła przeciągle.

— Przepraszam, czuję się okropnie zmęczona.

— Ten związek z Adamem... to coś poważnego?

— Robimy małe kroczki, dzień po dniu. I ty też powinnaś tak robić. A na razie musisz odpocząć. — Clare wstała i zaczęła zbierać plastikowe pojemniki.

Umyły naczynia i posprzątały kuchnię. Lexi odprowadziła przyjaciółkę do drzwi. Uściskały się serdecznie na pożegnanie.

— Jak ja ci się odwdzięczę? — Lexi westchnęła.

— Och, przestań dramatyzować. — Clare wyszła w ciepły letni wieczór.

Obejrzała się przez ramię na Lexi i powiedziała: — Uważaj na siebie. Oboje na siebie uważajcie.

Przez kilka następnych dni Myrna pomagała Lexi w sklepie. Zanosila pieniądze do banku, przynosiła lunch, odbierała przesyłki kurierskie i wprawną ręką rozpakowywała pudła z towarem. Mimo to Lexi była zbyt zmęczona, by pracować dłużej niż do szóstej. Dała ogłoszenie do lokalnej gazety, a Myrna dzwoniła do wszystkich znajomych, szukając kogoś do pracy na część etatu — bez powodzenia.

— Kochanie — powiedziała pewnego ranka. — Dobrze się czujesz? Jesteś taka blada... Wyglądasz na zmęczoną.

Lexi wróciła właśnie z łazienki, gdzie ukradkiem zwymiotowała śniadanie. Z trudem przychodziło jej ukrywać przed matką swój stan, lecz wciąż dochowywała tajemnicy. Była już zbyt doświadczonej i zbyt przesądnej, by dzielić się z innymi swoimi nadziejami.

Spróbowała odwieść matkę od tego niebezpiecznego tematu.

— Nic mi nie jest. Rzeczywiście, jestem tylko trochę zmęczona, mam mnóstwo spraw na

głowie i z niczym nie mogę zdążyć. — Wyrzała przez okno. Zobaczyła Jewel na skraju molo.

— Wiesz mamó, tak sobie ostatnio myślałam... Lubię tę pracę. Lubię prowadzić sklep. Ale nie wiem, czy odpowiada mi do końca towar, który sprzedaję. Wolalabym chyba ubrania, na które mogą sobie pozwolić moje przyjaciółki, na przykład Amber i Spring. Myślałam też o rzeczach dla większych dzieci i nastolatków, takich jak Jewel. I może... to tylko pomysł... biżuteria dla nastolatek, może nawet młodszych, ozdoby, które można wykonać własnoręcznie...

— Rozumiem, co masz na myśl. — Myrna skinęła głową. — Niegłupi pomysł. Ale teraz przecież świetnie ci idzie.

— Zgoda. Zimą, kiedy nie ma turystów, byłoby fajnie sprzedawać coś innego, coś dodatkowego.

— Cóż, będziesz miała mnóstwo czasu na dopracowanie tego pomysłu, kiedy lato się skończy. Wydaje mi się, że całkiem dobrze czujesz się na wyspie.

— O tak, mamó. — Lexi uśmiechnęła się. — Pomimo całej tej historii z Jessem, naprawdę bardzo się cieszę, że wróciłam do domu.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Przez kilka dni sklep Clare przeżywał oblężenie. Niektórzy klienci przychodzili po czekoladki, inni po plotki. Ucieszyła się, gdy nadszedł dzień tak gorący, że nikomu nie chciało się ruszać z plaży, basenu czy klimatyzowanego domu. Wieczorem przygotowała nowy przepis na taco z rybami. Miała już podać jedzenie Adamowi i ojcu, gdy zadzwonił pager Adama.

— Przepraszam. — Tego dnia Adam miał nocny dyżur, a samochód potracił właśnie psa jednego z wypiarzy. Musiał pojechać do lecznicy, więc Clare podała kolację tacie i usiadła obok niego.

Adam wrócił po dwóch godzinach. Clare widziała po jego minie, że musiał uśpić ranne zwierzę.

— Och, kochanie. Usiądź i napij się piwa. Już grzeję ci kolaję.

— Dzięki, Clare.

Opadł ciężko na kuchenne krzesło.

Przez kilka minut jadł w milczeniu, wpatrując się w przestrzeń. Clare wiedziała, że oswaja się w ten sposób ze smutkiem minionej godziny, pozwala odejść.

Ona także zmagala się z emocjami. Wciąż nie mogła uwierzyć w wyjazd Jessego — a właściwie w jego ucieczkę, bo tak to traktowała. Miała nadzieję, że będzie szczęśliwy, lecz bez niego wyspa wydawała się inna, niekompletna.

Poza tym w głębi duszy ogromnie zazdrościła Lexi dziecka. Kochała Lexi, pragnęła jej szczęścia, i nie chciała pielęgnować w sobie tego okropnego uczucia, jakim jest zazdrość; wiedziała, że zazdrość może zniszczyć człowieka od środka, pozbawić go serca.

Kiedy patrzyła na Adama, całe zło, smutek i żal zniknęły bez śladu, ustępując miejsca czułości, miłości i nadziei. Lecz było jeszcze za wcześnie na rozmowę o dzieciach. Wciąż zażywała pigułki antykoncepcyjne. Małżeństwo, rodzina... to poważne, istotne sprawy. Milczała więc, choć uczucie w jej sercu wzbierało jak ocean w czasie przypływu.

Próbowała poprawić Adamowi humor swobodną rozmową o mało istotnych sprawach — o tym, jak Ralphie zakochała się w kapciu jej ojca albo uznała go za swoje dziecko, bo nosiła go

wszędzie ze sobą, a nawet spała na nim; że dzwoniły przyjaciółki i zapraszały na piknik na plaży w niedzielę wieczorem. Oczywiście może tam przyprowadzić, kogo zechce.

— Pewnie urządzają ten piknik tylko po to, żeby zobaczyć, z kim przyjdiesz — powiedział Adam z szelmowskim uśmiechem. Clare ucieszyła się ogromnie, że odzyskał dobry humor. — Ciekawe, czy będą zaskoczone, kiedy pokażesz się tam ze mną.

Skończył jeść i rozsiadł się wygodniej na krześle, potężny, męski, zrelaksowany. Podwinięte rękawy niebieskiej koszuli odsłaniały jego muskularne przedramiona.

— A skąd wiesz, że chcę cię tam zabrać? — droczyła się z nim. Stała za krzesłem i zaczęła masować mu ramiona. — Nie jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu.

Czuła, jak przy każdym jej ruchu rozluźniają się mięśnie i spada napięcie. Pocałowała go w kark. Pachniał mydłem i solą.

Adam jęknął i osunął się bezwładnie na krześle, a Clare nie myślała już o niczym innym, jak tylko o dotykaniu tego mężczyzny.

Delikatnie ugryzła go w ucho, potem przeciągnęła dłońmi w górę jego twarzy, zaczęła powoli masować skronie, całując jednocześnie włosy, a potem czoło. Gdy odchylił głowę do tyłu i oparł na jej piersiach, pieszcząc szyję pocałunkami, rozpięła mu koszulę. Włożyła pod nią ręce, czubkami palców musnęła sutki. Jedną dłoń wplotła we włosy na jego piersiach, a drugą sięgnęła w dół, do spodni. Był nabrzmiały i twardy, członek niemal rozsadał tkaninę.

Adam pochwycił jej rękę.

— Clare, twój tata.

— Śpi na górze, za zamkniętymi drzwiami.

Uwolniła rękę z jego uścisku. Wyszła zza krzesła i wsunęła się między Adama i stół kuchenny. Nie oglądając się za siebie, odsunęła na bok talerz i szklanę, a potem usiadła na skraju blatu. Adam patrzył, podczas gdy ona robiła powolny striptiz, ściągnęła koszulkę przez głowę, rozpięła stanik, uniosła jedno biodro, a potem drugie, by zdjąć szorty i jedwabne majteczki.

Mocne światło kuchennej lampy odsłaniało każdy zakamarek jej ciała, piegi na brzuchu, pieprzyk na wewnętrznej stronie uda, wilgotny trójkąt włosów łonowych. Powoli rozsunęła nogi.

Wciąż na nią patrzył, czuła na sobie jego wzrok niemal jak fizyczny dotyk. Zadrżała pod przejmującym spojrzeniem. Wydawało się, że wydobywa się z jakiejś otchłani, gdy położył ręce na jej udach. Przesuwał dłonie ku biodrom, powoli. Bardzo powoli. Zamknęła oczy. Odsunął się na moment, by zdjąć spodnie i bokserki. Słyszała szelest ubrań spadających na podłogę.

Położyła się na stole, a on w nią wszedł, przysunął ją do siebie, by sięgnąć jeszcze głębiej.

Podniosła nogi, uniosła biodra. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła ciemną plamę jego włosów, a wysoko ponad nią sufit. Objęła go mocno nogami.

Czuła, jak po ciele spływają kropelki potu, wilgoć pozwoliła jej przesunąć się jeszcze dalej w jego stronę. Przygarnął ją gwałtownie do siebie, gdy jego ciałem wstrząsały dreszcze rozkoszy.

Kiedy skończył, powoli opuścił jej biodra na stół. Wciąż był w niej, wiotczał, a ona czuła łączącą ich wilgoć, gęstą i lepłą niczym klej. Położyła się na stole i dyszała ciężko, czekając, aż uspokoi się jej serce, aż krew przestanie pędzić z niesamowitą siłą ku jej lędzwiom. Patrzyła, jak pochyla się nad nią.

Odgarnął wilgotne włosy z jej twarzy. Przyłożył usta do jej ucha i wyszeptał:

— Którego mężczyznę zabierzesz na piknik?

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Huragan wyruszył z Florydy i pędził wzdłuż Wschodniego Wybrzeża jak horda demonów wypuszczonych z piekła. Przez całą noc niszczył wybrzeża Karoliny Północnej i Południowej. O świcie przesunął się ku Long Island i Connecticut. Na wodach oblewających Nantucket podnosiły się coraz większe fale, wiatr przybierał na sile, wyl niczym potępieniec.

Gdy mieszkańcy wyspy obudzili się tego ranka, nad Nantucket przeciągała już potężna wichura. Fale zakrywały całe plaże, uderzały z wielką siłą o nabrzeże. Jachty, małe żagłówki i łodzie motorowe kołysały się na wzburzonych wodach przystani, w której znalazły również schronienie kutry i łodzie rybackie. Deszcz siekł bezlitośnie ulice, sklepy, domy, drzewa i plaże. W telewizji wciąż nadawano ostrzeżenia przed sztormem, doradzano mieszkańcom okolic nawiedzonych przez sztorm, by pozostali w domu.

Odwołano wszystkie rejsy i loty, podobnie pikniki, mecze tenisowe oraz imprezy plenerowe zaplanowane na ten dzień. Na dobry utarg mogły liczyć tylko księgarnie, do których ciągnęli przemoczeni ludzie szukający jakiejś przyjemnej lektury na deszczowy dzień. Ciężkie czarne chmury przetaczały się po niebie jak czołgi atakującej armii, a wszystkie ptaki, nawet szalone mewy, lubiące unosić się na silnym wietrze, poszukały sobie bezpiecznego schronienia.

Prognozy pogody były co najmniej niepokojące. Kilku kupców zamknęło sklepy i zabiło witryny deskami. Ludzie wyklejali krzyże na oknach, by szkło nie wpadło do środka, gdy huragan uderzy w nie z całą siłą.

Lexi miała za sobą bezsenność. Jej myśli były tak samo niespokojne jak wiatr, który uderzał w okna. Gdy obudziła się o szóstej, miała silne mdłości i zawroty głowy, z trudem utrzymywała równowagę. Chwiejnym krokiem doszła do łazienki i zwymiotowała, potem łyknęła trochę 7—Up i zjadła krakersa. Wiatr wyl i huczał wokół jej małej wyspy niczym rozpędzony pociąg. Wyglądając na zewnątrz, zobaczyła spienione wody przystani pod ciemnym niebem. Włączyła telewizor i obejrzała prognozę pogody.

Czy powinna otwierać dziś Księżycową Plażę? Kto chciałby chodzić po sklepach w taką pogodę?

Zjadła następnego krakersa, napiła się wody i poszła wziąć gorący prysznic. Zapach jaśminowo—miętowe—go mydła rozbudził jej zmysł.

Wytarła się i włożyła spódnice ze szkarłatnego jedwabiu oraz turkusowy, kaszmirowy sweter — w sam raz na chłodny sierpniowy dzień.

Gdy znów wyjrzała za okno, zobaczyła, że w całym mieście palą się latarnie. Plaża przy miejskim molo była pusta, ale w półmroku lśniły zielonkawe lampy na nadbrzeżu.

Nagle dostrzegła drobną postać w żółtym sztormiaku brnącą wytrwale przez plażę.

— Jewel! — Aż się zachłysnęła się. — Ty idiotko!

Co ona wyprawiała? Dlaczego szła na molo w taki sztorm? Nagle Lexi zrozumiała, na co liczyła dziewczynka — do przystani wpłynęło mnóstwo łodzi uciekających przed sztormem, być może była wśród nich łódź wioząca jej ojca?

Jak Bonnie Frost mogła wypuścić dziecko z domu w taką pogodę?

Wiatr dął z potężną siłą, napierał na dziewczynkę, która zmagająca się z nim, walczyła o każdy krok, by przesunąć się naprzód. Lexi podziwiała jej determinację, siłę jej pragnień dorównującą sile sztormu.

Lecz w molo uderzały też potężne fale, przelewały się nad deskami, by potem zniknąć na chwilę w morzu. Jewel pochwyciła się słupka, by nie porwała ją woda.

Lexi nie mogła pozwolić, by dziecko tam zostało. Pomyślała, że przyprowadzi ją do

siebie; stąd Jewel będzie mogła obserwować morze przez okno. Wsunęła stopy w sandały, zeszła na dół i otworzyła tylne drzwi.

Gdy tylko wyszła na zewnątrz, wiatr pochwycił jej włosy i ubranie, szarpał na wszystkie strony.

— Jewel! — wrzasnęła Lexi, lecz wichura porwała jej słowa.

Ruszyła naprzód, powoli stawiała jedną stopę przed drugą, nie zważając na uderzenia bezlitosnego wiatru. Deszcz błyskawicznie przemoczył jej ubranie, tkanina kleiła się do ciała, wicher szarpał za brzeg sukienki. Stopy Lexi zapadały się w piasek, gdy biegła przez plażę.

Jewel była już niemal na końcu molo. Wiatr zerwał jej z głowy kaptur, rude włosy unosiły się wokół jej głowy niczym płomienie.

Lexi dotarła do schodów prowadzących na molo. Wspięła się na nie po paru schodkach i była już na pomoście, szła w stronę dziecka, zmagając się z wichurą. Przyłożyła dłonie do ust i zawołała:

— Jewel!

Dziewczynka nie słyszała.

Nagle nad przystanią wyrosła potężna ściana wody. Runęła na molo z siłą wodospadu Niagara, zmyła dziewczynkę z mokrych desek, rzucając ją w kipieli.

— Jewel! — wrzasnęła przeraźliwie Lexi i poderwała się do biegu.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Clare miała niespokojne sny. Obudziła się wcześnie, zmęczona i zdenerwowana. Za oknem szalała wichura.

Adam zadzwonił, by poinformować ją, że przez cały dzień będzie w pracy — lecznica znajdowała się w głębi lądu, a on miał mnóstwo umówionych spotkań.

— Otworzysz dziś sklep? — spytał.

— Tak. W burzowe dni często jest całkiem spory utarg. Ludzie mają wtedy ogromną ochotę na czekoladę.

— Uważaj. Wiatr jest bardzo silny. To może być naprawdę groźny sztorm.

Troskliwość Adama rozczuliła ją i uspokoiła.

— Będę uważać — obiecała.

Włożyła długą spódnicę w lawendowo—niebieską szachownicę i błękitny, bawełniany sweterek ze sporym dekoltem. Owinęła włosy czerwoną chustą w paski, by nie potargał ich wiatr, jednak gdy tylko wyszła za drzwi, zrozumiała, że nie jest to dobry dzień na jazdę na rowerze. Przypięła smycz do obroży Ralphie, wyprowadziła ją na moment na zewnątrz, by załatwiła swoje potrzeby, a potem wróciła szybko do domu. Ralphie, przerażona pogodą, wbiegła pędem na schody i schowała się pod łóżkiem.

— Cześć, tato! — zawołała Clare.

— Uważaj na siebie! — odkrzyknął.

Bez trudu znalazła miejsce parkingowe przy Com—mercial Wharf. Gdy wysiadła z samochodu i brnęła pod wiatr do sklepu, pomyślała cierpko, że każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, nie wychodzi w taką pogodę z domu. W całym mieście paliły się latarnie i światła, widziała, że na drzwiach wielu sklepów wisi tabliczka „Zamknięte”.

Otworzyła Sweet Hart's i niemal wpadła do środka. Odetchnęła z ulgą, wyrwawszy się wreszcie ze szponów wichury, choć i tutaj docierał ogłuszający huk fal i wycie wiatru. Zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i włączyła automatyczną sekretarkę.

— Clare — mówiła Marlene. — Chyba nie zamierzasz dzisiaj otwierać, co? Daj mi znać. Zadzwoń do niej.

— Jestem w sklepie, ty zostań w domu. Myślałam, że będę normalnie pracować, ale na wybrzeżu jest naprawdę paskudnie, pewnie niedługo też stąd pójdę.

— Powinnaś. W telewizji ostrzegali przed potężnym sztormem na wyspie.

— Nie zawsze sprawdzają im się prognozy — mruknęła Clare. — Ale będę uważać.

Przeszła się po sklepie, sporządzając w głowie listę rzeczy do zrobienia — odkurzyć półki i uzupełnić towar, umyć gabloty, przejrzeć stare rachunki. Odwróciła tabliczkę na drzwiach z napisem „Otwarte” do zewnątrz, a potem przeszła do swojego biura.

Włączyła komputer. Czekając, aż będzie gotowy do pracy, wyjrzała za okno na przystań. Fale tryskały w górę jak gejzery, miotając łodziami i żaglówkami na wszystkie strony. Miejskie molo wyglądało jak długa ciemna smuga, po której przelewały się fale — a wzdłuż tej szarej smugi przesuwała się powoli drobna postać w żółtym sztormiaku.

— Jewel, co ty wyrabiasz, do diabła? — krzyknęła Clare. Musiała zadzwonić do Bonnie Frost, powiedzieć jej, by przyjechała po córkę. Chwyliła za telefon, lecz w tej samej chwili zobaczyła jakąś kobietę wspinającą się na molo. Wiatr szarpał jej ubraniami, które lśniły na tle szarej wody jak czerwono—niebieska flaga. To była Lexi.

— Bogu dzięki. — Clare odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że Lexi zaopiekuje się dziewczynką.

Olbrzymia fala uderzyła w molo i przewaliła się nad nim, zabierając wszystko, co stało na jej drodze. Jewel runęła do wody. Nagle stała się tylko żółtą plamą pomiędzy łodziami tańczącymi na oceanie. Potem zniknęła.

Lexi biegła na kraniec pomostu.

Clare otworzyła drzwi potężnym szarpnięciem i wypadła na zewnątrz.

Biegła na plażę, lecz sandały utrudniały jej ruchy. Zrzuciła je. Bose stopy ledwie dotykały wilgotnego piasku, gdy pędziła na molo. Nie odrywała wzroku od Lexi, która w tym właśnie momencie wskoczyła do wody i zanurkowała. Clare biegła już po pomoście, serce łomotało jej w piersiach.

Krople deszczu uderzały prosto w oczy, gdy wpatrywała się w spienioną wodę. Dojrzała żółtą smugę. Potem zobaczyła Lexi, niebiesko—czerwoną plamę, zmagającą się z potężną falą, która uniosła ją nagle i rzuciła prosto na rozkołysaną łódź. Lexi zniknęła pod wodą. Clare zanurkowała.

Woda pienila się i wirowała niczym żywe stworzenie, pełne nieokiełznanej mocy. Morze ciągnęło bezwładne ciało dziewczynki w dół. Clare odepchnęła się mocniej nogami, wyciągnęła do przodu ręce, wytężyła wszystkie siły, by dostać się do Jewel. Woda wypchnęła ją w górę niczym piórko. Zachłysnęła się, nabrała powietrza i znów zanurkowała.

Zobaczyła Lexi pływającą w stronę Jewel. Długie blond włosy otaczały jej głowę aureolą, suknia ciągnęła się za nią na kształt długiego ogona. Pochwyliła Jewel za ramię.

Clare sięgnęła przed siebie, lecz jej dłoń trafiła w pustkę. Choć brakowało jej już powietrza, spróbowała jeszcze raz i pochwyciła śliską kurtkę dziewczynki. Odwróciła głowę ku Lexi, ich spojrzenia spotkały się. Natychmiast zaczęły poruszać mocno nogami, płynąc ku górze. Ciągnęły za sobą długie pióropusze włosów.

Wychynęły z wody, przez moment łąpczywie chwytaly powietrze, a potem ruszyły razem w stronę drewnianej drabiny umocowanej na końcu mola. Wiatr pchnął jakąś żaglówkę prosto na

Clare, lecz ta zdołała w ostatniej chwili przesunąć się na bok.

Lexi pochwyciła drabinę jedną ręką, sekundę później to samo zrobiła Clare. Lexi krzyknęła coś i wskazała w górę. Clare skinęła głową. Podczas gdy ona trzymała mocno Jewel, Lexi wspięła się na pomost i ułożyła płasko na brzuchu. Potem sięgnęła obiema rękami w dół i złapała dziecko za ramiona.

Clare pchała dziewczynkę od dołu, a Lexi wciągnęła ją na wilgotne deski.

Jej przemoczone ubrania były tak ciężkie, że Clare z trudem wspięła się na drabinę. Potem padła na deski, wyczerpana.

— Nie możemy... tutaj... zostać! — wydyszała Lexi. Z jej głowy i ramion ciekła krew.

Jewel także krwawiła. Clare skinęła głową i podniosła się na nogi. Lexi ujęła Jewel pod rękę, a Clare pochwyciła jej stopy. Niosąc dziewczynkę jak hamak, potykały się i ślizgały na wilgotnych deskach, szły powoli do brzegu. Fale uderzały w nie z wściekłością, niemal rzucały je na kolana, lecz kobiety podnosiły się i szły dalej, ciągnąc siebie same i Jewel w stronę bezpiecznego lądu.

CZĘŚĆ PIĄTA

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Nagle w do wycia wiatru dołączyło wycie syren. Pisnęły przeraźliwie hamulce. Ktoś krzyczał. Molo zadrżało pod ciężkimi krokami ludzi biegnących w ich stronę. Silne męskie ręce wyciągnęły się ku Jewel. Fale wciąż podcinały im nogi, bryzgały pianą.

— Mam ją! — wrzasnął jakiś mężczyzna, lecz wiatr całkiem ogłuszył Lexi.

Ktoś próbował wziąć od niej dziewczynkę, lecz lodowate dłonie Lexi zacisnęły się na jej ramionach jak imadła.

— Już dobrze, możesz ją puścić. — Mężczyzna objął Lexi ramieniem, podczas gdy inny pochwycił Jewel.

— Jesteśmy ratownikami. Zabierzemy ją do karetki. Możesz się już uspokoić.

— Lexi! — Clare podeszła do niej chwiejnym krokiem. — Już dobrze.

Oni zajmą się Jewel. Potem muszą zająć się tobą.

Wypuściła z rąk dziewczynkę i opadła na kolana, całkiem wyzuta z sił.

Chwilę później pochwyciły ją czyjeś silne ramiona. Była zbyt zmęczona, by podnieść rękę i ucześcić się szyi ratownika, zgięła się wpół i dyszała ciężko, bliska utraty przytomności. Sanitariusz wziął ją na ręce, zszedł z pomostu i ruszył w stronę ulicy, gdzie czekały już dwie karetki i kilka policyjnych samochodów z migoczącymi, kolorowymi światłami.

Mężczyzna pochylił się i ułożył Lexi na noszach.

— Nie trzeba! — Próbowała usiąść prosto. — Nic mi nie jest, ja...

Przy noszach pojawiła się Clare, ociekająca wodą i zziębnięta.

— Krwawisz, Lexi. Musisz jechać do szpitala.

— Nie! — podniosła się na łokciach. — Nic mi nie jest!

Myliła się. Gdy opadła z powrotem na nosze, już to wiedziała.

Ktoś okrył ją kocem, podniósł nosze. Lexi myślała o tym, jak bardzo chciałaby cofnąć

czas, odgonić nadciągający sztorm, znów być cała. Wiedziała jednak, że jest ranna, że stało się z nią coś niedobrego. Tłumiony szloch wstrząsał jej ciałem, gdy ratownicy zakładali jej na twarz maskę tlenową, wkładali na rękę ciśnieniomierz, rozcinali ubranie, by zlokalizować rany na ciele i zatamować krew.

— Jadę z nią. — Clare otulona kocem, przepchała się przez tłum i stanęła przy noszach Lexi.

— Przykro mi — powiedział ratownik. — Przepisy...

— Och, zamknij się, Donny — warknęła. — Byłam twoją opiekunką, na miłość boską. Pomyśl tylko, co mogłabym opowiedzieć twojej matce!

Wzięła Lexi za rękę, a gdy wsunięto nosze do ambulansu, usiadła obok niej.

— Jewel z tego wyjdzie. Widziałam, jak wkładali ją do drugiej karetki, udzielali jej pierwszej pomocy, ma tętno, będzie cała i zdrowa.

— Pani też nic nie będzie! — zapewnił Lexi ratownik. — Ma pani kilka głębszych rozcięć na boku... — Zerknął na inną sanitariuszkę, starszą kobietę, która układała ręczniki między nogami Lexi. — Nic pani nie będzie!

Karetką popędziła z wyciem przez ulice miasteczka, do niewielkiego piętrowego szpitala. Lexi zamknęła oczy. Wyczuwała każdy ruch samochodu, słyszała rozmowy ratowników, czuła dotyk wilgotnych włosów na twarzy, i ból, i smutek, i gwałtowne bicie serca. Nie mogła pohamować płaczu.

Oddychała ciężko, emocje kłębiły się w niej niczym fale w targanej sztormem przystani. Czuła też mocny uścisk dłoni Clare, jedyny stały punkt pośród tego pandemonium.

W szpitalu przeniesiono ją na oddział pomocy doraźnej. Natychmiast otoczyli ją lekarze i pielęgniarki. Clare, pomimo ostrych protestów, została wyprowadzona do innej sali, gdzie ją również poddano badaniu. Pielęgniarki zdjęły z Lexi przemoczone ubrania i włożyły szpitalną koszulę. Jedna z nich wbiła jej igłę w rękę i podpięła do kroplówki. Po ciele rozeszło się przyjemne ciepło, które osuszyło jej łzy. Słowa przelatywały nad jej głową niczym niewidzialne ptaki: „miejscowe znieczulenie”, „tu szwy”, „siostró, tampon”.

— Coś tu się dzieje. — Lekarz wysunął zakrwawione ręczniki spomiędzy nóg Lexi.

— Poroniłam — wyjaśniła krótko.

— Och, biedactwo... — uzaliła się nad nią pielęgniarka, a Lexi dziękowała w duchu losowi, że jest lato, że w szpitalu pracuje personel medyczny spoza wyspy, że pielęgniarka jej nie zna, że nic o niej nie wie.

Potem zaczęło działać znieczulenie, Lexi zapadła w głęboki sen.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Obudziła się w szpitalnej sali. Było jej ciepło i przytulnie pod kołdrą w białej poszwie, choć czuła się zamroczone.

Clare siedziała na krześle przy łóżku, ubrana w dre—sowe spodnie i bluzę. Włosy miała jeszcze wilgotne.

— Cześć, bohaterko — powiedziała cicho. — Jak się czujesz?

Lexi zdobyła się na słaby uśmiech.

— A jak się czuje Jewel?

— Dobrze. Jest w sąsiedniej sali. Chce wracać do domu, ale lekarze mówią, że musi

zostać przez noc na obserwacji. — Posłuchaj. Bonnie i Ken z maluchem wyjechali z wyspy dwa dni temu. Mieli wrócić wczoraj wieczorem, ale nie mogli ze względu na pogodę. Więc Jewel mieszkała u Amber Young! Amber nie miała pojęcia, że Jewel wymknęła się z domu. Na pewno czuje się teraz okropnie. Ale nie powinnam tyle paplać, na zewnątrz czeka tłum ludzi, którzy chcą cię zobaczyć. Nie mogę tu siedzieć bez końca, pielęgniarka wpuszcza tylko po jednej osobie, a ja wepchnęłam się pierwsza.

— Poczekaj, Clare. — Lexi chwyciła ją za rękę. — Straciłam dziecko, prawda?

Skinęła ze smutkiem głową. Położyła drugą dłoń na dłoni Lexi.

— Zachowaj to tylko dla siebie, dobrze? — prosiła Lexi. — Nikomu nie mówiłam, że jestem w ciąży, nawet mamie. Wolę nawet nie myśleć, co by się działo, gdyby dowiedziały się o tym Amber i Spring i wszyscy inni.

Clare uśmiechnęła się chytrze.

— Miałabyś pewnie mnóstwo klientów.

— Cudownie — parsknęła Lexi. — Pięknie dziękuję, ale nie skorzystam.

— Nikomu nie powiem — obiecała Clare poważniejszym już tonem. — Poza tym ludzie i tak mają dość tematów do plotek. Nie wspominam już nawet o naszej małej przygodzie, ale sztorm zniszczył nabrzeże w pobliżu Sconset. Zawaliło się sześć domów. I... — Clare parsknęła śmiechem. — To jest najlepsze! Harsh Marsh wsiadała właśnie do samochodu, kiedy wiatr zrzucił na nią konar drzewa! Nic jej się nie stało, ale leżała na trawniku przed swoim domem i nie mogła się ruszyć. Kompletnie przemokła i zziębła, zanim zobaczył ją sąsiad z naprzeciwka. Jest w sali na parterze!

— Hej, dziewczyny! — Drzwi otworzyły się na całą szerokość, a do sali weszli Myrna i Fred. — Słyszałam, jak się śmiejecie! — Rzuciła się na Lexi, ścisnęła ją, całowała, głaskała po głowie. — Nasza dzielna dziewczyna! Jesteśmy z ciebie tacy dumni!

Ojciec Lexi stał przy jej nogach. Pochwycił ją za duże palce u stóp i uściśnął mocno, jakby ścisnął jej dłoń. — Zrobiłaś coś wspaniałego, ratując temu dziecku życie.

Lexi spojrzała w oczy Clare.

— Nie zrobiłam tego sama.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Clare wiedziała, że w szpitalach dzień zaczyna się wcześniej, więc nim jeszcze minęła ósma, była już pod drzwiami miejscowego ośrodka zdrowia.

Gdy weszła do sali, Lexi siedziała właśnie na łóżku, trzymała na kolanach tacę i wpatrywała się w bezkształtną papkę wypełniającą miskę z nierdzewnej stali.

— Dzień dobry, Lexi! — powitała ją Clare wesoło.

Po policzkach Lexi ciekły wielkie łzy.

— Czy oni myślą, że nie mam zębów? — Zakryła twarz rękami. — Och, nie chodzi o owsiankę, smakuje całkiem niezłe, tylko... Jestem zupełnie rozbita. Clare, to tak okropnie boli. Nie mówię o ranach w boku i udzie, one też bolą, jasne, ale chodzi o moją... — Nie mogła dokończyć zdania.

Clare podeszła bliżej.

— O twoją macicę. Boli cię macica, boli cię brzuch i mięśnie miedniczne, boli cię serce i boli cię dusza.

Lexi skinęła głową, tłumiąc płacz.

Clare postawiła na stole wiklinowy koszyk.

— Co mówi lekarka?

Lexi podniosła głowę i pociągnęła nosem.

— Powiedziała, że mogę wyjść dzisiaj do domu, przed południem. Muszę odpoczywać w łóżku, nie mogę otworzyć sklepu. Mama i tata chcą mnie wziąć do siebie na parę dni. Mama mówi, że będzie się mną opiekować jak dzieckiem. — Przy słowie dziecko głos uwiązł jej w gardle.

— To dobrze. Przyda ci się trochę odpoczynku i na pewno będziesz zadowolona, gdy ktoś zatroszczy się o ciebie. A na razie przyniosłam ci to. — Wyjęła z koszyka porcelanowy talerzyk. Brzegi talerzyka zdobił złoty pasek, a pośrodku delikatny wzór ułożony z truskawek i jagód. — Upiekłam je specjalnie dla ciebie. — Odwinęła z papieru dwie babeczki jagodowe i kawałek masła. Potem sięgnęła po małą kryształową szklankę, do której nałała sok pomarańczowy z małego termosu. — Świeżo wyciśnięty — wyjaśniła. Gdy otworzyła większy termos, w powietrzu rozszedł się aromatyczny zapach kawy. Następnie wyjęła z koszyka filiżankę i podstawkę w taki sam wzór jak talerzyk, a także sztucę i bawełnianą serwetkę ze stokrotkami i bzami. Przetawiła szpitalną miskę z owsianką na szafkę w drugim rogu pokoju.

— Przyszłam w niewłaściwym momencie?

W drzwiach stała Bonnie Frost. Tym razem nie miała ze sobą synka.

Lśniące włosy opadały jej na ramiona. Była ubrana w białe spodnie i koronkowy sweter, w uszach lśniły diamentowe kolczyki.

Clare spojrzała na Lexi, ta wzruszyła ramionami i skinęła lekko głową.

— Wchodź — powiedziała. — Jeśli ci to nie przeszkadza, będę przy tobie jeść. Clare przyniosła mi śniadanie i nie mogę się już doczekać, kiedy napiję się kawy.

Bonnie weszła do sali i zamknęła za sobą drzwi.

— Jak się czujesz, Lexi?

— Dobrze. Wychodzę dziś ze szpitala.

— Mówią, że mocno się pokaleczyłaś.

Lexi pociągnęła łyk kawy i jęknęła z rozkoszą.

— Nic mi nie będzie.

Bonnie zbliżyła się niepewnie do jej łóżka.

— Nie wiem, jak ci dziękować za uratowanie Jewel. I tobie, Clare.

Wiem, że pomagałaś Lexi, słyszałam o wszystkim. Byłyście bardzo dzielne, jestem wam ogromnie wdzięczna. — Jej oczy napelniły się łzami.

Clare przyglądała się jej w milczeniu.

— Wiem... — mówiła dalej Bonnie, uśmiechając się nerwowo. — Wiem, iż obie uważacie, że jestem okropną matką, że nie poświęcam Jewel dość uwagi, że troszczę się tylko o Kena i Frankiego, ale to nieprawda. Musicie zrozumieć, że Jewel jest okropnie upartym dzieckiem! — W jej oczach znów lśniły łzy. — Zawsze była krnąbrna, niezależna i uparta! Spytajcie tylko jej nauczycieli! Jest bardzo inteligentna, nad wiek rozwinięta, ale to nie znaczy, że łatwo sobie z nią radzić. W pewnym sensie to stawia mnie w jeszcze gorszej sytuacji. Ponieważ jest taka bystra, uważa, że zawsze ma rację, a nie ma, bo jest tylko dzieckiem!

— Nie osądzam cię, Bonnie — powiedziała cicho Lexi. — Nie śmiałybym tego robić.

Bonnie pokręciła śliczną główką.

— Ale wszyscy inni w tym mieście to robią. — Spojrzała gniewnie na Lexi i Clare. — Poczekajcie tylko, aż same będziecie mieć dzieci! Zdziwicie się wtedy! To nie są kawałki gliny, które można dowolnie lepić, o nie, każde ma swoją osobowość, i to nie one, ale wy musicie się zmieniać!

— Jewel jest cudownym dzieckiem — stwierdziła spokojnie Lexi. — Powinnaś być z niej

dumna.

— O tak, ty widzisz ją tylko na molo, oddana córeczka z książkami i wyszukany słownictwem, ale mówię ci, to przede wszystkim dziecko, i do tego nieposłuszne. Myślisz, że pomaga mi przy Frankiem? O nie. Myślisz, że dała kiedykolwiek szansę Kenowi? Nigdy w życiu! Patrzy na niego, jakby chciała go zabić. To prawda, jest błyskotliwa, jest małą intelektualistką, ale jest też dzieckiem i pomimo tej wybitnej inteligencji była na tyle głupia, żeby wyjść wczoraj na molo podczas sztormu, na tyle głupia, że omal nie umarła, szukając ukochanego tatusia!

— Przykro mi... — zaczęła Lexi.

— To nie wina Lexi, że Jewel wyszła wczoraj na molo — wtrąciła Clare.

— Wcale nie mówię, że to wina Lexi! — Bonnie sięgnęła do torby i wyjęła z niej chusteczkę, wysypując na podłogę garść okruszków. — Krakersy Frankiego — wyjaśniła mimochodem. Wzięła głęboki oddech. — Nie przyszedłam tutaj, żeby cię krytykować, Lexi. Przyszedłam ci podziękować — i tobie, Clare. Ale chciałam też prosić cię o pomoc. Jewel jest moją córką. Jednak z jakiegoś powodu uwielbia cię, Lexi, uważa cię za chodzący ideał.

Nieważne, ile razy będę jej powtarzać, żeby się z tobą nie spotykała, i tak mnie nie posłucha.

— Chcesz, żebym nie spotykała się więcej z Jewel? — spytała Lexi, przerażona.

— Nie, nie o to cię proszę. Nie chcę nawet, żebyś kazała jej zapomnieć o ojcu. Chodzi mi tylko o jedno: mogłabyś nie wychodzić z nią na to cholerne molo?

Lexi odetchnęła z ulgą.

— Oczywiście. — Pochyliła się w stronę Bonnie. — Posłuchaj, nie próbuję rywalizować z tobą o względy Jewel. Ona jest po prostu szalenie sympatycznym dzieckiem. — Zerknęła na Clare. — Przypomina mnie i Clare, kiedy byliśmy w jej wieku.

Bonnie parsknęła.

— Całkiem możliwe.

— A jak się czuje Jewel? — spytała Clare.

Bonnie wzruszyła ramionami.

— Myślicie, że przyszedłbym tutaj, gdyby nie czuła się dobrze? Właściwie nic jej się nie stało; ty wyszłaś na tym najgorzej, Lexi. Jest pełna energii. I wciąż gapi się za to cholerne okno, ciągle wypatruje łodzi ojca. Zabiorę ją do domu, dam jej lody, parę nowych filmów i książek, choć nie chcę jej nagradzać za głupotę, którą zrobiła wczoraj.

— Chciałabym się z nią zobaczyć — powiedziała Lexi.

Bonnie zawahała się na moment.

— No dobrze. Kiedyś. Ale Lexi, proszę, musisz jej powiedzieć, że nie wyjdiesz z nią więcej na molo. Nie czujesz się choć trochę odpowiedzialna?

— Owszem. I zgadzam się z tobą. Powiem Jewel, że nie wyjdę z nią więcej na molo. Powiem jej, że może przychodzić do mojego sklepu i siedzieć tam ze mną.

Clare dorzuciła:

— Może Lexi mogłaby też zabierać czasem Jewel na jakąś małą plażę.

Lex świetnie zna się na muszlach i morskich stworzeniach...

Bonnie westchnęła z męczeńską miną.

— W porządku, Lexi, jeśli zechcesz od czasu do czasu zabrać Jewel na plażę, nie będę miała nic przeciwko.

Po raz pierwszy tego ranka Lexi wydawała się szczęśliwa. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Clare, a potem powiedziała do Bonnie:

— A więc umowa stoi.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Świat wypełniony był blaskiem słońca. Trawy i krzewy szeptały cicho, gdy szli na Księżycową Plażę. Adam niósł kosz piknikowy z wikliny i przenośną lodówkę, a Clare koc i torbę plażową. Rankiem odwiedzili Lexi, która wracała do zdrowia w domu rodziców. Potem Adam powiedział Clare, że chce ją zabrać na lunch. Pomyślała, że lepszym pomysłem byłby piknik we dwoje na Księżycowej Plaży i tam też się wybrali.

Stanęli na niewielkim półkolu piasku i patrzyli przez chwilę na roziskrzoną wodę, kolorowe kajaki, żagłówki i łodzie motorowe mknące po oceanie.

— Nie mogę uwierzyć, że znalazłyście to miejsce, kiedy byłyście takie młode — powiedział Adam. — I że nie odkrył go nikt inny, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Clare rozłożyła koc na piasku.

— A ja nie mogę uwierzyć, że przestałam tu przychodzić, odkąd Lexi opuściła wyspę. Co prawda byłam zajęta szkołą, a potem sklepem, ale mimo wszystko... Chodziłam przecież na inne plaże, na Surfside, Jetties i Dionis... Po prostu jakoś nigdy o tym nie pomyślałam.

Adam postawił koszyk na rogu koca. Ściągając koszulkę przez głowę, spytał:

— Nigdy nie przyprowadziłaś tu Jessego?

Clare rozwiązała sarong i wystawiła do słońca ciało okryte tylko małym czerwonym bikini.

— A wiesz, że nigdy tego nie zrobiłam? Czy to nie dziwne?

— Mnie się podoba — odparł Adam z uśmiechem. Nosił stare, wyblakłe kąpielówki z madrasu.

— Madras jest niemodny — pokpiwała Clare.

— Tak, ale to najwygodniejsze kąpielówki, jakie mam. — Usiadł obok niej i sięgnął do koszyka. Wyjął talerz i wyłożył na niego ser oraz krakersy.

Potem przysunął sobie lodówkę i wyciągnął z niej butelkę Dom Perignon.

— Szampan? W niedzielę po południu?

— Zaszłyłaś sobie na niego. Uratowałaś życie mojej siostrze.

— Przesada. Pomogłam jej tylko wyciągnąć Jewel z wody.

— W czasie sztormu. Gdy Lexi była ranna.

— Cóż. — Clare westchnęła. — Skoro nalegasz...

Adam otworzył butelkę, wypychając kciukami korek, który wystrzelił, zatoczył szerokie koło i wpadł z pluskiem do wody. Adam wyjął dwa wysokie kieliszki i napełnił musującym płynem.

— Prawdziwe kieliszki, nie plastikowe kubki? Jestem pod wrażeniem.

— Clare wzięła kieliszek i wpatrywała się przez chwilę w bąbelki sunące ku spienionej powierzchni.

— Wznieśmy toast — zaproponował Adam.

— Zgoda. — Skinęła głową. — Za życie.

— Za życie!

Pociągnęli łyk.

— O Boże, jakie to dobre! — Rozłożyła szeroko ręce. — Co może być lepsze od tego dnia i szampana?

— Właściwie mam też pewien ukryty cel — powiedział cicho Adam.

— Ach tak? — Ułożyła się wygodniej, oparła na łokciach, odchyliła głowę do tyłu i wystawiła szyję do słońca. Było jej cudownie ciepło, lekko i przyjemnie. Zerknęła na Adama, na jego potężne, męskie ciało. — Chcesz mnie uwieść? Nigdy się nie kochałam na Księżycowej Plaży.

— Uwiedzenie? Może później. Najpierw oświadczyny.

Clare zamrugnęła. Usiadła prosto, na skrzyżowanych nogach, i spojrzała na Adama.

— Co takiego?

Wydawał się niemal zawstydzony.

— Posłuchaj, Clare. Dużo myślałem, odkąd wskoczyłaś wtedy do przystani. Wiem, że nie jesteśmy ze sobą zbyt długo, i wiem, że może szukasz pocieszenia po Jessem...

— Nie — powiedziała stanowczo.

— Wierzę ci. Wierzę w to. I wiem, co czuję do ciebie. Kocham cię.

Serce podskoczyło jej w piersiach z radości.

— Och, Adam! — Zarzuciła mu ręce na szyję i uściskała go. — Oj...

Przepraszam, nie chciałam ci wylać szampana na plecy.

— Zmyje się. — Ujął ją za ramiona i delikatnie odsunął od siebie, by spojrzeć jej prosto w oczy. — Pragnę się z tobą ożenić, Clare. Chcę być twoim mężem i mieć dom pełen dzieci. Nie zamierzam być rozsądny i czekać rok, aż będziemy całkiem pewni...

— Ależ my jesteśmy całkiem pewni! — Roześmiała się. — To znaczy, ja jestem pewna. I ty, jak widać, też, skoro się oświadczasz! Och, Adam, kocham cię, naprawdę! Och, chcę, żebyś całował mnie teraz jak wariat, ale gdzie mogę odstawić kieliszek?

Wyglądał bardzo seksownie, z szerokim, pewnym siebie uśmiechem.

Wziął od niej kieliszek i włożył go wraz ze swoim do lodówki.

— Więc zgadzasz się?

— Oczywiście! Tak!

— W takim razie... — Rozpiął kieszonkę na kąpielówkach, wyjął z niej pierścionek z diamentem i podsunął go Clare.

— Och, Adam... — Diament był całkiem sporych rozmiarów.

— To nie jest pamiątka rodzinna. Nie należał do mojej mamy. Nie chcę żyć tak jak moi rodzice. Chcę, żeby to było małżeństwo z naszych marzeń. I chcę, żebyś miała porządny pierścionek zaręczynowy, a nie jakieś tanie świcidelko.

— To na pewno nie jest tanie świcidelko. Och, Adam... — Spojrzała mu w oczy. — Włóżysz mi go na palec?

Wyciągnęła rękę, a on wsunął pierścionek na miejsce.

Była zdumiona.

— Pasuje idealnie!

— Pożyczyłem sobie twój pierścionek z jademitem i dałem go jubilerowi na miarę.

Obracała dłoń na prawo i lewo, obserwując grę światła w kamieniu.

— Jest olbrzymi! Och, Adam, zaraz się rozplaczę! — Wyciągnęła rękę przed siebie i patrzyła na diament.

— Och, ciekawe, co powiedzą lalki Barbie, kiedy się o tym dowiedzą!

— Zakryła dłonią usta. — Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam! To takie małostkowe! Ale... Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę to wszystkim!

O mój Boże, nieźle się ubawimy, kiedy będziemy mówić ludziom, że zamierzamy się

pobrać! Będziemy mieli piękny ślub i piękne wesele!

Adam usiadł na piasku, objął kolana ramionami i słuchał z rozbawieniem jej paplaniny.

— I będziemy razem mieszkać w domu! — Czują, jak na tę myśl, otwierają się szerzej jej oczy.

— Zwykle to właśnie robią małżeństwa.

— I będziemy mieć dzieci! Och, Adam! — Rzuciła się na niego z taką siłą, że przewróciła go na piasek, usadowiła się na nim i całowała usta, twarz, ręce, piersi i brzuch. — Och, kocham cię! Och, jestem taka szczęśliwa! Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa! — Nagle stoczyła się z niego i podniosła rękę. — Sama nie wiem, co bardziej chcę robić, całować cię czy patrzeć na mój pierścionek!

— Całować mnie — podpowiedział jej Adam. I zrobiła to.

PIĘĆDZIESIĄT

Lexi leżała w swoim starym szerokim łóżku, na którym sypiała jeszcze jako nastolatka. Noc minęła jej spokojnie, a rano spędziła parę miłych godzin w towarzystwie Clare i Adama. Kiedy już poszli, wróciła do sypialni, by trochę odpocząć. Lekarze mówili, że powinna jak najwięcej wypoczywać i regenerować siły. Żałowała, że nie może już zasnąć. Miała coraz więcej energii, a ból w zranionych częściach ciała powoli ustępował, lecz wciąż było ciężko na sercu.

Usłyszała kroki matki na korytarzu. Zamknęła szybko oczy, udając, że śpi. Nie miała teraz ochoty na rozmowę z mamą ani z kimkolwiek innym.

Usłyszała skrzypienie uchylanych drzwi, a potem oddech Myrny. Po chwili drzwi zamknęły się cicho. Poprawiła się na łóżku, przytuliła do poduszki i raz jeszcze spróbowała zapaść w sen.

Nie, to nie mogło się udać. Nie mogła spać ani nawet myśleć o jakichś przyjemnych rzeczach. Po raz pierwszy żałowała, że nie ma w pokoju telewizora. Z chęcią obejrzałyby teraz jakiś serial lub teleturniej, by oderwać się choć na chwilę od smutnych rozmyślań.

Tymczasem w głębi domu rozległo się nagle wściekle jazgotanie psów.

Potem dołączyły do nich jakieś krzyki i śmiech. Trzaskały drzwi, ktoś szedł energicznym krokiem przez korytarz. Nagle drzwi jej sypialni znów się otworzyły. Lexi uniosła powieki.

— Pobudka! — zawołała Clare, ubrana w czerwone bikini, sarong i klapki zdobione paciorkami. Pachniała słońcem i uśmiechała się od ucha do ucha. — Musisz się obudzić!

Lexi podniosła się na łokciu.

— Co się stało?

Za Clare pojawił się Adam, a za nim rodzice w towarzystwie ujadających psów.

— Jestem zaręczona z twoim bratem! — Clare wskoczyła na łóżko. — Usiądź prosto. Czekaj, podłożę ci drugą poduszkę. Pochyl się do przodu. A teraz patrz!

Lexi posłusznie spojrzała.

— Clare, brawo! — Zerknęła na brata, który uśmiechał się promiennie.

— Jaki wielki diament! Postarałeś się, braciszku!

— Owszem — przyznał Adam.

— Chcą się pobrać! — Myrna niemal unosiła się nad ziemią.

— Zwykle z tym właśnie wiążą się zaręczyny — odparła cierpko Lexi.

Spojrzała na Clare. — Gratulacje. Bardzo się cieszę. Wszyscy się cieszymy.

— Zostanę twoją bratową! — ekscytowała się Clare. — Oficjalnie będziemy siostrami!
— Cudownie. — Lexi roześmiała się.
— Urządzimy ślub w kościele — rozmyślała głośno Myrna. — Albo na plaży. A może w Brant Point, przy latarni? Oczywiście to zależy od pory roku. Nie pamiętam, czy wspominaliście już, kiedy zamierzacie się pobrać.
— Mamo... — Adam objął matkę ramieniem. — Dopiero co się zaręczyliśmy. Nie ustaliliśmy jeszcze konkretnej daty.
— Ale zrobicie to wkrótce, prawda?
— Tak, wkrótce.
— Penny może być starościna, ale ty musisz być moją druhną — powiedziała Clare. Przechyliła głowę i udawała, że głośno się zastanawia: — Ubierzemy cię w fioletową suknię z bufiastymi rękawami i wielką kokardką na pupie.
— Och, Clare... — Myrna była przerażona. — Nie jestem pewna, czy...
— Spokojnie, mamo — Lexi uśmiechnęła się. — Clare tylko żartuje.
— Kupiłem butelkę szampana — oznajmił Adam.
— Cudownie! — Myrna klasnęła w dłonie. — Przyniosę kieliszki.
— Myślisz, że będziesz mogła wstać? — spytała Clare.
— Jasne. — Lexi skinęła głową. — Czuję się całkiem dobrze. Muszę się tylko przebrać.
— Kierowana nagłym impulsem, uściskała Clare serdecznie. — Tak bardzo się cieszę.
— Zadzwońię do twojego taty — powiedział Adam do narzeczonej. — Chciałbym, żeby przyłączył się do nas.
— Świetny pomysł! — ucieszyła się Clare.
— Powiedz mu, żeby przyprowadził swojego psa — dorzuciła Myrna.
Lexi włożyła luźne bawełniane spodnie i dużą koszulę. Przeszła do salonu, gdzie Adam pomógł jej usadowić się na sofie, ułożył jej stopy na pufie i okrył kocem. Lexi uśmiechała się czule, wzruszona troskliwością.
Wkrótce dołączył do nich George Hart z Ralphie i przez chwilę uwaga wszystkich skupiała się na psach, które zapoznawały się ze sobą.
— Powiniennem przyprowadzić swoich pupilów — Adam pokiwał głową.
— Może innym razem — zaproponowała Myrna. — I bez tego mamy tu dość zamieszania.
George uściśnął dłoń Adama, pogratulował świeżo zaręczonej parze i usiadł naprzeciwko Lexi, nieco oszołomiony. Ogolił się i włożył czyste ubrania, choć jak zauważyła Lexi, zapomniał włożyć skarpetki. Wielu mężczyzn wkładało mokasyny na bose stopy, ale nie widziała jeszcze, by ktoś chodził bez skarpetek w eleganckich półbutach.
Myrna przyniosła półmisek z pasztetem z wędzonego ostroboka, krakersy oraz drugi półmisek z wędzonym łososiem i ryżem. Wszyscy zasiedli przy stole.
Rozmowy ucichły na chwilę, gdy zajęto się jedzeniem. Nagle George Hart oświadczył:

— Tak sobie pomyślałem...
Goście i domownicy spojrzeli na niego ze zdumieniem. Oczywiście nie dziwiło ich, że George myśli, bo robił to bez ustanku, ale że odezwał się z własnej inicjatywy.
— Kiedy Clare wyjdzie za Adama, mój dom będzie dla mnie za duży.
Chciałbym spędzić trochę więcej czasu w Bostonie, poszukać materiałów do książki. Pomyślałem, że mógłbym sprzedać dom i kupić sobie coś mniejszego. Podarowałbym wam wtedy w prezencie ślubnym sporą sumkę i jeszcze zostałyby mi coś na kupno małego mieszkania w Bostonie.

Clare aż otworzyła usta ze zdumienia.

— Tato!

— To świetny pomysł, George — odezwał się Adam. — Ale nie musisz martwić się o mnie i Clare. Mam już dom, niewielki, więc być może za jakiś czas będziemy potrzebować czegoś większego...

Lexi poprawiła się na sofie, nieco już znużona, wciąż jednak starała się zachować pogodny wyraz twarzy. Myślała, jakie to miłe ze strony George'a Harta, że choć wciąż żył w oderwaniu od realnego świata, potrafił zebrać myśli i wyjść z tak hojną propozycją. Clare i Adam planowali już kupno większego domu, bo na pewno chcieli mieć dużo dzieci, i to jak najszybciej. Widziała, jak jej rodzice i przyszła synowa raz po raz wymieniają czułe spojrzenia. Radosne podniecenie udzieliło się nawet suczce Ralphie, która biegała wokół stół i obwąchiwała zady Buddy i Pest.

Wyjdę z tego, mówiła sobie w duchu Lexi. Wyzdrowieję. Odzyskam siły, zrobię badania i dowiem się, czy jestem w stanie kiedykolwiek donosić dziecko do samych narodzin. Ciekawe tylko, jak zajdę w ciążę, bo na razie mam serdecznie dość mężczyzn. Wolą siedzieć tutaj, poraniona i obolała, niż przebywać w towarzystwie Eda Hardina w Nowym Jorku — czy jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Właśnie tutaj było jej miejsce. Wiedziała to na pewno. I pocieszała się myślą, że pewnego dnia pozna właściwego mężczyznę.

Zastanawiała się, gdzie teraz jest Jesse. Nie potrzebował wizy, żeby wjechać do Rosji? W ogóle miał paszport? Naprawdę lubiła Oksanę i szczerze pragnęła, by Jesse pozostał jej wierny. Rosja mogła się okazać dla niego dość egzotycznym miejscem, by życie bezustannie dostarczało mu wyzwania i nowych bodźców. Oksana bez wątpienia byłaby dla niego wsparciem i drogowskazem.

Nagle wszystkie trzy psy zaczęły szczeleć jak najęte.

— A któż to może być? — zastanawiała się głośno Myrna.

Psy przeszły równym rzędkiem do korytarza, wymachując radośnie ogonami. Myrna udała się za nimi i po chwili wróciła, prowadząc za sobą Jewel i Bonnie z małym Frankiem na plecach.

Jewel była ubrana w lekką bawełnianą sukienkę w biało—niebieskie pasy. Włosy, ściągnięte w kucyk, miała przewiązane opaską w kolorowe kwiaty. Dziewczynka wydawała się onieśmielona, chowała głowę w ramionach.

Bonnie oświadczyła stanowczym tonem:

— Jewel ma prezent dla Lexi. I dla ciebie, Clare. W podziękę za uratowanie życia.

— Jak miło! — Myrna natychmiast weszła w rolę gościnnej gospodyni.

— Wejdz, wejdz. Napijesz się szampana? Jewel, a dla ciebie może szklanka soku jabłkowego albo pomarańczowego? Mamy też colę light i napój imbirowy.

Adam zdjął z pleców Bonnie Frankiego i podniósł go na wysokość twarzy.

— Hej, stary, czyżbym widział tu jakieś zęby?

Frankie chichotał, popiskiwał i ślinił się jak najęty.

Myrna posadziła Bonnie na krześle i podała jej kieliszek z szampanem, a potem poszła do kuchni po sok jabłkowy. Jewel, rumieniąc się wstydliwie, wręczyła Clare małą torebkę z kolorowego papieru, a potem usiadła na sofie obok Lexi i podała jej drugą, podobną torebkę.

— Och! — Clare wyjęła z torebki naszyjnik z paciorkami, pośród których wisiało różowe serce z jej imieniem. — Jewel, sama to zrobiłaś?

Jewel z dumą skinęła głową.

— Mam zestaw. Trzeba zaprojektować i ulepić, co się chce, a potem wsadzić to na chwilę do piekarnika. Ale niech pani uważa, serce jest bardzo kruche. Może pęknąć.

Clare spojrzała na Lexi i uśmiechnęła się.

— Proszę obejrzeć swój prezent! — zwróciła się Jewel do Lexi.

Lexi sięgnęła do torebki i wyjęła z niej małe papierowe zawiniątko. W środku był naszyjnik z paciorkami, na którym wisiały również trzy srebrne gwiazdy, księżyc i lśniąca muszelka z napisem „Lexi”.

— Jest fantastyczny! — Uściskała dziewczynkę. — Dziękuję ci bardzo!

Możesz zapiąć mi go na szyi?

Tymczasem Ralphie zainteresowała się bosymi stopkami Frankiego i polizała szorstkim psim językiem. Maluch aż zapiszczał z radości.

— Och, jest taki słodki, mogę go potrzymać? — spytała Myrna.

— Dobrze się pani czuje? — spytała Jewel, spoglądając nieśmiało na Lexi.

— Tak, w porządku. Mam tylko parę rozcięć, wkrótce się zagoją. A jak twoje samopoczucie? Masz paskudnego siniaka na czole.

Jewel dotknęła delikatnie siniego czoła.

— Trochę boli, ale poza tym nic mi nie jest. Wie pani, że w przyszłym tygodniu napiszą o nas w gazecie? Może nawet będą nasze zdjęcia! — Nagle spoważniała i dodała ze smutkiem: — Oczywiście nie jestem dumna z tego, co zrobiłam. Wiem, że to było głupie, i że naraziłam nie tylko siebie, ale też panią i Clare. Nigdy więcej nie zrobię czegoś podobnego.

Bonnie, która przysłuchiwała się rozmowie, skinęła głową z zadowoleniem.

— Może jeszcze trochę szampana? — zaproponował Fred.

— Cóż... — Bonnie rozsiadła się wygodniej na krześle. — Nie pamiętam, kiedy ostatnio piłam szampana w środku dnia. Ale tak, poproszę. Fajnie mieć przy sobie oboje dzieci, zwłaszcza kiedy ktoś trzyma tego ciężkiego chłopaka!

— Lubię go trzymać — zapewnił Adam.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

W niedzielne popołudnie Clare i Adam leżeli w łóżku, przytuleni do siebie, rozleniwieni po długim seksie i smacznej drzemce.

— Głodna?.

— Hmm... — Przytuliła się mocniej. — Będę głodna za chwileczkę.

Bella i Lucky, które wcześniej zostały wyproszone z pokoju, stały teraz przy łóżku, drżąc z niecierpliwości.

— Nie mówiłem do was — mruknął Adam. — Wiem, że wy zawsze jesteście głodne.

Aż podskoczyli, gdy zadzwonił telefon. Adam podniósł się na łokciu, by spojrzeć na numer, z którego nawiązano połączenie. Dziś miał wolne, nagłymi przypadkami zajmowała się Miranda.

— Port lotniczy Logan? — zdumiał się, marszcząc brwi.

Clare przeciągnęła się i ziewnęła.

— Odbierz. — Była tak rozleniwiona, że nie wiedziała, czy znajdzie w sobie dość sił, by pójść pod prysznic. Może gdyby zrobiła sobie jeszcze jedną kawę...

— Jasna cholera! — eksplodował nagle Adam. — Clare... to Tris!

— Tris? — Usiadła prosto. — Jak to — Tris? Przecież Tris nie...

Zerwał się z łóżka i zaczął chodzić po pokoju, trzymał słuchawkę przy uchu i kiwał głową. Jego podniecenie było zaraźliwe — oba psy chodziły za nim i przyglądały mu się niespokojnie. Clare była tak skupiona na rozmowie Adama, że nawet nie zauważyła, kiedy wstała z łóżka i włożyła ubranie.

— Bogu dzięki, że żyjesz, Tris, Bogu dzięki, Bogu dzięki — powtarzał Adam.

— Gdzie? — wyszeptała bezgłośnie Clare. — Jak? Co się stało?

Adam machnął ręką, wsłuchany w słowa Trisa.

— Tak, słyszałem o Sabie Island, rozbiło się tam już mnóstwo statków, co za historia... Jak się czujesz?

— Znów słuchał przez chwilę, po czym powiedział cicho: — Tak, prawdę mówiąc, myśleliśmy, że już po tobie. Tris, minęły trzy miesiące...

— Jewel nigdy tak nie myślała — przypomniała Adamowi Clare. — Jewel ciągle na niego czeka.

Adam skinął głową.

— Jewel prawie codziennie czekała na ciebie na moło, Tris. Tak, stary, naprawdę. Na samym końcu pomostu. Nigdy nie straciła nadziei. Wiem, Tris, to niesamowite. — Oczy Adama wypełniły się łzami, jego głos drżał lekko, gdy mówił: — Tak się cieszę, że żyjesz, Tris, nie masz nawet pojęcia, stary... — Przeszedł do łazienki, urwał kawałek papieru toaletowego i wysiąkał nos. Po powrocie do pokoju powiedział: — Nie wiem, zapytam Clare.

Clare nie mogła ustać w miejscu z podniecenia.

— O co mnie zapytasz?

— Poczekaj Tris, powiem jej tylko... — Adam przyłożył słuchawkę do piersi i powiedział: — Tris jest na lotnisku w Bostonie! Kapitan kutra rybackiego, który go odnalazł, pożyczył mu pieniądze na bilet. Za chwilę wywołają jego lot do Nantucket. Będzie tu za czterdzieści pięć minut. Próbował dodzwonić się do Bonnie i Jewel, ale odpowiada mu tylko automatyczna sekretarka. Wiesz, gdzie może być Jewel?

Clare pokręciła głową.

— Mogę zadzwonić do Lexi, może ona coś wie...

— Posłuchaj, stary. — Adam podniósł słuchawkę do ucha. — Znajdziemy Jewel. Spotkamy się na lotnisku. Nantucket Airlines. Rozumiem.

Jezu Chryste, Tris, to prawdziwy cud, wiesz o tym? Tak, Tris, ja też cię kocham, stary.

Adam rzucił słuchawkę na telefon, porwał Clare na ręce i zawirował z nią w miejscu.

— Tris żyje!

Radosny nastrój udzielił się także psom, które szczerzyły i skakały na Adama, chcąc przyłączyć się do zabawy.

— Kręci mi się w głowie — poskarżyła się Clare. — Zwolnij trochę. I ubierz się, zanim zwierzaki podrapią ci klejnoty.

— Słusznie. — Postawił Clare na podłodze i rozejrzał się dokoła, oszołomiony i naładowany energią. — Słusznie.

— Twoje spodnie są na krześle — poinformowała go Clare. — A teraz powiedz mi wreszcie, gdzie podziewał się Tris.

— To niesamowita historia — mówił Adam, wkładając szorty i koszulkę. — Jego łódź rozbiła się w pobliżu wyspy Sabie Island, w Nowej Szkocji. Wylądował na małej wysepce w pobliżu Sabie Island, bezludnej. Ktoś jednak był tam wcześniej, bo znalazł kilka starych szafasów i trochę jedzenia w puszkach. Mówi, że prawie nie pamięta pierwszego miesiąca, ciągle tylko spał, prawdopodobnie miał wstrząśnienie mózgu. Był całkiem nagi, nie miał zapalek, komórki...

Na szczęście w szafasie znalazł jakieś stare kurtki, więc miał się czym okryć. Dziś rano jacyś rybacy z Nowej Fundlandii zacumowali w pobliżu jego wysepki. Udało mu się ściągnąć na siebie ich uwagę. Kapitan kutra dał mu ubranie, zawiózł go na Grand Mamon Island i pożyczył trochę pieniędzy. Stamtąd poleciał do Bostonu. Próbował dodzwonić się do Jewel, ale Bonnie nie odbiera telefonu. — Rozejrzał się nerwowo do pokoju. — Gdzie są kluczyki do samochodu?

— Na stoliku nocnym. — Wskazała na kluczyki, które leżały w doskonale widocznym miejscu. — Może ja powinnam prowadzić?

— Nie, nie, dam sobie radę. — Pochwylił kluczyki. — Chodźmy.

Psy kręciły mu się pod nogami, skamlały, widząc, że zbiera się do wyjścia.

— Chwileczkę — poprosiła Clare. — Dajmy psom śniadanie.

Nasypali do psich misek suchej karmy, a potem wypadli z domu.

— Poczekaj! — Przystanęła raptownie z dłonią na drzwiach pasażera.

— Wezmę komórkę. Po drodze spróbuję się dodzwonić do Bonnie i Jewel.

— Dobry pomysł.

Gdy wróciła z telefonem komórkowym, Adam już rozgrzewał silnik.

Wskoczyła do środka i wyjechali z piskiem opon na ulicę.

— Uważaj. Tylko tego by brakowało, żeby zatrzymała nas policja.

— Masz rację. — Zwolnił nieco, choć aż drżał z nadmiaru adrenaliny.

— Cholera! — Clare patrzyła na komórkę. — Nie mam numeru do Bonnie Frost, a ty?

— Zadzwoń do Lexi.

Wybrała numer Lexi, lecz odpowiedziała jej tylko poczta głosowa. Próbowała zadzwonić do sklepu, lecz i tam nikt nie odbierał. Połączyła się z jej komórką i zostawiła wiadomość:

— Lexi! Nie uwierzysz! Tris żyje! Leci teraz do domu, Adam i ja jedziemy po niego na lotnisko. Próbował dodzwonić się do Jewel, ale Bonnie nie ma w domu. Wiesz, gdzie mogą być? Zadzwoń na komórkę Adama. —

Podziała numer i rozłączyła się.

Adam skupiał się na jeździe po wąskich jednokierunkowych uliczkach Nantucket, na których roilo się od roztargnionych turystów i rowerzystów.

— Do kogo moglibyśmy jeszcze zadzwonić? — spytała Clare.

— Na informację — podpowiedział jej Adam.

Lecz Clare wybierała już numer ojca.

— Tato? Posłuchaj, możesz sprawdzić mi jeden numer? Bonnie Frost, Main Street. —

Podzieliła się z ojcem sensacyjną wiadomością, zapamiętała numer i wystukała go na klawiaturze. Odpowiedziała jej automatyczna sekretarka.

— Bonnie, mówi Clare. Tris mówił, że próbował się do ciebie dodzwonić, wiem, że zostawił ci wiadomość, czy to nie cudowne? Posłuchaj, Adam i ja jedziemy po niego na lotnisko. Zadzwoń i powiedz nam, gdzie jesteście, gdzie jest Jewel. Tris bardzo chce się z nią zobaczyć. — Zostawiła numer telefonu Adama.

— Moment! — Adam przyhamował gwałtownie i zjechał na pobocze Orange Street. — Może Jewel jest na moło.

— Obiecała, że nie będzie tam więcej chodzić — przypomniała Clare.

— Tak, ale to dziecko. Wiesz, jak dzieciaki naginają różne zasady do swoich potrzeb.

Może kręci się gdzieś w pobliżu.

— Warto sprawdzić.

— To nie potrwa dłużej niż pięć minut. Nie spóźnimy się...

— A byłoby cudownie, gdybyśmy przywitali go razem z Jewel!

Adam skręcił w najbliższą uliczkę, potem pojechał do Dover, stamtąd do Francis i z powrotem na Washington Street. Znalazł wolne miejsce przed kapitanatem portu. Gdy tylko wyłączył silnik, wyskoczyli oboje z samochodu i popędzili na molo.

— Jewel! — wołali na przemian. — Jewel!

Dzień był słoneczny, blask słońca odbity od fal oślepił ich, gdy biegli po deskach pomostu. Wzdłuż nabrzeża kołysały się jachty, łodzie motorowe, żaglówki i pontony, zaś niemal na samym końcu molo cumował wielki kuter rybacki Billa Blounta, „The Ruthie B”. Para dzieciaków biegała po molo, turyści w szortach i słomkowych kapeluszach taszczyli przenośne lodówki na swoje łodzie, nigdzie jednak nie było widać małej dziewczynki o rudych włosach.

Clare podeszła do kobiety, która próbowała wepchnąć na łódź wystraszonego labradora.

— Przepraszam, może pani widziała tu gdzieś małą dziewczynkę, mniej więcej tego wzrostu — pokazała ręką — z rudymi włosami?

— Nie, przykro mi.

Adam ujął Clare pod ramię.

— Nie mamy czasu. Jedźmy. Znajdziemy Jewel później.

Pobiegli z powrotem wzdłuż molo, wskoczyli do dżipa, zawrócili z piskiem opon i ruszyli w stronę lotniska.

— Do kogo jeszcze mogę zadzwonić? — zastanawiała się głośno Clare.

— Zadzwoń do moich rodziców. Może wiedzą, gdzie jest Lexi, a ona może wiedzieć, gdzie jest Jewel.

— Świetny pomysł! — Wybrała numer, ale połączyła się z automatyczną sekretarką. — Cholera. Niby mamy już tyle nowoczesnych urządzeń, a i tak ciągle nie możemy się znaleźć.

— Nieważne. Jesteśmy już prawie na miejscu. Clare, nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę! Nie mogę uwierzyć, że przed chwilą rozmawiałem z Trisem!

— Chciałabym być przy tym, gdy Jewel zobaczy ojca.

— Wybacz, kolego, nie dzisiaj — mruknął, mijając pikapa, który chciał wyjechać z bocznej uliczki i włączyć się do ruchu na zatłoczonej Orange Street. — Zwykle wpuszczam inne samochody — wyjaśnił Clare — ale dziś nie chcę, żeby cokolwiek mnie zatrzymywało.

— Do kogo jeszcze moglibyśmy zadzwonić? — wciąż się zastanawiała.

— Daj już spokój, jesteśmy prawie na miejscu.

Wjechali na drogę do lotniska. Kilka minut później Adam zatrzymał dżipa na parkingu krótkoterminowym. Wskoczyli z auta i przeszli do sali przylotów, długiego pomieszczenia wyposażonego w dwie drewniane ławki i automat z napojami. Okna wychodziły na lotnisko, które obsługiwało niewielkie dziewięcioosobowe samoloty. Po sali krążyli oczekujący na krewnych i przyjaciół. Wszyscy mieli na sobie letnie ubrania. Mężczyźni nosili kolorowe bermudy, koszulki polo i skórzane mokasyny bez skarpetek albo flanelowe spodnie i prążkowane koszule. Kobiety były ubrane w dopasowane kwieciste sukienki Lilly Pulitzer albo białe koszulki i spódniczki tenisowe. Clare zauważyła, że pewna szykowna brunetka ma na sobie błękitną bluzeczkę na ramiączka i sarong z Księżycowej Plaży.

— To chyba jego samolot. — Adam ujął dłoń Clare i ścisnął mocno.

Obserwowali w napięciu, jak samolot kołuje na swoje miejsce. Potem stewardesa otworzyła drzwi, które po rozłożeniu pełniły funkcję schodów.

Pierwsza z samolotu wyszła kobieta z małym dzieckiem. Potem mężczyzna z psem. Następnie kobieta w słomkowym kapeluszu przewiązanym niebieską wstążką.

A potem wyszedł Tris.

— Dobry Boże... — wyszeptał Adam.

Tris, którego niegdyś znali, był szczupły, ale muskularny. Do terminalu zmierzał powolnym krokiem mężczyzna, straszliwie wymizerowany. Pożyczone ubrania — za duże dzinsy i workowata bluza — wisiały na nim jak na strachu na wróble, twarz miał poraną bruzdami, oczy zapadłe. W rudej czuprynie lśniły pasma siwizny. W wieku trzydziestu trzech lat wyglądał na pięćdziesiąt.

Kiedy jednak zobaczył Adama, uśmiechnął się, wyjaśniały mu oczy i znów wyglądał młodo.

— Tris, a niech mnie... — Adam zamknął przyjaciela w niedźwiedzim uścisku.

Clare odsunęła się do tyłu, pozwalając im nacieszyć się sobą. Widziała, że ramiona Adama drżą. Tris ścisnął go mocno, zauważyła, że jego ręce są opalone na brąz i pocięte bliznami.

Inni pasażerowie przyglądali im się z zaciekawieniem, wkrótce jednak sala przylotów opustoszała. W ciszy słychać było jedynie tłumiony szloch Trisa.

— Myślałem, że tam umrę — wykrztusił. — Myślałem, że umrę.

Adam, wzruszony, klepał go mocno po plecach.

— To cud, stary, prawdziwy cud. — Odsunął Trisa na długość ramion i przyjrzał mu się.

— Marnie wyglądasz, stary — stwierdził.

Śmiali się, ocierając łzy radości.

— Tris, tak się cieszę, że cię widzę. Tak się cieszę, że żyjesz. — Clare wyciągnęła ręce i uściskała go.

Lecz Tris wydawał się skonsternowany.

— Clare? — spojrzał na nią, potem na Adama.

— Jesteśmy razem — wyjaśnił Adam. — Później wszystko ci opowiem.

Najpierw musimy się tobą zająć. Może powinieneś pójść do szpitala.

Tris zbył sugestię machnięciem ręki.

— Nic mi nie jest. Muszę się tylko wykapać i porządnie najeść, ale przede wszystkim chciałbym zobaczyć Jewel.

— Próbowaliśmy ją znaleźć — powiedziała Clare. — Ale nie możemy się do nikogo dodzwonić. Nic dziwnego, dziś jest niedziela, a pogoda jest piękna.

— Pojedziemy do mnie — zaproponował Adam. — Będiesz mógł się wykapać i ogolić, przygotujemy ci też jakiś porządny posiłek. Do tego czasu pewnie ktoś wróci już do domu.

Tris uśmiechnął się z zakłopotaniem i spojrzał na pożyczone ubrania.

— Chyba rzeczywiście powinienem coś z tym zrobić.

— Mogę pożyczyć ci moje ciuchy. Albo możemy wstąpić do twojego domu, weźmiesz sobie coś.

— Do mojego domu... — Pokręcił głową z niedowierzaniem. — Jeszcze do mnie nie dociera, że tutaj jestem.

Byli już w samochodzie i zapinali pasy, kiedy zadzwonił telefon Clare.

— Cześć, Clare — odezwała się matka Adama. — Zostawiłaś nam naprawdę bombową wiadomość.

— Myrna! Tris jest z nami w samochodzie! Właśnie przyleciał. Jego łódź rozbiła się na wysepce w pobliżu Maine. Wiesz może, gdzie jest Lexi?

— pytała Clare, rozgorączkowana. — Może ona wie z kolei, gdzie jest Jewel.

— Lexi ma dziś swój dzień z Jewel. Bonnie i Ken są na jakimś pikniku...

— Jewel jest z Lexi! — rzuciła Clare. Potem znów zwróciła się do Myrny. — Wiesz

może, co planowały?

— Zdaje się, że Lexi miała ją zabrać do jakiegoś specjalnego miejsca...
na jakąś plażę...

— Jasne! — wrzasnęła Clare. — Przepraszam, Myrna, nie chciałam cię ogłuszyć. Wiem, gdzie są, zadzwonię później. — Pochyliła się do przodu.

— Adam, Lexi zabrała Jewel na Księżycową Plażę.

Adam zawrócił raptownie, dodał gazu i popędził z powrotem w stronę Polpis Road.

— Zastanawiam się, czy Jewel powinna mnie widzieć w takim stanie —
powiedział Tris.

— Człowieku, przecież to nie ma znaczenia, ona nawet nie zauważy, jak wyglądasz. —
Adam szturchnął go w ramię. — Będzie szczęśliwa, że cię widzi. Żywego, całego i zdrowego.
Długi sznur ciężarówek, drogich kabrioletów, furgonetek i rodzinnych aut z przyczepami
kempingowymi włókł się w żółtym tempie.

— Opowiedzcie mi o Jewel — poprosił Tris.

Clare niemalże unosiła się nad siedzeniem.

— Tris, była niesamowita. Codziennie przychodziła na molo i czekała na ciebie.

Wiedziała, że wrócisz.

— A dlaczego Jewel jest z twoją siostrą? — spytał Adama.

— To długa historia, ale opowiem ci ją w skrócie — odparł Adam. — Lexi wróciła na
wyspę. Prowadzi swój butik z ubraniami...

— Tuż obok mojego sklepu! — wtrąciła Clare.

— Lexi zobaczyła, że Jewel przesiaduje codziennie na molo, zaczęła ją tam odwiedzać i
zaprzyjaźniły się.

Tris zmarszczył brwi.

— A Lexi nie jest żoną Hardina?

— Rozwiedli się. Wróciła tu na stałe. — Clare spojrzała w oczy Adama odbite we
wstecznym lusterku. — Tris, kilka dni temu szalał tu okropny sztorm. Jewel wpadła do wody, a
Lexi wskoczyła za nią i uratowała ją.

— Clare jej pomogła — dodał Adam.

— Nic jej nie jest? — Tris był wstrząśnięty.

— Nie, jest cała i zdrowa. Bonnie zabroniła jej od tej pory chodzić na molo.

— To chyba zrozumiałe — Tris skinął głową.

— Więc przypuszczam, że Lexi zabrała Jewel na pewną małą plażę, nasze miejsce zabaw
w dzieciństwie. Widać z niej przystań. Jewel była przekonana, że przywiezie cię jakaś łódź,
chciała, byś widział, że na ciebie czeka, że nigdy nie straciła nadziei.

Tris zadrżał i otarł oczy.

— Jesteśmy na miejscu. — Adam zatrzymał dżipa na poboczu i spojrzał na przyjaciela.

— Wszystko w porządku?

— Tam stoi range rover Lexi — zauważyła Clare. — Są na Księżycowej Plaży.

— Na Księżycowej Plaży? — powtórzył Tris.

Otworzyła drzwiczki i wyskoczyła z samochodu.

— Chodź. Pokażę ci.

Serce biło jej jak szalone, gdy prowadziła obu mężczyzn przez moczary ku sekretnej
ścieżce. Ziemia ugięła się z mlaskiem pod stopami, gdy przedzierała się przez gęstwinę pałek
wodnych, krzewów jagody amerykańskiej i bujnej nadmorskiej trawy. Wysoko, pod błękitnym
niebem przeleciała z krzykiem mewa. Clare rozchyliła zasłonę traw i wyszła na złote półkole

piasku.

Na plaży klęczały dwie postacie, które budowały zamek z piasku. Jewel miała na sobie szorty i żółty T—shirt, włosy splecione w warkocze przewiązane niebieskimi kokardami. Lexi była ubrana w białą koszulkę i zielone szorty. Nieco dalej na lazurowych wodach zatoki kołysały się lekko dziesiątki łodzi. Tris wyszedł z wysokiej trawy, Adam postępował tuż za nim.

— Cześć dziewczyny — powiedziała Clare. Serce biło jej tak mocno, że nie panowała nad własnym głosem, który brzmiał dziwnie piskliwie i skrzecząco.

Jewel odwróciła się i podniosła wzrok. Otworzyła szeroko oczy, po czym zerwała się na równe nogi, krzycząc:

— Tatusz tatusz tatusz tatusz tatusz!

Fontanny piasku strzelały spod jej stóp, gdy biegła do ojca. Tris pochylił się, chwycił ją w ramiona i przytulił do siebie.

— Tatusiu, jesteś w domu! Wiedziałam, że wrócisz do domu! Czekaliśmy na ciebie!

Ścisnął mocno córkę, całował ją w czubek głowy, chłonał jej zapach.

Potem spojrzał jej w twarz.

— Nie płacz, tatusiu — powiedziała cicho Jewel.

— To łzy szczęścia, kochanie.

Adam objął ramieniem Clare, która uśmiechała się radośnie, choć po jej twarzy płynęły łzy.

— Tatusiu, tatusiu... — Jewel wysunęła się z objęć ojca i wskazała ręką na Lexi. — Tatusiu, musisz poznać Lexi. Pomagała mi żyć nadzieją, że wrócisz.

Do tej pory Lexi stała nad wodą i przyglądała im się w milczeniu. Podeszła bliżej, poprawiając włosy, które lśniły jasno w słońcu.

— Witaj, Lexi — Tris wyciągnął do niej rękę.

— Cześć, Tris. — Uśmiech Lexi przywitał go w domu.